

Smaki mitości

Pełna pasji
opowieść o kobiecie,
która nie bała się
spełniać swoich
pragnień.

ASHLEY

WARLICK

ASHLEY WARLICK

Smaki miłości

Przekład Mateusz Borowski

CHILLI
BOOKS
Kraków 2018

*Dla Marly Rusoff, która pokochała tę książkę
w najbardziej odpowiednim momencie*

Opowiedz mi sen, w którym wyciągamy ciała z jeziora
i znowu ubieramy je w ciepłe ubrania.

Ten, w którym pomimo późnej pory nie możemy zasnąć, a konie galopują
bez opamiętania.

Ten sen to nie drzewo, którego korzenie gdzieś się kończą,
tylko piosenka w radiu policyjnym,

O tym, jak zwijamy dywan, żeby potaćzyć, dni
są jasnoczerwone, a z każdym naszym pocałunkiem pojawia się kolejne
jabłko
do pokrojenia.

Spójrz na światło za szybą. Mówi nam, że nastąpiło południe,
a to oznacza, że nic nas nie ukoi.

Opowiedz mi, jak to wszystko, z miłością włącznie, doprowadzi nas do
ruiny.

Naszymi ciałami zawładnie światło.

Powiedz mi, że nigdy do niego nie przywykniemy.

Richard Siken, *Scheherazade*

„THE NEW YORK TIMES”

M.F.K. Fisher, autorka książek o sztuce kulinarnej i smaku życia, zmarła w wieku osiemdziesięciu trzech lat

Molly O’Neill

Opublikowano 24 czerwca 1992

M.F.K. Fisher, która autobiograficzne, znakomicie napisane eseje o kulinariach uczyniła osobnym gatunkiem literackim, zmarła w poniedziałek w swoim domu na ranczu Bouverie w Glen Ellen w Kalifornii w wieku osiemdziesięciu trzech lat.

Jak poinformowała jej córka Kennedy Wright, pani Fisher odeszła po długiej walce z chorobą Parkinsona.

W trakcie kariery trwającej ponad sześć dekad pani Fisher napisała setki artykułów dla „New Yorkera” i wydała piętnaście tomów esejów i wspomnień. Jej przekład dzieła *Fizjologia smaku* Jeana Anthelme’a Brillata-Savarina do dziś zachował ogromną wartość. Pani Fisher opublikowała także powieść, scenariusz i książkę dla dzieci oraz dziesiątki relacji podróżniczych. Podczas gdy inni publicyści kulinarni ograniczali się do opisu samych tylko dań lub w szczegółach przedstawiali tajniki sztuki kulinarnej, pani Fisher traktowała jedzenie jako metaforę kulturową.

W wywiadzie udzielonym w 1990 roku stwierdziła: „Ze względu na podejmowane przeze mnie kwestie poważni dziennikarze i krytycy przez długie lata mnie lekceważyli. Uważali, że zajmuję się tematami kobiecymi, błahostkami”. Nie dawała za wygraną. W wydanej w 1943 roku książce *The Gastronomical Me* napisała: „Ludzie często pytają mnie: Dlaczego pisze pani o gotowaniu, jedzeniu i picciu? Czemu, wzorem innych autorów, nie zajmie się pani problemem walki o władzę, troski o bezpieczeństwo albo miłością? W ich głosie pobrzmięwa oskarżycielski ton, jakbym robiła coś niestosownego i sprzeniewierzyła się zasadom swojej profesji. Najprostsza odpowiedź brzmi: Bo tak jak większość ludzi bywam głodna. Chodzi jednak nie tylko o to. Moim zdaniem trzy fundamentalne ludzkie potrzeby: jedzenie, poczucie bezpieczeństwa i miłość, są ze sobą do tego stopnia połączone i splecione, że nie sposób pisać o jednej z nich, nie uwzględniając pozostałych. Tak się składa, że kiedy piszę o głodzie, tak naprawdę chodzi mi o pragnienie miłości, o ciepło, które tak uwielbiamy i którego tak

łakniemy”.

W 1963 roku W.H. Auden nazwał ją „największą pisarką amerykańską”. W opublikowanej w „The New York Times Book Review” recenzji *As They Were* (Alfred A. Knopf, 1982) Raymond Sokolov stwierdził: „Gdyby kulturą zarządzano jak należy, Mary Frances Kennedy Fisher przeszłaby do historii jako jedna z najznakomitszych pisarek, jakie wydał na świat nasz kraj w tym stuleciu”.

Hollywood, Kalifornia
1934

Dała do zrozumienia, że przyjdzie na kolację z mężem. Zrobiła to z premedytacją, a zjawiała się sama, odgrywając rolę rozczarowanej żony, wzruszyła ramionami, udawała poirytowanie. W wyobraźni przygotowywała się na ten moment, odkąd dowiedziała się, że Gigi wyjeżdża z miasta. Zaplanowała wieczór tak, by skupić na sobie całą uwagę Tima.

– Przypominałam o tym Alowi już tydzień temu – tłumaczyła się. – A jeszcze raz dziś rano. Doprawdy, nie wiem, gdzie on ma głowę.

Tim, w eleganckim czarnym garniturze, otoczony dymem papierosowym i aurą nonszalancji, nachylił się i pocałował ją w policzek. Od niepamiętnych czasów był siwy.

– No cóż – powiedział. – Może później do nas dołączy.

– Kto wie. Poszedł na jakieś ważne spotkanie.

Wygładziła dłońmi fałdy naelektryzowanej spódnicy, a potem, by zsunąć sweter z ramion, położyła torebkę na stolik. Z przyzwyczajenia przyniosła w niej złożony na pół maszynopis. Potrafiła przekonująco zagrać pilną uczennicę. Wiedziała, w jakich okolicznościach Tim poznał swoją żonę.

Tego wieczoru Gigi wraz z innymi gwiazdkami ze swojej wytwórni odbywała jeszcze tournée po centralnych stanach. Określenie gwiazdka pasowało do niej jak ulał – dopiero niedawno rozbłysła i zaczęła jaśnieć. Jako szesnastolatka wyszła za Tima, który zakochał się w niej kilka lat wcześniej, kiedy jeszcze była dzieckiem. Mary Frances zazdrościła im intymnej relacji i wzajemnego oddania, wyobrażała sobie, że prowadzą wspaniałe życie, do którego nikt nie ma dostępu.

Jej też marzył się taki związek. Niekiedy przesiadywali z Alem do późna sam na sam, ale od jego powrotu do Kalifornii z każdym dniem w Mary Frances narastało poczucie osamotnienia i rozdrażnienie, zaczęła się martwić, że to okazuje. W czasie podwieczorku dla żon pracowników wydziału jakaś kobieta w niebieskiej bluzce z szerokimi rękawami, z których jeden spływał na trzymany przez nią talerzyk, delikatnie zasugerowała, że Mary Frances i Al powinni założyć rodzinę. Powiedziała to takim tonem, jakby czytała z podręcznika, a Mary Frances wyobraziła sobie, że najbliższe czterdzieści lat spędzi, uczestnicząc w takich herbatkach. Teraz na samo wspomnienie tamtej sytuacji oblała się rumieńcem.

– Dobry Boże. – Tim spojrział na nią znad menu. – Czerwienisz się. Denerwujesz się?

– Nigdy się nie czerwienię.

– Nie zwróciłbym na to uwagi, gdybym nie był zaskoczony.

– Daję wyraz nabytej we Francji otwartości – powiedziała. – Okazuję typowo kontynentalną swobodę obyczajową.

– Tak czy inaczej, do twarzy ci z rumieńcami.
– Nie prowokuj mnie, bo ani się obejrzysz, jak zacznę opowiadać historie o dziwkach z place d’Armes częstujących klientów ciastem i winiakiem.
– Powinny mnie oburzyć dziwki czy to, że częstują ciastem?
– To, że celebrytują obiady. Ustawieni w kolejce chłopcy z wybałuszonymi oczami czekają, aż one zjedzą deser.
Nie mogła uwierzyć, że się czerwieni.
– Tęsknisz za Francją? – zapytał.
– Och, tak.
– To kraj, gdzie ludzie w trakcie posiłku koncentrują się wyłącznie na jedzeniu.

Powiedział to cicho i wrócił do czytania menu, a przecież i ona od wielu dni myślała o tym, jak intensywne życie prowadzą tutaj, w Kalifornii, gdzie każdy dzień zdawał się przepelniony po brzegi i chronicznie brakowało czasu. Tim wiedział sporo i znał wszystkich. Znowu przeszedł ją znajomy dreszcz, ścisnęła serwetkę, by ukryć drżenie rąk.

Kelner podszedł, a Tim złożył zamówienie.

Przyniesiono im z baru dwa gibsony w szerokich kieliszkach z delikatnego szkła. Gin na kruszonym lodzie był zimny. Podano im ozdobione falbaną z ogórka trzęsące się pagórki galarety, poddające się naciskowi łyżek, i następną kolejkę mocnego ginu, otaczał ich aromat mięsa z rusztu i brzęk srebra uderzającego o talerze, odległe odgłosy kuchennej krzątaniny, coraz bardziej uporczywe i chropawe, jak odgłosy żywego organizmu.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i wreszcie oznajmiła, że ukazał się jej artykuł o Lagunie.

– Słońce i piasek. Właściwie to kolonia artystyczna. Trochę koloryzowałam, ale bądź co bądź to esej z trzema ilustracjami, podpisany moim nazwiskiem.

Tim uniósł kieliszek.

– Za Mary Frances Fisher i jej pierwszą publikację.

– M.F.K. Fisher. Piszę jako M.F.K. Fisher.

– Naprawdę?

– Moja matka podpisuje czeki samymi inicjałami. Niewiele myśląc, wysłałam tekst opatrzony trzema literami i nazwiskiem. Później redaktor o nazwisku Hanna poprosił listownie o spotkanie z panem Fisherem. W pierwszej chwili myślałam, że chodzi mu o Alę.

– Coś podobnego.

– Zaprosili na rozmowę pana Fishera.

– Trudno mi uwierzyć, że na podstawie twoich tekstów wzięto cię za mężczyznę.

Zaśmiała się. Była kobietą o oszałamiającej, klasycznej urodzie: oczy

o ciężkich powiekach, usta czerwone jak u lalki i regularne, wyraziste rysy twarzy. Śmiech tylko dodawał jej uroku, a bardzo łatwo było ją rozbawić.

– Dobrze jest coś skończyć albo przynajmniej mieć takie poczucie – dodała. – I dostać zapłatę. Al tak się namęczył, by zdobyć posadę w Occidental, tak trudno dzisiaj o pracę, a jego poemat...

– Ach, ten jego poemat – przerwał jej Tim z westchnieniem.

– Tak. No właśnie.

– Wiecznie nie napisany poemat.

Zaśmiała się znowu i nachyliła w jego stronę, a jemu spodobało się to, że ona nie owija w bawełnę. Lubiła się śmiać. Lubiła jeść i pić. Często myślał o tym, że musi lubić i inne rzeczy. Choć Al był jego najbliższym przyjacielem, to towarzystwo Mary Frances sprawiało mu dziką przyjemność.

– A co Al sądzi o M.F.K. Fisher? – zapytał.

– Och, jeszcze o niczym nie wie. Przynajmniej na razie. Najpierw chciałam ci podziękować za pomoc.

Poczuł się tak, jakby wyciągnęła dłonie nad stolikiem i objęła jego twarz. Zorientował się, że nie wspomniała mężowi o tej kolacji.

Tim wpatrywał się w talerz, ostatni kęs leżał obok łyżki. Jego myśli podążały jedna za drugą. Jak to możliwe, że osoba tak rozmowna zachowywała jednocześnie taki dystans? Zadała sobie tyle trudu, by spotkać się z nim w cztery oczy. Przyglądał się jej twarzy, a w jej spojrzenie na ułamek sekundy wkradła się niepewność. Tyle decyzji musiała jeszcze podjąć, tak wiele jeszcze przed nim skrywała.

– Masz ogromny talent – pochwalił ją. – Już to mówiłem.

Uniosła głowę, odsłaniając wspaniale zarysowaną, białą szyję.

– Och, komplementów nigdy dość.

Nie zdziwiło go wcale, że dziękuje jemu, a nie swojemu mężowi, on sam zaczął pisać i malować pod wpływem kuzyna, a nie ojca czy nauczyciela. Nigdy nie wiadomo, kto skrzese w nas pierwszą iskrę. Al zawsze uważał, że pisanie to tylko kolejne obok rysowania, gotowania, rzeźbienia i dziergania hobby Mary Frances, bo nie chciał, by żona z nim rywalizowała i – prawdę powiedziawszy – trudno było mieć mu to za złe.

Tim jeszcze raz pochwalił jej talent, dyscyplinę, warsztat literacki i spojrzenie na świat, dodając, że są do siebie bardzo podobni. Al, wykładowca akademicki, też ma swoje muzy i inspiracje, a Gigi gra w filmach, ale Tim i Mary Frances – dotknął jej dłoni – są zupełnie inni. Ona pracuje nad książką jedyną w swoim rodzaju. Zorientował się, jak banalnie to zabrzmiało, ale właśnie tak uważał. Powtarzał to w myślach tysiące razy, kiedy przypatrywał jej się, jak ślęczała nad zeszytem, opowiadała mu jedną ze swoich historii albo pochylona nad kartką czytała mu na głos. Tego wieczoru oczekiwała, że okaże jej swój podziw, i

właśnie tak się stało.

Czuł, jak z jej dłoni promieniuje energia, kiedy jej dotykał, stawiała mu delikatny opór – nagle zobaczył ją w zupełnie innym świetle i zaczął się zastanawiać, czy uprawia sport, gra na jakimś instrumencie, obgryza paznokcie, ssie kciuk, dotyka się czy używa perfum. Jego uważne spojrzenie taksowało jej ciało, nieustannie ją komplementował, ale jedyne, o czym mógł myśleć, to linia jej pleców, perfekcyjnie wkomponowana łopatka, miejsce, gdzie zaczynał się rękaw jej zielonej sukienki. Poruszyła nogami pod stolikiem, a on poczuł, jak jej uda elektryzują się w zetknięciu z tkaniną. Dostrzegł wszystkie szczegóły, przejrzał ją na wylot, ze wszystkich stron – na tym polegał jego talent. Już czas, by to on ją zaskoczył.

– Nie powiedziałbym tego, gdyby siedział z nami Al, mimo że to prawda, a on dobrze o tym wie. Jednak w jego obecności bym się powstrzymał.

– A przy Gigi? – zapytała.

– Och – westchnął, rozluźniając się i odchylając w tył. – Mówię jej o wszystkim.

Kelner podał jej pstrąga pod szklaną pokrywką. Oddzielił różowe mięso od ości, pokroił je na spore, nieregularne płaty, choć Mary Frances potrafiła przecież posługiwać się sztucami. W restauracji takiej jak ta kelner miał obowiązek nadskakiwać damom, a one mu na to pozwalały. Tim podparł brodę koniuszkami palców. Rozbawiło go to, a może nawet rozśmieszyło, nie potrafiła go rozgryźć, miał słodkie błękitne oczy, niewinne jak u niemowlaka. Po rybie podano przepiórkę *en papillote*, z pękniętego pergaminu wydobywał się intensywny aromat siana, usta Mary Frances załśniły od tłuszczu i wina. Zapomniała o Alu, Gigi, komentarzach, jakie wywoła później ten wieczór, i zajęła się wyłącznie jedzeniem.

To prawda, znała się na sztuce, potrafiła pisać, była piękna, inteligentna i kłębiły się w niej inne, wciąż kształtujące się talenty, ale właśnie w tym była naprawdę dobra. Jadła powoli, po chwili odsunęła się od talerza, na jej twarzy pojawił się wyraz rozkoszy. Zawsze miała ochotę skosztować czegoś jeszcze.

Rukiew z cytryną, kawałek ciasta, gorzka kawa i resztką wina. Kiedy wychodzili, było już późno, ale w restauracji wciąż siedziało mnóstwo rozpromienionych gości, jakby znaleźli się w miejscu, gdzie czas płynie innym rytmem. Mary Frances zakręciło się w głowie. Ich spotkanie kilkakrotnie dobiegało już końca, nadarzyło się już tyle okazji, by dalszą część planu odłożyć na kiedy indziej albo się wycofać. Teraz musieli wracać, zdążyła przekazać Timowi dobre wieści i mu podziękować, ale potem wieczór utkwiał w martwym punkcie. Na co jeszcze czekała?

Tim pomógł jej włożyć sweter i wygładził go na ramionach, niechętnie odrywał palce od karku i ciemnego splotu jej włosów. Parkingowy podjechał jej chryslerem i wysiadł, podając im kluczyki. Kiedy wzięła Tima pod ramię, ich

dłonie się spotkały.

Znowu przypomniała sobie o popołudniowej herbatce, eleganckim saloniku i gospodni w białych rękawiczkach. Jedna z żon grała na wiolonczeli, inna opowiadała o rocznym pobycie w Chinach, kolejna rozprawiała o zamiłowaniu do brydża, zachęcając pozostałe, by się zebrały i założyły klub. Żadnej z nich nie obchodziło, czym zajmuje się Mary Frances, a nawet gdyby ją zapytały, skłamałaby.

Tim nachylił się, by pocałować ją w policzek.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował.

Mary Frances przywarła do jego ramienia.

– A co potem? Kto ciebie odwiezie?

– Szkoda, że nie mieszkamy tak blisko, żebym mógł wrócić piechotą.

– A wtedy co byśmy zrobili?

Wciąż czuł ciepło na policzku dotkniętym lekko przez jej usta.

– Mary Frances – powiedział. – Wspaniale, że Al musiał pracować dziś do późna.

– Tak, myślę, że pracował.

– Możesz mu przekazać, moja droga, że wszyscy dziś długo pracowaliśmy.

Otworzył przed nią drzwi chryslera i pomógł jej usiąść za kierownicą, fałdy zielonej sukienki musnęły nogawkę jego spodni. Podniósł rąbek materiału zwisający do samej ziemi i potarł go między palcami.

– Tim? – powiedziała.

On życzył jej dobrej nocy, a może tylko mu się wydawało. Sporo wypili, tyle rozmawiali. Jej twarz zwrócona ku niemu w oknie samochodu teraz straciła kontury opromieniona światłem z otwartych drzwi restauracji, Mary Frances wyglądała tak, jakby płynęła w płytkiej wodzie unoszącej jej szmaragdową sukienkę.

Tim zwrócił uwagę na parkingowego dopiero wtedy, kiedy ten dotknął jego łokcia, pytając:

– Proszę pana, przyprowadzić pański samochód?

Był chłopcem, nawet jeszcze się nie golił, na mankiecie marynarki miał tłustą plamę.

Tim poklepał go po plecach, czując przyływ energii. Uwielbiał kobiety. Uwielbiał i swoją żonę, i Mary Frances w intensywnie zielonej sukience, jej lśniąca usta i płynące z nich inteligentne słowa. Kochał Gigi, ale teraz cieszył się, że wróci do pustego domu. Chciał tam pobiec.

– Sam po niego pójde.

Wzdłuż Wilshire szedł na parking przeznaczony dla gości restauracji. Przez chwilę próbował nadążyć za tylnym, kremowym zderzakiem chryslera.

W Hollywood zapadała noc, ale światła wytwórni Paramount chwytały ją i

odpychały ku niebu, Tim pędził wzdłuż Mulholland, a miasto wznosiło się i opadało niczym wielkie połyskujące morze, aż wreszcie zanurzył się w Laurel Canyon, gdzie domki tuliły się do pogrążonego w ciemności zbocza. Ten należał do kochanki producenta, następny do tancerki z zespołu baletowego, włączone lub wyłączone światło na ganku i pojedynczy sygnał telefonu świadczyły o konszachtach mężczyzn z ich kochankami, o ich ciemnych sprawkach, w Hollywood bowiem nigdy nie zapadała noc dość głęboka, by stanąć na przeszkodzie wielkim planom i występkom urągającym moralności.

Mieszkał tu tylko ze względu na Gigi.

Obiecał jej, że w Kalifornii zostanie gwiazdą filmową i – Bóg mu świadkiem – zagra sekretarkę Barrymore'a w jego kolejnym filmie. Jej gwiazda miała wznosić się na firmamencie, a Gigi dostawać coraz lepsze role, zagrać żonę, dziewczynę, matkę dzieciom. Idąc podjazdem do ich białego, przysadzistego domu, czuł się tak, jakby wkraczał na plan filmowy, gdzie niewidoczny sztab ludzi haruje w pocie czoła, by dekoracje nabrały pozorów trwałości i realności.

Zostawił kluczyki na stoliku w holu obok wazonu z bukietem tulipanów, które od wyjazdu Gigi przywiodły i zmizerniały. Obok rzucił marynarkę, krawat i spodnie, a koszulę zdjął przez głowę. Mógł uprzątnąć ten bałagan rano albo zdać się na pokojówkę. Póki był tu sam, nie miało to żadnego znaczenia.

Obudziło go podwójne stuknięcie w próg sypialni – to był odgłos kobiecych butów upuszczonych na podłogę, jeden po drugim.

– Nie śpij, bo cię okradną – szepnęła.

Zapalił światło.

– Mary Frances? Wszystko w porządku?

– Drzwi były otwarte. Weszłam bez pukania.

Jego ciało o wydatnych żebrach, pełne zagłębień, szczupłe, ale nie wiotkie, tonęło w poduszkach. Wprawdzie jako uczestnik dwóch wojen nauczył się, że należy bezustannie zachowywać czujność, ale jej widok go zaskoczył. A ona zaskoczyła samą siebie.

Kładąc torebkę na komodzie, uświadomiła sobie, jakie to niedorzeczne, że wciąż ma przy sobie złożony na pół maszynopis. Nie przychodziło jej do głowy żadne sensowne wyjaśnienie: przecież mieszkała daleko stąd, na wzgórzach, tam czekał na nią mąż. Nareszcie wieczór osiągnął punkt kulminacyjny. Przyjechała tu tylko z jednego powodu.

Zdjęła zegarek i odłożyła go na komodę.

Tim nie spuszczał jej z oczu.

– Masz rację – przyznał. – Nigdy się nie czerwienisz.

– Przecież mówiłam.

– Moja droga, która to godzina? Wyglądasz jak dziewczynka, która już dawno temu powinna spać.

A więc rzucił jej wyzwanie.

– Mary – wyszeptał. – Nie.

Odwróciła się, jej palce odnalazły zamek sukienki i zaczęły go rozsuwać ząbek po ząbku. Miała nadzieję, że nie wygląda tak idiotycznie, jak się czuje, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Musiała się przekonać, czy on jej naprawdę nie chce, jeśli cokolwiek miało się między nimi wydarzyć, to właśnie teraz, a gdyby wszystko zrujnowała, to, do cholery, mówi się trudno.

Poczuła, jak za jej plecami łóżko ugina się pod ciężarem Tima, a potem między udami poczuła muśnięcie opuszków jego palców.

Zniknął w jej ustach.

Nikommu o tym nie powiedzą. Rano, u progu nowego tygodnia, Tim z bukietem wyjdzie po Gigi na Union Station. Obładowany jej bagażami będzie przedzierał się przez gromadkę dziewcząt o farbowanych, falowanych włosach – każda jak orchidea o mięsistych, jaskrawych płatkach, z objuczonym mężczyzną u boku. Zabierze Gigi do domu. Ona usiądzie przy fortepianie, krzyżując kostki, i zapyta go, co grywał, kiedy jej nie było.

Ten moment stanie mu przed oczami: tęsknił za nią, zawsze ją kochał, ale czasem przez przypadek popełniamy głupstwo. Wyzna, że pod jej nieobecność zdarzyło się coś dziwnego, i wyobrazą ją sobie skąpaną w świetle na zdjęciu z Eddiem Cantorem, w ciężkiej blond peruce, która skrywa jej ciało przed obiektywem kamery – niewolnica z haremu, z odchyłoną głową, z twarzą zatrzymaną w kadrze, wyniosła jak rumak, Gigi należąca tylko do niego, od kiedy skończyła trzynaście lat. Opowie jej o przedziwnym wydarzeniu, jakie miało miejsce pod jej nieobecność – ich przyjaciółka Mary Frances w środku nocy zjawiła się w jego łóżku – a kiedy tylko to z siebie wyrzuci, nad ich głowami coś pęknie i zaleje ich fala gorącego światła.

Ona położy drobną, alabastrową dłoń na jego ręce, zapewniając go, że nic takiego się nie stało. Wtedy on zauważy, że nawet nie zdjęła kapelusza, ale ściągnęła obrączkę ze szczupłego, jasnego palca, a bukiet lilii o pudrowym zapachu coraz bardziej jej ciąży. Zabraknie mu słów.

Teraz jednak wydawało mu się, że to Mary Frances spija słowa z jego ust. Po tym, jak zjadła wszystko do ostatniego kawałeczka, syta, pijana i wilgotna szepcze mu do ucha, co i jak chciałaby z nim zrobić, mocno do niego przywiera, on odczuwa siłę jej nóg, ich mocny uścisk, choć ona nie milknie, on nie pojmuje ani słowa, ale coś w nim pęka. Jej halka ślizga się po jego skórze, a on wreszcie rozbiera Mary Frances i oboje są nadzy.

Niewiele rzeczy Mary Frances uważa za tak naturalne jak nagość, ale teraz patrzy w dół, w przestrzeń pomiędzy nimi, nie starcza jej śmiałości, by spojrzeć mu w twarz, dlatego próbuje odnaleźć sens w jego ciele, jej wzrok szuka miejsc, w których poszczególne elementy do siebie przylegają, układając się

w funkcjonalną całość, przypomina jej się ryba filetowana przez kelnera, czyż to nie cud, że można zajrzeć do wnętrza? Właśnie tak chce patrzeć na Tima. Boi się kolejnego pragnienia.

Strach maluje się chyba na jej twarzy, bo Tim z niepokojem pyta: „Co?”, nic więcej nie chce mu przejść przez gardło, nie potrafi dokończyć: „Coś nie tak?”, „Co się dzieje?”, wszystkie te pytania wydają się nie na miejscu, chciałby je zadać, ale się waha, nic do niej nie dociera, nic nie może wypełnić przestrzeni, która teraz się rozrasta, rozpycha między nimi. Och, niech to szlag – myśli ona. – Niech to szlag. Mimowolnie wydobywa z siebie głos, ale zanim zdąży wyznać mu miłość, jego usta spadają na jej wargi, zakrywają je, opatrność nad nią czuwa, przecież nie dlatego zapragnęła Tima, że go kocha, to nie miłość kazała jej zawrócić na ciemnej autostradzie i przywiodła ją ku tej chwili, tylko nieposkromiony apetyt, bezwzględny, nieznoszący sprzeciwu, równie rzeczywisty jak miłość, ale znacznie niebezpieczniejszy.

Teraz ona myśli tylko o jednym: Nie przestawaj, nie przestawaj. Nie przestawaj.

Wyszła, kiedy on jeszcze spał, maszynopis wyjęła z torebki i zostawiła obok jego marynarki w holu. Sprowadziła auto z podjazdu na luzie i dopiero potem zapaliła silnik, a światła włączyła, kiedy zbliżyła się do głównej drogi, pędem przejechała przez kanion do należącego do jej rodziny letniego domku w Lagunie, gdzie – jak poinformowała Ala – zamierzała spędzić całą noc. Dziwne – wszystko potoczyło się tak naturalnie. Kiedy otworzyła drzwi i okna, zapach eukaliptusów i zeszłorocznych popiołów uderzył ją jak pięść.

Na regale na poddaszu leżała kartonowa teczka z bez mała pięćdziesięcioma sonetami, tyle razy je czytała, kartki pomięły się i pozaginały, bo nie rozstawała się z nimi przez całą zimę przed zaręczynami, kiedy Al był daleko, uczył angielskiego w szkole z internatem w Wyoming. Wyznał jej, że pisał do niej długimi, mroźnymi nocami, póki nie wypaliły się świece, a atrament nie zamarzł w kałamarzu. Sonety nie były o niej, tylko dla niej. Przez papier wyczuwała emocje piszącego, nawet jeśli nie potrafiła ich nazwać. Pragnęła, by i ją przepelniły.

Była leniwą studentką, kiedy się poznali, uczyła się w szkole letniej na Uniwersytecie Kalifornijskim, ale jej listy były tak żarliwe, że kiedy Al przyjechał do niej w czasie przerwy bożonarodzeniowej, natychmiast chciał się żenić, a potem zabrać Mary Frances z Kalifornii do Francji, do Dijon, gdzie dostał trzyletnie stypendium. Kiedy po raz pierwszy się pocałowali, ona wpadła w jego ramiona, podłoga zakołysała się pod nią jak pokład statku. Miała dwadzieścia jeden lat.

Francja to była bajka, przygoda, przedłużony miesiąc miodowy. Al studiował, więc mieli tylko tyle, ile przysyłali im jej rodzice, Rex i Edith. Alowi nie starczało czasu na własną twórczość, choć uczył się po to, by zostać pisarzem. Może dlatego, zamiast poświęcać czas na naukę profesji, lepiej od razu się nią

zając. Mamy tak niewiele czasu.

To właśnie do domku letniego w Lagunie wrócili z Alem z Dijon i tam spotkali Tima i Gigi.

Zaczął się od niewielkiego trzęsienia ziemi. Kiedy minęło, na wysypanej żwirem drodze zobaczyli Gigi w letniej, kraciastej sukience z powiewającymi na wietrze wstążeczkami, które oplatały jej szyję. Za jej plecami na przechylonym słupie wysokiego napięcia z kabla wystrzeliły z sykiem iskry, a nadchodząca Gigi wyglądała tak, jakby wyładowanie elektryczne obudziło ją do życia. Mary Frances zauważyła, że Al wypina pierś. Ona wyprężyła się jeszcze bardziej.

– Dobry Boże, oto i cała Kalifornia – przywitała ich Gigi. Wypuściła z rąk na ziemię resztki porcelanowego pieska. – Dillwyn i Gigi Parrishowie.

Dillwyna nie było. Cała trójka spojrzała na ganek z ozdobną balustradą.

– Timmy! – zawołała.

Od tamtej chwili nie rozstawali się z Parrishami, którzy wynajmowali sąsiedni dom, podczas gdy Tim remontował inne, jeden w Lagunie, a drugi w Laurel Canyon. Był starszy od nich, zajmował się sztuką, wcześniej prowadził restaurację, a przed wielu laty opublikował powieść i ilustrował kilka poczytnych książeczek dla dzieci napisanych przez swoją siostrę. Miał koneksje w Nowym Jorku i Hollywood. Zlecił Alowi malowanie ogrodzeń i wtedy razem wpadli na pomysł scenariusza. Mary Frances pamiętała wieczory, kiedy gadali nad butelką wina, przy zapalonym kominku, za oknami świstał wiatr, a Gigi wisiała nad nimi niczym kryształowy żyrandol. Mary Frances często wydawało się, że zaczęła pisać tylko po to, żeby nie dać o sobie zapomnieć.

Dobrze wiedziała, że Al po wykonaniu zlecenia z ulgą wrócił do życia uczelnianego, jesienią dostał bowiem pracę w Occidental College. Po raz ostatni widzieli się z Parrishami kilka miesięcy wcześniej, pod koniec lata, tuż przed przeprowadzką do Eagle Rock.

Mary Frances tęskniła za tym domem. Wychowała się, niemal dosłownie, przy długim stole stojącym nad brzegiem morza. Salony i kucharki, herbatki i przyjęcia w mieście równoważyło lato spędzane na myszkowaniu wśród nadmorskich skał z siostrami Norah i Anne – miały stopy czarne od szlamu i brzuchy pełne ryb złowionych w sieci przez ich brata Davida. Laguna Kennedych. Przyjechała tu z nadzieją, że rodzinne miejsce podpowie jej, jak odnaleźć drogę w labiryncie.

Z wysmaganego wiatrem ganku przeszła ścieżką porośniętą szałwią na skalisty brzeg oceanu. Było jeszcze chłodno, łukowata plaża wydawała się całkiem opustoszała, a szeroki neon hotelowy na wybrzeżu raz po raz zapalał się i gasł. Usiadła na najniższym stopniu, ze stopami w piasku, i wpatrywała się w fale uderzające o brzeg.

Słyszając odgłos kroków za plecami, odwróciła się i zobaczyła inną parę, którą

widywali tamtego lata. Każdego popołudnia na kocu przesiadywał mężczyzna w obcisłym stroju plażowym, a kobieta ubrana jak pielęgniarzka wcierała olejek w masywne opalone plecy swojego towarzysza. Teraz, mijając Mary Frances przycupniętą u dołu schodów, przerwali rozmowę i podjęli ją, dopiero kiedy się oddalili.

Latem mężczyzna obserwował ją, jak wychodziła z oceanu, siedział, obejmując rękami kolana, i mrużył oczy, kiedy raziło go słońce. Codziennie, idąc w stronę schodów, przechodziła obok nich w mokrym kostiumie kąpielowym, prawie naga, a nieznajomy uporczywie się w nią wpatrywał. Pewnego dnia się odwróciła, popatrzyła mu prosto w oczy, wytrzymała ciężar jego spojrzenia. Wtedy zza niego wychynęła kobieta, wbiła zęby w jego pulchną dłoń jak suka przywołująca do porządku niesfornego szczeniaka, a on się zaśmiał, odwrócił się do niej, uśmiechnął i zaczęli rozmawiać. Mary Frances zgasła jak światło w oddali.

Teraz mężczyzna szedł wzdłuż krawędzi wody, tak by krople go nie dosięgły, jego towarzysza pół kroku za nim, w szarym płaszczu na guziki, z założonymi rękami. Po chwili strzepnęła pyłek z rękawa jego swetra. Mary Frances już nie przechodziła obok ich koca, nastąpiła zima i zapanował chłód, ale oni pomimo innej pory roku byli tacy jak zawsze.

Wkrótce Mary Frances miała wspiąć się po schodach na klif, a potem zasnąć na wąskim łóżku na poddaszu, następnego dnia zamierzała wrócić do Ala, a on nie zauważyłby niczego niepokojącego w jej wypoczętej twarzy, opalonej przez poranny wiatr. Na kolację przygotowałyby danie tak skromne jak posiłki, które jadali zazwyczaj we Francji, a potem przy kominku wypiliby resztkę dobrego koniaku. Al otworzyłby książkę, którą wspólnie czytali, *Moby Dicka*, a wielki biały wieloryb zabrałby ich z powrotem na pełne morze.

Z całym zdecydowaniem, z butami w rękę, domagała się tylko jednej jedynej nocy. Wydawało jej się, że po powrocie do Eagle Rock jej życie wskoczy na właściwy tor, że rozmyją się kontury, a ona sama już nie będzie wiedziała, czy wydarzenia tamtej nocy były jej dziełem, czy może tylko z bardzo bliska obserwowała ich bieg.

Kiedy wróciła do Eagle Rock, Al zajmował się tym, co tak absorbowało go od początku ich małżeństwa, czyli pisanem. Rano wychodził na zajęcia, wpadał na lunch, przynosił butelkę mleka, zjadał jajko sadzone na żytnim chlebie, całował ją w policzek przed powrotem na uczelnię i tyle go widziała do kolacji.

Jego maszyna do pisania dyktowała rytm domowego życia. Mary Frances myła naczynia, wieszala pranie, brała kąpiel, a jednostajne, mechaniczne staccato dobiegające od jego biurka w sąsiednim pokoju wprawiało w drżenie szprosowe okna. Bała się tego, co mogłoby wypełnić jej głowę zamiast dźwięcznego stukotu klawiszy i odgłosu wręcania kartki między wałki.

W Dijon Al bujał w obłokach, nawet po ślubie nie potrafiła odgadnąć jego

myśli. Niekiedy zamierał na kilka minut, podkurczał szczupłe nogi pod krzesłem i wyglądał przez to samo okno, przy którym siedziała i ona. Czarna kawa, fajka, nieruchome klawisze maszyny do pisania, on wpatrzony w omszałe dachy miasta, zupełnie jej nie dostrzegał. Nie lubiła, kiedy pracował w domu, bo wtedy wydawało jej się, że pomimo pozornej bliskości jej mąż przebywa bardzo, bardzo daleko. Woląла wyobrażać go sobie, jak przesiaduje w kawiarni na placu, nie zwracając uwagi na otaczających go ludzi, nawet na śliczne dziewczyny.

Zdejmowała aksamitne domowe pantofle i zakładała nogę na nogę, próbując ściągnąć na siebie jego uwagę. Koniuszką pióra postukiwała o zęby, mąciła ciszę cichymi cmoknięciami. Zwracała twarz ku słońcu, odchyłała się na oparcie krzesła, zamykała oczy, ale w głowie krzyczała wściekle, wzywając go, by się do niej odwrócił. Wreszcie zrywała się z krzesła, a książka, którą trzymała otwartą na kolanach, spadała z trzaskiem na podłogę.

Dopiero wtedy Al reagował.

– Kochanie – mówił, sięgając do kieszeni. – Dziś czwartek, prawda?

Wkładał jej w dłoń jakiś drobiazg kupiony na targu, dwa guziczki z kości słoniowej, woreczek z lawendą albo szylkretowy grzebień do upinania włosów. Co czwartek dawał jej jakiś prezent na pamiątkę ich spotkania, a ona, obracając w dłoni byle świecidełko, czuła się tak, jakby sama je sobie zrobiła, kiedy wyężdżając całą siłę woli, wyrwała go z wzniesłego zamyślenia.

On się do niej uśmiechał, głaskał ją palcami po policzku i znowu wszystko było w porządku.

Teraz płoszył ją dzwoniący telefon, niepokoiło pukanie listonosza. Snuła się w korytarzu pod jego gabinetem – krzesło Ala, czarna maszyna do pisania Ala, poemat Ala, resztki wątłego światła padające na biurko – czekając, na aż on pozwoli jej wejść.

– Kochanie – odezwał się – zrobiło się już tak późno?

Gestem przywołał ją do siebie. Oboje spojrzeli na bałagan na biurku: karteluszek z zapiskami, pełna popielniczka, rosnąca sterta rękopisów, o których pokazanie nie miała już zamiaru więcej go prosić. Mogłaby zakryć to wszystko kawałem płótna, spakować walizki i wyjechać na południe – do Meksyku albo z powrotem do Francji – i wrócić tu na wiosnę. Pewien chłodny świąteczny dzień spędzili na planowaniu wyjazdu do Algierii, choć dobrze wiedzieli, że to czyste mrzonki. Teraz też potrzebowała takiego planu, całej serii planów, takich, jakie niegdyś snuli wspólnie z Alem.

– Kolacja? – zaproponowała.

Westchnął. Ze zmierzwionymi blond lokami wyglądał tak uroczo.

– Oczywiście.

Zajął swoje miejsce przy kuchennym stole, a ona zapalką zapaliła stojącą obok niego świeczkę. Kiedy się krzątała, wydawała mu się równie odległa jak

latawiec, który odfrunął za daleko, by go złapać. Niekiedy, odrywając się od biurka, nie potrafił sobie przypomnieć, czego ona od niego oczekuje, jak należy zagrać rolę męża.

Z szafki wyciągnęła mały kieliszek i butelkę sherry i postawiła je przy jego łokciu.

– Co ja bym bez ciebie zrobił? – powiedział, ale ona nawet się nie odwróciła.

Zasłonił oczy dłońmi. Lubił wsłuchiwać się w kuchenną krzątaninę, skrobanie noża o deskę i głuchy odgłos krojenia warzyw. Ten rytuał zainicjowali w ostatnich tygodniach we Francji, w ich mieszkanku panował taki ziąb, że Mary Frances gotowała kolację w płaszczu, oboje wtedy milczeli. Dopiero później, kiedy wtuleni w siebie przed piecem węglowym siedzieli nad wspólnie czytaną książką, zaczęli rozmawiać. Odkąd jednak Al spędzał całe dni przy biurku, obecność Mary Frances zaczęła go przytłaczać.

Jego rodzice nie okazywali sobie zażyłości. Ojciec nigdy nie przyglądał się matce, jak gotowała ziemniaki i wielkie kawały mięsa, nie potrafił usiedzieć beczynnie: czytał gazetę, słuchał radia, jadł, a potem zabierał się do jakiegoś innego zajęcia. Al i jego brat Herbert nie pozwalali matce próżnować, potrzebowali jedzenia jak paliwa. Ojca absorbowały sprawy kościoła, codziennie odwiedzały ich grupki parafian. Wspólnota. Wspólnotę rodzice przedkładali nad wszystko.

A teraz Al czuł się wykorzeniony, został sam z Mary Frances i jej rodziną.

– Wiesz – powiedział. – Larry twierdzi, że synek Fay mniej daje w kość, od kiedy zaczął mówić. Więcej słów, mniej krzyku. Może moglibyśmy kiedyś ich zaprosić.

Mary Frances się zaśmiała. Z Larrym znali się od niepamiętnych czasów.

– Fay też?

– Przecież ją uwielbiasz.

– Uwielbiam Larry'ego. Ją zaledwie lubię.

Mary Frances usuwała błonki pomiędzy cząstek pomarańczy, gromadząc sok w misce. Jej nadgarstek zginał się miarowo. Kuchnię wypełnił cytrusowy aromat.

– Wątpię, by zdecydowali się na kolejne dziecko – oznajmił Al.

Ostrze noża zatrzymało się na ułamek sekundy, ale po chwili wróciło do rytmicznej pracy.

– Och, czy nie dość jest dzieci na świecie? Najwyraźniej Fay ma już pełne ręce roboty.

Al nic nie odpowiedział.

Odwróciła się.

– Najwyraźniej – powtórzył. Zakołysał kieliszkiem z sherry.

Dzień wcześniej z listu od matki dowiedział się, że napromienianie nie zmniejszyło cierpienia ojca, a nowotwór się nie wycofuje. Leczenie przez

krwiobieg jest o wiele skuteczniejsze. Herbert wciąż jest w Chinach. Nic nie wskazuje na to, by planował ożenek i powrót do domu.

Za kuchennym oknem przemykał wieczór, świece podświetlały od dołu twarz Mary Frances, uwydatniając zarys jej szczęki. Zamarła, kiedy wspomniał o dzieciach, choć napomknienie było zawoalowane, a może źle odczytał jej reakcję. Doszedł do wniosku, że to on powinien poruszyć ten temat.

Wstał, wyciągając koszulę ze spodni.

– Pójdę się umyć – oznajmił i wyszedł do łazienki.

Thuszcz na patelni się spalił i szerniał. Mary Frances doskoczyła do naczynia i chwyciła je przez ścierkę, wytarła kawałkiem gazety i zaczęła gotowanie od nowa, tym razem nie spuszczać kuchenki z oczu. Podsmarzyła cebulę i czosnek na złoto i posiekała kilka bladych listków estragonu rosnącego w doniczce na parapecie. Intensywny świeży zapach przywodził na myśl wiosnę.

Wiosną w Dijon, podczas wspólnej górskiej wyprawy pod auspicjami Klubu Alpejskiego, starsze panie bez przerwy besztaly ją za niepewne stawianie kroków i raczkującą francuszczyznę: *la petite violette, violette américaine**. Z irytacją spoglądała na Ala, a on się śmiał. Daleko jej było do delikatnego kwiatuszka. Gdy zatrzymywali się na posiłek, zamawiała suflet albo mózdzek cielęcy, potrawy z wątróbki albo szpiku i tyle mocnego wina, że wzbudzała powszechne rozbawienie. W drodze do domu ich towarzyszki dały jej spokój.

Gdyby teraz przyszła jej ochota na mózdzek cielęcy, to nie wiedziałyby nawet, gdzie i za co go kupić. Żywili się wyłącznie warzywami, książkami, tytoniem i ciszą. Zblanszowała i posiekała pęczek szpinaku. Ubiła jajka z estragonem i jeszcze raz rozgrzała patelnię. Przyrządziła sałatkę z awokado i pomarańczy. Podała butelkę piwa i chleb. Na dzisiaj tyle powinno wystarczyć.

Jej matka zawsze mogła liczyć na kucharzy oraz obfite spiżarnie i lodówki, ale we Francji nie było miejsca na przechowywanie zapasów i Mary Frances nauczyła się wykorzystywać to, co akurat miała pod ręką. Al też wyniósł z tego lekcję, nie oczekiwał, że ona otoczy go troską, poda mu codziennie mięso z ziemniakami, ciasto i kawę, zrozumiał raczej, że bycie razem polega na dawaniu i braniu. Rozmowie. Chwyciła patelnię przez ścierkę i wsunęła pod ruszt. Od jakiegoś czasu właśnie takie rozmowy z Alem wydawały jej się najbezpieczniejsze.

On wrócił do kuchni i zapytał, czy ma ochotę na drinka u Parrishów.

Mary Frances oparła się o kuchenkę. On trzymał zaproszenie.

– Gigi nie wyjechała? – zapytała.

– Na pewno już wróciła. Przyjęcie powitalne? – Al uderzył zaproszeniem o dłoń. – Za długo ich nie widzieliśmy.

– Tak – odparła. – To prawda.

Jak mogła być taka naiwna. Oczywiście wciąż będą wspólne drinki, kolacje, wyjścia do kina czy karty z Parrishami, ale czymkolwiek był ten gwałtowny

rozbłysk, który pojawiał się, kiedy ich oczy spotykały się nad stołem, więcej go nie zobaczy, ponieważ nie był dla niej wystarczający. Nie potrafiła zadowolić się namiastką ani zrezygnować.

Momentalnie jej myśli zwróciły się ku przeszłości, poczuła pod palcami skórę Tima, jakby jej naprawdę dotykała, choć jej dłonie szukały właśnie ostatniego noża w pełnym wody zlewie. Podstawowe odruchy ją zawodziły. Wyciągnęła frittatę z piekarnika, ukroiła sobie i Alowi trójkątne kawałki, połała sosem sałatkę, otworzyła piwo i nakryła do stołu. Al podziękował skinieniem głowy. Cóż im pozostało? Nachylili się nad posiłkiem i jedli.

Po drugiej stronie doliny kolacja już stygła na talerzach. Gigi ugotowała zupę, srebrzyste oka unosiły się w miseczkach, a z piekarnika wciąż jeszcze się dymiło. Pieczeń była tak niejadalna, że wśród śmiechów zrezygnowali z jedzenia. Tim wlał już w siebie tyle ginu, że było mu doprawdy wszystko jedno.

W salonie Gigi usiadła przy fortepianie i jednym palcem wygrywała melodię piosenki, której miała się nauczyć do filmu Busby'ego Berkeleyya, by znowu zagrać rolę długonogiej piękności. Tyle udało się Timowi zrozumieć. Nie wypowiadała ani jednej kwestii, nie wcielała się w żadną istotną postać, razem z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma innymi dziewczynami miały odsłonić nogi. Nazywano to numerem tanecznym. Napił się ginu. Na fortepianie też nie umiała grać. Miała dwadzieścia dwa lata. Co z tego, że potrafiła śpiewać i tańczyć? Kochał ją, Boże, i żałował tego, co wydarzyło się z Mary Frances.

Problem polegał na tym, że Gigi niczego nie żałowała. Gigi postanowiła odejść.

Stojąc w drzwiach kuchni, przyglądał się, jak nieporadnie jego żona próbuje sobie akompaniować i śpiewać. Wysoko upięła włosy grzebieniem. Piosenka opowiadała o nieśmiałej panience.

– Mogę? – zapytał.

Odstawił szklankę na stół, objął Gigi, a ona zareagowała na jego bliskość tak, jakby był krawcową albo pielęgniarką. Wpatrywała się w jego dłonie wygrywające akordy, jej głosik mógł teraz bez przeszkód wydostać się z płuc, z dumną miną zaczerpnęła powietrza. Refren zaśpiewała z pełnym uczuciem, a Tim pozwolił ostatnim nutom wybrzmieć tak długo, jak tylko Gigi potrafiła je utrzymać.

Na moment oparła głowę o jego klatkę piersiową i mu podziękowała.

– Możemy porozmawiać? – zapytał.

Już zaczęła chować nuty, chować się przed nim. Tyle rozmawiali przez minione dni, ale Timowi wciąż się wydawało, że ma jej jeszcze coś do powiedzenia. Ostatnią rzecz.

Nawet na niego nie spojrzała.

– Jutro rano mam próbę. Powinnam się położyć.

Nachyliła się i cmoknęła go w czoło. Gdyby miał na sobie krawat,

poprawiłaby mu go. Nagle on przypomniał ją sobie jako dziewczynę gryzącą koniuszek warkocza, nachyloną nad podręcznikiem, dukającą coś po łacinie, pod stołem kładącą stopę na jego stopie. Zawsze go dotykała, pieściła, ale teraz odnosił wrażenie, że robi to czysto mechanicznie.

Nie miała wątpliwości. Najmniejszych.

– Damy sobie radę – zapewniał ją. – Jeśli ty...

– Nie ma mowy. Nie uda nam się. – Położyła dłoń na jego policzku.

Odmawiała mu głosem, w którym cichutko pobrzmiwało zadowolenie. – Zresztą na pewno zaraz kogoś poznasz. Żaden z twoich znajomych nie żyje samotnie. Wszyscy mają żony.

– Gigi...

– Znajdziesz sobie inną.

Odsunęła się od niego i opierając się o stółek, trąciła jego pustą szklanekę. Podawała mu ją, ocierając perłace się krople.

– Zadzwoń rano do dostawcy lodu – przypomniała mu.

I wyszła: szelest spódnicy i woń zielonych perfum.

John Weld był scenarzystą albo kaskaderem, a może jednym i drugim. Poznali się z Gigi poprzedniej wiosny. Nie, nie było jej wstyd. Serce nie sługa – stwierdziła. Co za dziecinna wymówka – irytował się – pora dorosnąć. A teraz, do spółki z Mary Frances, tak wiele jej ułatwił.

Z resztką drinka podszedł do drzwi prowadzących na taras, jego odbicie w szybie nakładało się na pogrążony w mroku ogród, wełniste ramię jałowca, pękaty pień ceiby, stąd drzewa wyglądały jak potwory. Kaskader, Jezu, facet, który naraża życie, by ktoś inny zebrał pochwały za jego robotę.

Mijały kolejne godziny nocy, raz po raz napełniał szklanekę.

Obudził się w jasnym świetle późnego poranka, Gigi stała przed jego fotelem jak skoczek na krawędzi trampoliny.

– Wszyscy i tak przyjdą na drinka – powiedziała.

– Na pewno? – Tim westchnął, wyrzwał na taras i zobaczył krótkie cienie palm przy domu sąsiadów. Wydawało mu się, że gdzieś tam czas się zatrzymał, a niektóre chwile nie przeminęły.. Niech szlag trafi Laurel Canyon. – Wszyscy?

– Fisherowie, Sheekmanowie. Nan i Bóg wie kto jeszcze.

Gigi przepasana fartuchem w jabłuszka trzymała drewnianą łyżkę za miseczkę zamiast za trzonek i patrzyła na niego wyczekująco. Przeoczył moment, w którym zamieniła się w sekutnicę pragnącą jego zguby. Wróciła do kuchni, domowe pantofle na jej drobnych stopach klapały o podłogę.

– Przywiozę lód – oznajmił i wyszedł drzwiami na taras.

Kiedy kilka godzin później parkował przed domem, chrysler Fisherów zatrzymał się obok niego na podjeździe.

– Staruszkę – przywitał go Al.

Tim się odwrócił, a krople z worka z lodem poplamiały jego ciemne, płócienne mokasyny.

– Co ty u diabła robisz? – Al nachylił się nad kolanami Mary Frances, żeby wyrzeć przez otwarte okno po jej stronie, a ona położyła mu na ramieniu lewą dłoń, na jej palcu zaśniła obrączka.

Na Boga, przecież są sobie tak bliscy. Cała czwórka przyjaźniła się od lat.

Tim się do nich uśmiechnął.

– Cześć.

Jego piękna twarz o ostrych rysach, teraz ocieniona, wyglądała inaczej niż wtedy, w półmroku jego sypialni, nie takim go zapamiętała. Nachylał się, rozmawiając z Alem, z jego ust wydobywały się dźwięki, których ona nie potrafiła poskładać w słowa, jego długie palce obejmowały ramę okna samochodu. W brzuchu Mary Frances zacisnął się węzeł.

– A u ciebie wszystko w porządku? – zapytała wreszcie.

Tim spojrział na nią i coś odrzekł, mogła się tylko domyślać, że odpowiada na jej pytanie. Uśmiechnął się, ona się zaśmiała, a Al jej zawtórował. Tim poklepał drzwi auta i wyprostował się, a gdy odchodził, pomachał im i zniknął za domem.

Dopiero teraz z płuc Mary Frances wydostał się wstrzymywany oddech.

– Dobry Boże – zaniepokoił się Al. – Co się z nim stało?

– Co masz na myśli?

– Wygląda okropnie, jak wypluty. Słowo daję. Może jest chory?

– Chory?

Al spojrział na nią, a Mary Frances zamknęła oczy i usta, by jej nie zdradziły.

– Nie zauważyłaś? – zapytał. – Kochanie, powinnaś być bardziej spostrzegawcza.

Pokręciła głową. Nadchodzące godziny wymagały od niej nadludzkiego wysiłku, po prostu nadludzkiego, jakby miała wtaczać głazy pod górę. Al pomógł jej wsiąść, chwycił go za rękę, a kiedy pukał do drzwi, zdjęła krótkie czarne rękawiczki, przygotowując się do skoku na łeb na szyję.

Otworzyła im Gloria, obecnie Gloria Sheekman. Pisnęła z radości na ich widok.

– Cześć – rzuciła na powitanie. Przycisnęła dłoń do pleców Ala, wyjątkowo mocno jak na osobę jej postury. Włosy miała zafarbowane na śnieżny blond. – Wiecie, że Timmy zniknął.

– Ach. Naprawdę? – zdziwił się Al.

– Tak. Gigi twierdzi, że pojechał po lód, ale jego samochód stoi na podjeździe.

– Glorio, pozwól, że naleję ci drinka – zaproponował Al. – Przedstaw mnie swojemu najnowszemu mężowi.

– Ale z ciebie zrzęda, Al. – Nachyliła się, by pocałować Mary Frances.

Pachniała różami i ginem. – Sam sobie nalej.

Odebrała od nich płaszcze i poprowadziła Mary Frances przez hol, gadając jak najęta. W sypialni gospodarzy paliło się światło.

– A Gigi, nasz motylek, pojawia się i znika. Coś takiego, ona ma na sobie fartuch.

– Glorio, ja też czasem chodzę w fartuchu.

– Ale ona dwa ostatnie tygodnie spędziła w metalowej puszcze z dwudziestoma koleżankami. Coś mi tu śmierdzi. – Odwróciła wzrok w zamyśleniu. – Może jest w ciąży.

Mary Frances przełknęła ślinę.

– Marzy ci się, żeby ktoś jeszcze wywołał skandal w wytwórni.

– W nosie mam wytwórnię. Znalazłam sobie nowego tatusia.

Jeńca miłości grano już od kilku tygodni. Gloria wcieliła się w naiwniaczkę, która pod wpływem hipnozy błąka się po ekranie przez godzinę, aż wreszcie odczarowuje ją narzeczony. Prasa ostro przejechała się po filmie, a wypowiedzi Glorii brzmiały tak, jakby w prawdziwym życiu też bredziła w zamroczeniu jak zahipnotyzowana. Nie przejmowała się tym. To był jej ostatni kontrakt z Universalem. Hollywood się zmieniało. Teraz wprowadzono nowe, twarde zasady, a osoby o wątpliwej reputacji, takie jak Gloria, zaczęły stanowić problem. Gwiazdkom nie wolno było się rozwodzić. Gloria spadła jednak na cztery łapy. W kółko rozprawiała o hicie Busby'ego Berkeleya głównie dlatego, że Gigi też grała w nim mniej istotną rolę chórzystki.

– Żadnej innej znanej mi dziewczyny nie traktowano tak długo jak podlotka – oznajmiła Gloria. – Czy jej się wydaje, że wiecznie będzie nastolatką?

Mary Frances wzruszyła ramionami i już miała powiedzieć, że nie wie, ale nagle zjawiała się Gigi we własnej osobie, ściskając w dłoni rąbek fartucha założonego na opiętą sukienkę z niebieskiej krepy. Przystanęła, potem znowu ruszyła w ich stronę.

– Glorio, przestań się ze mnie nabijać – odezwała się Gigi zamiast powitania, po czym wychyliła się do Mary Frances, by cmoknąć ją w policzek. – Jak miło was widzieć.

– Och, Gigi, przecież wiesz, że nie wierzę w ani jedno jej słowo – zapewniła ją Mary Frances.

Gloria westchnęła.

– Jestem zazdrosna, kochanie. Nigdy nie byłam taka młoda jak ty.

Gigi odgarnęła włosy z twarzy, a jej uśmiech niczym zbyt bliski rozbłysk sprawił, że Mary Frances zakręciło się w głowie i zdała sobie sprawę, że bierze udział w podchodach. Tim uprzedził ją przecież, że Gigi dowie się o wszystkim. Gloria, zwracając się do nich *per* „moje ptaszki, moje motylki”, zaproponowała, by się czegoś napiły.

– Zaraz do was dołączę – powiedziała Gigi i zniknęła w sypialni.

– Cholera – wyszeptała Gloria. – Ile z tego, co powiedziałam, powinnam odwołać?

– Wszystko – odparła Mary Frances. – Właściwie najlepiej byłoby zacząć od początku.

Gloria wbiła jej w bok swój długi palec.

– Co cię ugryzło?

– Dobrze mi zrobi drink. Albo dwa.

– Moja szkoła.

Gloria rzuciła naręczę płaszczy na stół kreślarski w pracowni Tima i przeszła do salonu. Pół tuzina różowych gwiazd betlejemskich zdobiło kominek. Święta.

Tim włożył przez głowę landrynkowy sweter w serek подарowany mu przez Gigi na poprzednie Boże Narodzenie, bo – jak twierdziła – wyglądał w nim niczym członek klubu golfowego. Nie grywał w golfa i nie nosił swetrów, ale rzeczywiście w jasnobrzoskwiniowym kolorze nie było po nim widać, że pił ostatnie pięć dni z rzędu. Zaciał się przy goleniu, ale wmawiał sobie, że wcale nie trzęsą mu się ręce. Przycisnął kawałek papieru toaletowego do podbródka. Chciał jak najszybciej stamtąd uciec.

W sypialni Gigi leżała skulona po swojej stronie łóżka z wilgotną i zapuchniętą twarzą. Po raz pierwszy od ich spotkania na stacji kolejowej zobaczył ją we łzach.

– Kochanie – szepnął. – Proszę cię.

– O co? – Jej głos był lodowaty.

– Mogę odprawić wszystkich do domu, Gigi. Przyniosę ci filiżankę herbaty, a rozmowę odłożymy na później. Rano wszystko sobie wyjaśnimy.

Gdy tylko powiedział to na głos, napięcie rozproszyło się niczym burzowe chmury rozgonione przez wiatr. Uświadomił sobie, że chciałby usłyszeć od niej, jak bardzo jest jej trudno. Z dziką satysfakcją poszedłby do salonu i wyprosił gości. Gigi boli głowa. Gigi dopadło jakieś choróbsko. Nigdy wcześniej nie kochał jej tak jak teraz, po tym, jak potraktował ją tak okrutnie.

– Nic mi nie jest – odparła. – Naprawdę. Już mi lepiej.

Przycisnęła drobną, jasną dłoń do jednego policzka, a potem do drugiego. Wygładziła narzutę, którą wcześniej się przykryła, i poprawiła niebieską sukienkę. Widział, jak zbiera siły, prostuje plecy, jej twarz odnajduje światło. Czekał. Duma wciąż dawała jej siłę do działania.

– Nie wiem, co we mnie wstąpiło. – Gdy się uśmiechnęła, już wiedział, jak będą się prezentować przez resztę wieczoru. Nawet nie zapytała, gdzie się podziewał.

W salonie ktoś okropnie brzdąkał na fortepianie. Puenta żartu wywołała śmiech. Łód delikatnie stuknął o szklanekę i w tym momencie wszedł Tim

w landrynkowym swetrze. Mężczyźni uścisnęli mu rękę, poklepalili go po plecach, a kilka żon podeszło, żeby pocałować go w policzek. Niektóre z nich przyjaźniły się z Gigi. Tim zastanawiał się, ile z nich już wie, co się stało.

Oczyma wyobraźni zobaczył niewidzialną mapę powiązań między tymi ludźmi, podobnych do ścieżek biegnących przez całą dzielnicę między domami mężczyzn i ich kochanek. Pomyślał o Mary Frances, która – choć nie mieli romansu – stała się dla niego znacznie ważniejsza niż wcześniej. Obserwował ją przez zwieńczone łukiem wejście do salonu, w gwarze rozmów próbował dosłyszeć jej głos. Absolwentka prywatnej szkoły, o wyniosłej twarzy, jej śmiech zmysłowy jak bluzka z głębokim wycięciem. Skąd się biorą takie kobiety?

Ona też go zauważyła. Uniosła kieliszek, jakby w ten sposób się z nim witała. Pomachał do niej, a ona podeszła i usiadła obok niego przy fortepianie, trochę za blisko, ale tak naprawdę jakie to miało znaczenie. Przecież też trochę wypila.

– Potrzebuję pańskiej rady, doktorze Parrish – powiedziała. – W kwestiach redakcyjnych i innych.

Oparła łokieć na pokrywie klawiatury i rozejrzała się po salonie, wydymając usta i marszcząc brwi.

On nie podchwycił tematu.

– Nie mam nic do powiedzenia, Mary Frances.

– W porządku – odparła. – Po pierwsze, powinienesz mnie wtedy odprawić.

Z premedytacją zachowywała się do bólu racjonalnie, Tim potarł twarz dłonią. Pożałował, że ją do siebie przywołał. Najwyraźniej nie zamierzała dać za wygraną.

– Ale co się stało, to się nie odstanie, prawda? – dokończyła. – A po drugie? Po drugie nic mi nie przychodzi do głowy.

Potoczyła wzrokiem po salonie. On wpatrywał się w nuty piosenki, którą Gigi grała od tygodni, i w szew pończochy Mary Frances ginący w bucie. Ona zaczęła nucić, a potem śpiewać tę wyjątkowo okropną piosenkę o dwóch serduszkach.

– Gigi kogoś ma – oznajmił.

– Tim. – Uśmiechnęła się. – Nie bawi mnie to.

– Zakochała się w mężczyźnie w swoim wieku i chce z nim odejść. Zażądała rozwodu.

– No cóż. Podobno w Paramount to ostatni krzyk mody.

Lód zagrzechotał w szklance. Dobrze, że nie próbowała go pocieszać.

– Oczywiście nikomu nie powiedziałem...

– Mówisz poważnie? Jezu. – Teraz usłyszał, że jej głos jest podbarwiony alkoholem, z nadmierną pieczołowitością dobierała każde słowo.

– Tak. No cóż.

– Och, Tim. Muszę czym prędzej dorobić się sumienia. Tylko skąd je wezmę?

Ukrył twarz w dłoniach. Nagle pożałował, że nie może pogadać z Alem, a tak bardzo chciał mu się zwierzyć, wyznać, że jego życie stanęło na głowie. Oczywiście Mary Frances miała rację. Powinien był odesłać ją do domu, zachować się lojalnie wobec żony, przecież to on zawinił. Znowu na nią spojrzął i zanim zdążyła nad sobą zapanować, dostrzegł mgnienie tego czegoś, co tak gwałtownie się w niej kotłowało, choć usilnie to tuszowała. Wypuścił powietrze z płuc.

– Przepraszam. – Na więcej nie potrafił się zdobyć. – Jestem cholernie zmęczony.

Al widział, jak Tim znika gdzieś w głębi domu. Mary Frances powiodła za nim wzrokiem, a Al, przyglądając się jej ustom wykrzywionym w ironicznym uśmiechu, próbował się domyślić, co powiedziała. Od sześciu lat obserwował jej twarz i tysiące razy widział, jak ukrywa zdumienie, jakby uważała, że dać się zaskoczyć to oznaka słabości.

Oczywiście Tim wpadł w jakieś tarapaty. Ludzie zawsze wzywali Mary Frances na pomoc. Jej siostra Anne w trakcie rozwodu, jej matka, kiedy miała grypę, a nawet zupełnie obce osoby. W Dijon, w domu na Petit Potet, prawie co noc rozlegało się delikatne pukanie do drzwi, mimozowaty syn właścicielki domu szeptał coś o Niemcu, który rozckliwił się pod wpływem brandy, i rozhisteryzowanej Czeszce w neglizju. Choć niemiecki Mary Frances znała dużo słabiej niż francuski, i tak po nią posyłano. Wracała w środku nocy albo nad ranem, nigdy nie opowiadając Ałowi, czego dotyczyła awantura. Zaczynał sobie uzmysławiać, jak wiele przed nim ukrywała. Pisząc, uchylała rąbka tajemnicy.

Był wdzięczny Timowi za uwagę, jaką poświęcał jej pisaniu, anegdotom i szkicom. Al obserwował Mary Frances, gdy brała prywatne lekcje sztuki i w czasach kiedy żłobiła nogi stołowe. To hobby też kiedyś porzuci, ale chciał, by czuła się szczęśliwa. Tim potrafił sprawić, że nawet ktoś, kto poświęcał czas na sprawę powszechnie uważane za trywialne, czuł się jak geniusz.

Al odniósł jednak wrażenie, że jego żona i Tim nie rozmawiali o pisaniu. Domyślał się, że chodzi o Gigi.

W głębi duszy uważał, że Gigi jest za młoda dla Tima. Łatwo było wyłowić w salonie jej przyjaciółki: lśniące włosy, błyszczące sukienki, które odsłaniały tak wiele. Pomyślał o swoich studentkach, nieomal równolatkach Gigi, i o młodych dijońskich dziwkach o lśniących ustach. Al lubił z nimi rozmawiać i przyglądać się ruchowi ich cudnych, uszminkowanych warg.

Mary Frances stała, dopijając koktajl. Za chwilę ktoś inny wciągnie ją do rozmowy. Zawsze była czymś zaabsorbowana: opowieścią, wielbicielami, publicznością. Pamiętał, jak w tamte popołudnia w Dijon czekała na niego w mieszkaniu, zanim znalazła sobie towarzystwo i zajęła się sztuką. Wracając zimą

z uczelni, wyobrażał sobie, jak jego żona, upudrowana i elegancko ubrana, siedzi przycupnięta na krawędzi łóżka albo co chwila podchodzi do okna, czeka tylko na niego i wygląda dokładnie tak jak teraz.

Zaprzagnął zabrać ją do domu.

Spojrzał na zegarek. Po tak niefortunnym początku wieczoru nie mogli ot tak sobie wyjść. Mary Frances wciąż patrzyła na drugi koniec pokoju, na jej ustach lśniły jeszcze ślady ostatniego drinka, a on myślał o tym, co by zrobił, gdyby teraz znaleźli się w domu. Chciał ją natychmiast stąd zabrać.

Gdzie, do diabła, podziewa się Tim? Gordon już dawno wyrwał się ze szponów Glorii, by wpaść w szpony nałogu. Sprawy toczyły się w takim tempie, że wkrótce na przyjęciach Ałowi pozostałoby tylko obserwowanie gości.

Podszedł do Mary Frances.

– Gotowa? – zapytał.

– Już? – zapytała, w tym samym momencie ruszając do holu, żeby zabrać płaszcz z pracowni Tima.

Po chwili wracali do Eagle Rock.

W samochodzie Al przyciągnął ją do siebie, czując w ciemności ciepło rozlewające się w miejscu, w którym stykały się ich uda. Moglibyśmy tak przejechać jeszcze wiele kilometrów – pomyślał – na wschód, na pustynię. Nigdy nie mieszkaliśmy na pustyni. Tam życie płynie zupełnie inaczej.

Ona podniosła wzrok i spojrzała na niego, jej twarz w świetle księżycy stała się woskowa – może to nerwy, a może lekkie napięcie i zatroskanie albo coś jeszcze innego. Al chciał dłonią zasłonić jej oczy, zakryć usta. Widział, jak na jej szyi miarowo pulsuje żyłka, i miał ochotę przycisnąć ją palcem, by ustała. Zjechał na pobocze autostrady i posadził sobie Mary Frances na kolanach.

Ona z westchnieniem usadowiła się na nim, ale jego podniecenie osłabło, choć przecież seks właśnie się zaczynał: Mary Frances okryła go sobą, oparła kolana na siedzeniu, podkasła spódnicę, wsunęła dłoń w dzielącą ich przestrzeń. Tak dobrze odegrała swoją rolę w tej pantomimie – drżący oddech, głos więdnący w gardle, cichy okrzyk wywołany miarowym kołysaniem. Al uścisnął ją mocniej. Nie wychodziło im, wiedział o tym, ale nie mógł jej pozwolić, by sama grała tę farsę.

Już po wszystkim Mary Frances zsunęła się z jego kolan. Al zapiął spodnie. Zapadła wstrząsająco głucha cisza, jakby właśnie ucichł przeraźliwy wrzask.

Al włączył silnik i wyjechał na drogę.

Dawniej, kiedy przepelniała ich miłość, perspektywa seksu ich onieśmiała. Nie czekali jednak na noc poślubną.

Tłoczone zaproszenia już zaadresowano, a jej matka w kółko trajkotała o tym, jaki przyrządzić poncz i ile upiec żeberek. Przygotowania przebiegały bez ich udziału, więc bez trudu się wymknęli. Pożyczyli od jej ojca auburna roadstera

i pojechali do Laguny, zatrzymali się przy drodze, gdzie Meksykanin sprzedawał schłodzone w lodzie piwo i arbuzy. Palcami odrywali zimny miąższ, zwilżali usta, zaczęli się całować. Rozłożyli koc wśród drzew i rozpięli ubrania tylko na tyle, by móc stać się jednym.

Ostatecznie załatwili sprawę szybko i bezceremonialnie, Mary Frances wydawało się wręcz, że nie poświęciła temu dość uwagi. Nagle Al wtulił twarz w jej szyję i zaszlochał, a może tylko był bliski łez – a ją wzruszyła jego czułość. Pocałował ją w podbródek i ucho, szeptem wyznał jej miłość, a potem, w drodze, spoglądając na nią raz po raz, upewniał się, czy wszystko w porządku.

– Oczywiście, że w porządku. Jestem szczęśliwa, a niedługo cały ten bałagan się skończy.

– Bałagan?

– Chodzi mi o ślub, wesele, wszystko, co organizuje Edith. Nieważne. Wkrótce będziemy małżeństwem. I to francuskim.

– Och. – Al skierował wzrok z powrotem na autostradę i zamilkł.

Nie powinna była zachowywać się jak gdyby nigdy nic. Tak szybko dystansując się wobec jego łez, zraniła go. Al był do szpiku kości sentymentalny. Teraz, kiedy wracali w ciemności do domu, powinna była przypomnieć sobie wnioski z tamtej lekcji.

Al spędził wieczność w łazience. Wsłuchiwała się w szum prysznic, przez szparę pod drzwiami na korytarz wydobywała się para. Przypomniały jej się jutowe worki pełne ślimaków, które zebrali w lasach pod Dijon – ugotowali mięczaki po wyszorowaniu skorupki do czysta. To były pierwsze i najszlachetniejsze w smaku ślimaki, jakie jadła. Tyle rzeczy robiła po raz pierwszy z Alem.

Kiedy on przyszedł z łazienki do sypialni, udawała, że śpi. Stał nad nią przez dłuższą chwilę, ona oddychała jednostajnie z zamkniętymi oczami. Wyciągnął rękę, by odgarnąć włosy z jej policzka, jego dotyk był delikatny i cudownie czuły, ale nawet wtedy się nie poruszyła.

– Kochanie – powiedział wreszcie. – Zainspirowałaś mnie. Chyba przez chwilę popracuję.

Ona westchnęła i powiedziała: w porządku, a on wyłączył światło, wychodząc z pokoju. Słyszała, jak zapala zapałkę w swoim gabinecie, wyobraziła sobie miękkie posapywanie jego fajki, już po chwili rozległ się stukot klawiszy, Al zaczął przelewać swoje myśli na kartkę, która potem wylądowała na stosie razem z innymi, robiąc miejsce kolejnej. Tym potrafił zajmować się godzinami.

Przesunęła się w stronę stolika nocnego, sięgnęła po pióro i notes. Nawet nie zapaliwszy światła, zapisała: „ślimaki, Papazi, ich drobniutkie ciała głodujące nocą”.

W Dijon jadali ślimaki, flaczki, wątróbki, mózdzek, pieczeń z nadpsutego mięsa, najlepsze, dziesięcioletnie pasztety z grubą warstwą tłuszczu, krojone

w plastry i rozsmarowywane na grzance. Powietrze przepęłniała woń *pain d'épice*, miodu, krowiego łajna, wino było czerwone, a zimy mroźne. Mary Frances wkładała wełniane rajstopy, pantaloney z grubej tkaniny z gumką w kolanie, z której Al lubił znieacka strzelać. Układali kilka koców na łóżku i wpełzali pod nie. Czasem modliła się, by nie wrócili do Kalifornii, a innym razem żałowała, że przyjechali do Francji. Być może byłiby szczęśliwsi, gdyby nie zaznali innego życia.

Nie mogła przestać myśleć o Timie.

Nie mieściło jej się w głowie, że Gigi zostawiła Tima dla innego, a jeszcze bardziej dziwiło ją to, że on z nią o tym rozmawiał, nie okazując jej dumy ani gniewu, nie próbując się zasłonić. Tak nieudolnie udawała przed nim, że wie, co powiedzieć w tej sytuacji. Wstydziła się tego.

Jasne było, że odejście Gigi zmieni wszystko. To samo by się stało, gdyby Tim wyznał całą prawdę Alowi, a było to bardzo prawdopodobne. Parrishowie byli ich najbliższymi przyjaciółmi, Tim i Al mówili sobie wszystko, przynajmniej do czasu. Odejście Gigi wywróciłoby ich świat do góry nogami.

Zaczęła sobie uświadamiać, że jej życie rozpadłoby się na pół. W szafie oddzieliłaby te ubrania, które zostawia, od tych, które zabiera. Wyobraziła sobie, co ona powie matce, i co Al powie jej matce i ich przyjaciołom. Zastanawiała się nad tym tak gorączkowo, jakby sprawa była już przesądzona. Reagowała zaskoczeniem, kiedy Al, mijając ją w korytarzu, ścisnął jej rękę i się uśmiechał. Chodziła na targ, robiła pranie, czytała książki i wyczerpana zastanawianiem się nad tym, co się rzeczywiście stało i mogło się stać, pragnęła tylko odpocząć, wykonując codzienne, niewymagające namysłu czynności. Nie musiała się nawet do nich zabierać, wystarczyło, że je sobie wyobraziła. Co za ulga – myślała wtedy.

Nakryła do stołu, rozlała do kieliszków resztkę wina, Al przywędrował do salonu ze swojego gabinetu jak żeglarz, który pomimo sztormu odnalazł drogę do portu.

– Co tak pięknie pachnie?

– Ogony wołowe – odparła. – Na jutro.

– Czemu nie na dzisiaj?

– Jutro będą lepiej smakowały.

Al podniósł pokrywkę, przez chwilę delektował się aromatem, a potem polizał łyżkę.

– Skąd ci się udało je wytrzasnąć?

– Mniej by mnie kosztowały, gdybym sama hodowała krowy.

Targ był pusty, upiorny, na półkach gruby kożuch kurzu, prócz niej ani żywej duszy. Potrzebowała czegoś na kolację, a ze spiżarni rodziców wyniosła już to i owo w poprzednim tygodniu. Kolejna prośba zaniepokoiłaby Edith. Na ostatnim straganie dostrzegła skrzynkę pełną marchewek, przypominały

wyciągnięte długie palce, jakby przywoływały ją na tle bulwiastych ziemniaków i dyni. Napełniła koszyk, wzięła tyle, ile tylko zdołała unieść, zielona natka lepiła jej się do dłoni. Postanowiła, że już nigdy nie zmarnuje okazji.

Teraz podniosła pokrywkę garnka z zupą marchewkową.

Al westchnął.

– Zaraz po ślubie...

– Dawno temu? – To była ich mała gra. Jej rola polegała na tym, by go podpuszczać.

– Tak, tak, ze wspaniałą dziewczyną zamieszkaliśmy za granicą, we Francji. W pensjonacie prowadzonym przez dziwną i bardzo tradycyjną rodzinę, co wieczór jedliśmy przy jej stole posiłki z powietrza, trocin i tego, co madame znalazła na dnie kosza na zakupy.

On kontynuował, rozpluwając się w zachwytach: *blanquette de veau* i baranie udźce marynowane przez wiele dni w winie i jałowcu, bycze ogony wedle przepisu madame, pierwsze, jakie kiedykolwiek jadł, ich aromat budził go z popołudniowej drzemki, choć na kolację trzeba było czekać jeszcze kilka godzin.

– A ja spoglądałem na swoją słodką żonkę, która siedziała na krześle przy oknie z otwartą powieścią na kolanach, i myślałem sobie...

Jego twarz złagodniała i odmłodziła.

– Co sobie myślałeś?

– Któregoś dnia ona ugotuje mi bycze ogony. Któregoś dnia będziemy mieli własne bycze ogony.

Odwróciła się do garnków.

– Nie przyszło mi do głowy, że każesz mi tyle czekać – dokończył.

Gra się skończyła, niepostrzeżenie przeszli do innego tematu.

– Słucham? – zapytała.

– Nie zmienisz zdania, prawda?

Nie wierzyła własnym uszom. Al śmiał zasugerować, że to Mary Frances nie chce mieć dzieci, podczas gdy jemu nie starczało sił witalnych, by spłodzić potomka, dawał żonie do zrozumienia, że jest niegotowa, rozkojarzona, niedojrzała albo, co gorsza, że nie chce dziecka, by móc skupić się wyłącznie na pisaniu, jakby mogło jej dać takie samo spełnienie jak macierzyństwo.

Czy on w ogóle wie, skąd się biorą dzieci? Ciekawe, co by się teraz stało, gdyby złapała Ala za kołnierz, zrzuciła naczynia ze stołu i przyciągnęła go do siebie? Jej myśli poszybowały ku Timowi napierającemu na nią całym ciężarem ciała, garnek wysunął jej się z rąk.

Oboje obserwowali, jak jasnopomarańczowy wachlarzyk rozpościera się na podłodze, gorąca i lepka maź plami jej fartuch, spódnicę, pończochy, rozlewa się wokół. W pierwszej chwili Mary Frances poczuła się tak, jakby ją spoliczkowano. Potem jej ręce zaczęły się trząść nad tym bałaganem. Nie wiedziała, od czego

zacząć sprzątanie.

Al chwycił ją pod kolana i pachy i zaniósł do łazienki, odkręcił zimną wodę i napełnił wannę. Mówił coś, był przerażony, puszczała to mimo uszu, słyszała tylko jakieś gorączkowe dyszenie. To ona wydawała ten dźwięk? Wody przybywało, mętniała od zupy spływającej z ubrania.

– Kochanie, kochanie. – Al nabierał wody w dłonie i polewał nogi Mary Frances, która z bólem wpatrywała się w jego napiętą twarz. Co, na litość boską, mieli teraz zrobić?

– Nic się nie stało – zapewniła go.

Pomógł jej zdjąć ubranie, najpierw pończochy, potem fartuch i spódnicę. Buty nadawały się do wyrzucenia.

– Ale mi głupio.

Jej ręce objęły szyję Ala, a on ją przytulił. Przydarzył im się drobny wypadek. Jemu było przykro, jej było przykro. On ją kochał, był dobrym człowiekiem. Jakie znaczenie miało to, co ona powiedziała o dzieciach. Każdy lubi snuć plany na przyszłość. Ona cały czas czegoś pragnęła. Mogła powiedzieć, że chce dziecka, jeśli tak bardzo mu na tym zależało. To jeszcze nie oznacza, że będą je mieli.

Później zjedli kolację. Bolały ją nogi, na poparzonych goleniach pojawiły się czerwone plamy, ale ogony wołowe były wprost wyborne.

Jak w każdy piątek Mary Frances kolejką elektryczną pojechała do Los Angeles i spędziła cały ranek w bibliotece publicznej. Uwielbiała ogromną czytelnię, różowawe łuki podtrzymujące sklepienie wyglądały jak żebra. Ubóstwiała szperać w katalogu z fiszkami, a potem błąkać się między regałami, wyciągając to jakąś starą pracę historyczną, to jakiś przekład, to jakiś inny tom – tak pięknie pachniały, a kiedy brała je do ręki, wydawało jej się, że czuje cały ciężar zachowanej w nich przeszłości.

Tego dnia jednak wybrała stolik i sięgnęła do torby po plik prac studenckich, które miała ocenić. To była dobra rozgrzewka przed kolejnym zadaniem. Chciała zabrać się do pisania swojej książki. Najpierw musiała jednak oczyścić umysł.

Jej książka też się zmieniła, a może to nigdy nie była prawdziwa książka, zaledwie garść poprzetykanych wspomnieniami i strzępami wiedzy esejów o historii jedzenia, Grekach, Rzymianach, Francuzach. Pisała tylko po to, by podzielić się czymś z Timem. Chciała mu się zaprezentować jako osoba mądra i doświadczona, skrywała się za swoimi esejami jak za zasłoną, a może wręcz przeciwnie, pozwalały jej się obnażyć. Poza tym wspólna praca dostarczała im tematów do rozmowy w cztery oczy. Kiedy prosił o więcej, zabierała się do roboty, a kiedy stwierdził, że powinna napisać książkę, odparła, że właśnie to robi. Nie wiedziała, czy będą w stanie kontynuować ten dialog. A może on również stracił już jakiegokolwiek znaczenie.

Nagle Tim odsunął krzesło naprzeciwko niej.

Jego bladość była uderzająca, choć tego dnia gładko się ogolił, dokładnie zaczesał siwe włosy, a do kieszonki na piersi wsunął jasnoróżową poszetkę ułożoną w koronę o czterech szpicach. Biblioteka była prawie pusta i nikt ich nie obserwował, ale Mary Frances i tak siedziała jak na szpilkach.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? – zapytała.

– Każdy piątek spędzasz z Lukullusem.

– Wyglądasz okropnie.

– Jestem okropny.

– I najwyraźniej lubisz się nad sobą użalać.

– A więc to koniec. Współczucie się ulotniło. Gdzie zakurzone księgi, tomy, które tak cię obchodziły? – zapytał. – To mi wygląda na wypracowania pierwszoroczników.

– Drugoroczników.

– Marnujesz czas, wykonując za kogoś niewdzięczną robotę.

– Też byś to zrobił, gdyby Al cię poprosił.

– Ach. Tak, masz rację.

Tym samym wrócili do sedna sprawy. Tim nachylił się, jedną kanciastą dłonią podpierając głowę, drugą bezwiednie toczył flamaster po biurku. Ona czuła mrowienie na skórze, czekając, aż on wreszcie wydusi z siebie to, po co tutaj przyszedł.

– Nigdy nie opowiadałem ci o herbaciarni, prawda? – zapytał.

– Nie.

– Zaraz po przyjeździe do Kalifornii z Gigi chciałem otworzyć *thé dansant*, taką jak te, do których uwielbialiśmy chodzić w Paryżu jeszcze przed ślubem.

Pojechał za Gigi do Paryża, gdy jej matka nakryła ich, jak zamiast śłezczyć nad podręcznikami, Gigi z rozplecionymi warkoczami leżała z głową na jego kolanach, to, że obiecał się z nią ożenić, nie miało najmniejszego znaczenia. Jeszcze tego samego wieczoru rodzice ją wywieźli. Tydzień zajęły Timowi przygotowania do wyjazdu. Był wtedy młody, Francję wciąż doskonale pamiętał, bo tam odbył służbę w szpitalu polowym, gdzie wynosił śmieci, wkładał ciała do trumien, przerzucał towary z jednej zawilgłej palety na drugą i mizerniał z głodu. Od czasu wojny zdążył już napisać powieść, zająć się malowaniem i porzucić je, rozpić się ponad wszelką miarę, aż wreszcie któregoś dnia zobaczył Gigi w gabinecie jej ojca, z warkoczami zawiązanymi czerwoną wstążką i łobuzerskim uśmiechem. Nawet nie próbowała go ukryć, a może nie wiedziała, że powinna, bo była tak młoda, iż z konsekwencji swoich poczynań zdawała sobie sprawę o wiele za późno.

W Paryżu *thé dansant* dostarczyły im pretekstu do spotkań. Popołudniowa potańcówka wydawała się równie kulturalna i niewinna jak niegdyś korepetycje

z łaciny. W drzwiach Tim witał jej przyzwoitkę pudełkiem czekoladek i biletem na film dźwiękowy, dzięki czemu zyskiwał dwie godziny sam na sam z Gigi.

Była cudowną, gibką tancerką. Podobało mu się, że wzbudzają zainteresowanie – on miał już siwe włosy, Gigi jeszcze do niedawna była podlotkiem. Pożyczone od siostry sukienki wisiały na niej jak na wieszaku, nie przywiązywała wagi do bielizny, a kiedy pod palcami Tima szeleścił nadmiar aksamitnego materiału, Gigi wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

– Wyjdź za mnie jutro – zaproponował. – Albo jeszcze dziś wieczorem.

Zaśmiała się, przymykając oczy. Wszystko, co robiła, zdawała się robić po raz pierwszy.

– Po co ten pośpiech? Zresztą i tak mamy bilety do opery.

– Do opery też możemy pójść.

– Och tak, Timmy. Przyjdź dziś wieczorem. Wymknę się i spotkamy się w lobby, a ty porwiesz mnie do katakumb. Tam mnie uwięzisz, zmuszając mnie, bym ci śpiewała.

– Spotkamy się wieczorem?

Gigi się zaśmiała.

– Oczywiście.

Zawsze tak mówiła, ale niewiele mogła zdziałać. Palmy w donicach rzuciły długie cienie na posadzkę z płytek ułożonych w gwiazdy, plany na popołudnie rozplynęły się w obłokach dymu, kiedy z fonografu puszczone La Baker, a orkiestra udała się na przerwę. Tim zaprowadził Gigi do stolika w najciemniejszym kącie, a kelner podał im herbatę i podsunął wózek, na którym piętrzyły się lukrowane babeczki z konfiturą. Gigi uwielbiała słodczyce, jej usta miały smak śmietany. Wojna dobiegła końca, Francja znowu była piękna.

Wydawało im się, że bez trudu odtworzą tę atmosferę w Hollywood.

– O czwartej zespół robił sobie przerwę – opowiadał Tim – a ja ustawiałem na kontuarze ogrzane dzbanki. Przyjaciółki Gigi zasiadały do herbaty. Wyglądały jak stado gazeli albo ławica ryb. Cała grupka przemieszczała się i nieruchomiła.

Jak w transie uniósł dłonie nad stołem.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął maszynopis Mary Frances, który zostawiła mu tamtej wspólnie spędzonej nocy, na całej stronie widniały jego komentarze zapisane niebieskim atramentem.

– W trakcie lektury przypomniały mi się te gazy. Te herbatki. Nie dlatego udał ci się ten tekst, że rozumiesz historię i znaczenie Lukullusa i wiesz, co Rzymianie dosypywali do wina. Najważniejsze, że napisałaś o sobie. – Spojrzał jej prosto w oczy. – Moment – powiedział. – Zatrzymany w czasie, przy stole.

– Dziękuję – odparła.

Ale on w odpowiedzi machnął tylko ręką, sięgając po wypracowania

i flamaster.

– Ty pisz. Ja mogę to zrobić równie dobrze jak ty – zaproponował.

Otworzył wypracowanie leżące na górze stosu.

Mary Frances zamknęła oczy i zasłoniła je dłońmi. On z taką swobodą opowiadał o swoim życiu z Gigi, o tym, ile dla niego znaczyło i jak wiele utracił, mówił bez cienia wstydu i gniewu, bez ogródek. Nie omawiali nowej lekcji czy zadania domowego, tylko rozmawiali jak partnerzy. Jaka część ich relacji czyniła ich równymi sobie?

Ona spozrzała na jego komentarze, podkreślone i wymazane linijki, na postawione przez niego pytania: skąd taka decyzja, „dość dużo” to znaczy ile? Domagał się od niej więcej konkretności, klarowności, każdą stronę wypełniało jego spiczaste pismo. Po ponownym przeczytaniu artykułu uświadomiła sobie, że opowiada on o wyblakłej wersji jej samej, o Mary Frances z przeszłości. Chciała wydawać się mądrzejsza, pewna siebie i niewzruszona, mogła uchodzić za kogo tylko chciała.

Wyciągnęła czystą kartkę i zaczęła od nowa.

Pierwsza kuchnia, którą знаła, mieściła się przy Painter Avenue w Whittier, zanim Rex i Edith przeprowadzili się na Ranczo na obrzeżach miasta. Po raz pierwszy miała tę kuchnię tylko dla siebie, kiedy jej rodzice wyszli wieczorem w obłoku dymu i francuskich perfum, zostawiając jej pod opieką siostrę Anne. Na tę pierwszą samodzielną kolację Mary Frances podała jajka.

Przygotowała posiłek od początku do końca, ugotowała jajka, obtłukła je o blat kuchenny, obrała i wkroiła do żaroodpornego naczynia, by zapiec je z dodatkiem bardzo gęstego, białego sosu wedle przepisu babci. W ostatniej chwili zauważyła curry w ciemnozielonej puszcze, postanowiła zmodyfikować recepturę i dodała przyprawę do sosu, a jej aromat wypełnił całą kuchnię.

Razem z Anne, wciąż tak małe, że nosiły jeszcze fartuszki, skosztowały dania i poczuły ogień w buzi. Wypiły tyle mleka, że zrobiło im się niedobrze, zjadły wszystkie jajka, by nie dostać bury za marnowanie jedzenia, w ich ustach pojawiły się bąble, a Mary Frances przez resztę wieczoru obiecywała siostrze ogromne ilości czekolady w zamian za milczenie. Dostała lekcję pokory. Nauczyła się szacunku dla tego, czego nie zna.

Po drugiej stronie stolika Tim nachylał się nad dywagacjami jakiejś studentki, mrużąc oczy, jakby nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi.

– Co się stało z twoją herbaciarnią? – zapytała.

On poderwał głowę, jakby go uderzyła.

– Nie udało mi się jej utrzymać – odparł.

– Och. Przykro mi.

On skinął głową. Wyglądał, jakby próbował sobie przypomnieć, czym się właśnie zajmuje, a ona poczuła ukłucie zazdrości o Gigi, o ich wspólną przeszłość

i o jego ból spowodowany jej utratą.

Wstała i zebrała swoje rzeczy. Z niewyjaśnionego powodu poczuła przyływ pewności siebie, uśmiechnęła się.

– Mary Frances, wyświadczysz mi przysługę? – odezwał się Tim.

Usiadła.

– O co chodzi tym razem?

Zauważyła wystrzępiony kołnierzyk jego koszuli. Gdyby tylko poprosił, naprawiłaby go. Miała ochotę rzucać mu się w ramiona raz po raz, póki jej wreszcie nie złapie. Nie mogła znieść tego uczucia.

– Za rogiem jest knajpka, gdzie całkiem nieźle gotują. Umieram z głodu. A ty?

– Nie mogę myśleć z pustym żołądkiem.

– To zjedzmy coś. Ja też za dużo myślałem.

Wstał od stolika i wyciągnął rękę po jej torbę. Jego gest był niewymuszony i elegancki, wzięła Tima pod rękę i poczuła, że jej dotyk przeszywa go na wskroś, jakby był cały z piór i powietrza, na wpół obecny, jak duch.

Kilka dni później Al odwiózł Tima na stację na pociąg do Delaware i poczekał z nim na peronie. To był najwcześniejszy kurs na wschód, wzdłuż całego peronu stały żegnające się pary: matki i dzieci, mężczyźni i kobiety, niektóre o takich samych filmowych rysach jak Gigi, każda jak jej sobowtór.

Al wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i podał ją Timowi.

– Dam sobie radę – zapewnił Tim.

Al nigdy nie widział, żeby mężczyzna tak płakał, łzy ciekły Timowi po twarzy, jakby stał w deszczu.

– Masz torbę? Niczego nie zapomniałeś? W razie czego daj znać, wyślę ci.

Tim objął Ala, który poczuł, jak jego przyjaciel łapie równowagę.

– Dobrze – odparł Tim, a Al gorączkowo szukał w głowie słów pocieszenia. Patrzył na puste tory, podtrzymując Tima, teraz obaj milczeli otoczeni dworcowym gwarem. Al nigdy nie stał tak blisko ani tak długo obok mężczyzny, ale wydawało mu się, że właśnie to powinien zrobić dla przyjaciela. Nawet sobie nie wyobrażał, przez co on przechodzi.

Pociąg wjechał z gwizdem na peron, Tim odsunął się, dotykając wilgotnymi dłońmi twarzy Ala. Ranek był taki chłodny.

– Nie oczekuję od ciebie deklaracji już teraz – powiedział Tim. – Przemysł sprawę i przyślij mi telegram. Porozmawiaj z Mary Frances. Chciałbym, byśmy wspólnie podjęli tę decyzję.

– Ty i ja się zgadzamy – odparł Al. Powiedziałby wszystko, co trzeba. – I to się liczy.

Po powrocie do Eagle Rock nawet nie zdjął płaszcza, ranek był bardzo zimny, choć miało się ocieplić, a w ich domku często robił się przeciąg. Mary

Frances zaparzyła trzy filiżanki herbaty, każdą zostawiając w innym pokoju. Znowu postawiła czajnik na ogniu i podeszła do Ala.

– Płakał – oznajmił.

Położyła policzek na jego ramieniu. To był jego najgrubszy płaszcz. Rzadko go nosił. W klapach przetrwał jeszcze zapach dymu z kominów w Dijon.

– Jest zdruzgotany. – W głosie Ala pobrzmiwało zdumienie. – Zabrał tylko jedną torbę. Zostawił wszystkie płótna i farby.

– Kiedy wróci?

Nie usłyszał jej, a ona przywarła do niego nieruchomo, na przemian głaskając go i poklepując, by ten rytm go ukoił. Znad jego ramienia patrzyła na fotel, mahoniowy stół i zostawioną na nim filiżankę herbaty. Nie potrafiła czekać.

Al westchnął.

– Poprosił nas o przysługę. Tak naprawdę to bardzo hojna propozycja, ale znasz Tima, wiesz, jaki potrafi być delikatny.

Przytaknęła. Tim ją pierwszą poprosił. W knajpce pożarł stos kanapek z szynką, jakby pościł od wielu dni, zostawił tylko skórki. Pił jedną szklankę mleka za drugą, oparł głowę o ladę, jakby mówił do podłogi.

– Przepraszam, że stawiam cię w takiej sytuacji.

– Możesz sobie darować uprzejmości.

– Nie mogę. – Chrząknął. – Potrzebuję twojej pomocy.

– W porządku – odparła.

– Zatelegrafowałem do prawnika w Delaware i złożę pozew, kiedy tam dotrę, ale proces potrwa. W takich wypadkach czas ma kluczowe znaczenie. Jeśli sprawa ujrzy światło dzienne...

– Nie zamierzam puścić pary z ust. To chyba oczywiste.

– Ale inne dziewczyny w studiu zaczną mieć ozorami, kiedy tylko zwęszą skandal. Wszystkie podpisały standardową klauzulę moralności. Jeśli rozwiedzie się po cichu, zachowa kontrakt, ale romans... – Zaśmiał się ostro. – Dla wytwórni to po prostu jedna dziewczyna mniej w kolejnym filmie. – Spojrzał na Mary Frances, a ona westchnęła. – To wszystko, czego zawsze pragnęła.

– Najwyraźniej nie wszystko.

– Przynajmniej tyle jestem jej winien.

Za oknem wydłużały się popołudniowe cienie. Mary Frances powinna wkrótce wracać do domu. Napila się gęstej, gorzkiej kawy. On mógł już nigdy nie wrócić do Kalifornii. Po co miałby tu przyjeżdżać?

– Ja też chciałabym cię prosić o pomoc – powiedziała. – Przy mojej książce, kiedy przyjdzie na to pora.

On znowu wbił wzrok w podłogę i zapewnił ją, że oczywiście pomoże, oczywiście z przyjemnością, a ona znenawidziła siebie za tę prośbę. Wyszło na to, że go wykorzystuje, świadczyły o tym ostatnie wydarzenia. Uwiodła mężczyznę

kochającego swoją żonę i wszystko, co stało się później, było tego konsekwencją.

Teraz, kiedy siedziała we własnym salonie, rozmowa z Timem wydała jej się niezwykle poufna. Była jednocześnie tu i tam, spodziewała się, co zaraz powie Al, a zarazem nie miała zielonego pojęcia. Wtulona w jego ramię znowu zamknęła oczy, wdychała unoszący się z jego płaszcza zapach wilgotnego węgla, przypominający jej o dawnych czasach we Francji. Już pogodziła się z tą decyzją, teraz tylko ponownie ją rozważała z perspektywy czasu.

– Biedny Tim – odparła. – Oczywiście.

Mieli wprowadzić się do domu Parrishów po wakacjach, żeby mieszkać z Gigi, podczas gdy Tim po cichu będzie przeprowadzał rozwód na wschodnim wybrzeżu. Mieli dotrzymać jej towarzystwa pod nieobecność Tima, to nie powinno wzbudzić niczyich podejrzeń.

– Poza tym – dodał Al – musimy liczyć się z komplikacjami.

– Jakimi?

– Będziemy mieć do czynienia z grubymi rybami. Zresztą to nie mój interes.

– Cały ten cyrk to nie twój interes, Al.

– Tim poprosił mnie, żebym cię o to zapytał. Chce, by sprawa została między przyjaciółmi.

Znowu objęła go za szyję. Im mniejszy dzielił ich dystans, tym mniej dotkliwa wydawała jej się pustka.

– Na wschodzie Tim prowadzi pertraktacje z prawnikiem jej rodziny, a kiedy nadejdzie właściwy moment, razem z Gigi pójdą do Sama Goldwyna i oznajmią, że co się stało, to się nie odstanie. Postawiony przed faktem dokonanym Goldwyn machnie ręką na sprawę.

– Dlaczego miałyby sprawiać problemy? Doprawdy nie takie rzeczy dzieją się pod jego bokiem.

– Mary Frances. Przecież chodzi o Gigi.

– Wcale nie – powiedziała z niewzruszoną pewnością siebie. – Nie chodzi już o Gigi. Po prostu nie.

Mówiła takim głosem, jakby zaraz miała się rozpląkać, bo rzeczywiście zbierało jej się na łzy. Bez względu na to, jak bardzo Gigi zależało na podtrzymywaniu pozorów w studiu, to najprawdopodobniej właśnie ona, gdyby tylko dopadło ją rozgoryczenie i zapragnęła zemsty, wyjawiałaby całą prawdę Alowi. Wprowadzenie się do domu Parrishów groziło katastrofą, ale zarazem dawało Mary Frances nadzieję, że jej sekret nie wyjdzie na jaw.

Al poklepał żonę po plecach, pocieszając ją, że dobrzy ludzie też popełniają błędy i nie wolno ich osądzać, a Mary Frances utwierdziła go w przekonaniu, że jest wstrząśnięta rozstaniem kolejnych przyjaciół.

– Spójrz na to od innej strony – powiedział.

W nowym roku miał dawać korepetycje dzieciom dyrygenta filharmonii,

który mieszkał na wzgórzach nad Laurel Canyon. W otoczeniu bogatych sąsiadów mogli przez chwilę udawać, że ich też stać na luksus.

– Lubisz takie życie, prawda? – Uśmiechał się, ale Mary Frances wyczuwała w jego słowach podskórną urazę.

– Lubię nasz domek. Lubię naszą prywatność.

– To oczywiście. – Oderwał jej dłonie od swojej szyi i wygładził kłapy płaszcza, jakby je zmięła. – Nie wybieramy się na Ranczo na rodzinny lunch?

– Mówię poważnie, Al.

– Wiem. Wiem.

Skończył rozmowę, już odchodził, ale ona wiedziała, że będzie się przejmował przez całe popołudnie, zwłaszcza w obecności jej rodziców. Przed popołudniowymi wizytami na Ranczu Al często odsuwał ją od siebie, kiedy widział, jak mocne więzi wciąż łączą ją z rodziną. Poczła jednak ulgę. Teraz miała na głowie prawdziwy problem, dzięki czemu nie musiała udawać, że wszystko gra.

Na Ranczu w długiej, słabo oświetlonej kuchni Anne wyglądała na wychudzoną i wymizerowaną. Przyjechała z San Francisco razem z dzieckiem. Sean wciąż się wiercił i ślinił, był wulkanem energii. Anne trzymała synka na kolanach i usiłowała nakarmić go owsianką, która zasychała mu na policzkach i rączkach. Wszystkiego chciał dotknąć.

– Och, siostrzyczko, idź się przespać – poradziła jej Mary Frances. – Ledwie się trzymasz na nogach.

Anne uśmiechnęła się cierpiętniczo.

– Nic mi nie jest.

– Ja go popilnuję. Mama jest na górze.

Mary Frances wyjęła jej z ręki łyżeczkę i oparła podbródek na stole obok miseczki Seana z owsianką. On się śmiał, pulchniutki, o niemal białej cerze, jakby uformowano go z ciasta. Przysunęła łyżeczkę do jego buzi raz, drugi, czuła się tak, jakby próbowała nabrać miodu ze słoika. Jej siostra się rozpląkała.

Anne od rozwodu zrobiła się wręcz nieprzyzwoicie drażliwa. Cała w rozterkach co chwila wzdychała. Rzadko miała coś miłego do powiedzenia. Mary Frances nie mieściło się w głowie, że można przeżyć całe życie z twarzą ukrytą w dłoniach. Wolałaby puścić swoje błędy w niepamięć, a przynajmniej nie wywlekać ich na światło dzienne, żeby nie zdręzczać wszystkich wkoło.

Mary Frances posadziła sobie Seana na biodrze, owsianka wylądowała na jej bluzce i we włosach, które zeszłej nocy umyła i zakręciła na wałki. Włożyła zatyczkę do zlewu i wsadziła do niego malucha w ubraniu. Pisnął.

– Dajmy mu coś, co mu posmakuje, siostrzyczko. Co ty na to? Może mus jabłkowy.

Mary Frances wręczyła Seanowi słoiczek, a on sam zabrał się do

pałaszowania, pierwsza łyżeczka wydała mu się dziwna, cierpka, każde doznanie natychmiast malowało się na jego twarzy. Próbowwała sobie przypomnieć, kiedy ona ostatnio posmakowała czegoś po raz pierwszy, ale uznała to porównanie za nietrafione, bo Sean od niedawna był na świecie i wszystko było dla niego nowością.

– Nie tęsknię za nim – oznajmiła Anne, mając na myśli swojego byłego męża. Być może o niczym innym nie potrafiły już rozmawiać. – Naprawdę. Ale jestem cały czas taka zmęczona, Dote. To ponad moje siły.

Mary Frances odebrała Seanowi słoiczek z musem jabłkowym i obserwowała, jak chłopczyk bierze do buzi mydło. To chyba nie był najlepszy moment, by powiedzieć, że ona też nie tęskni za mężem siostry, prymitywnym brutalem. Dzięki Bogu Anne go zostawiła. Ciepłą wodą Mary Frances umyła Seanowi główkę, prychnął. Odsunęła się gwałtownie, by jej nie ochlapał.

– Ja się tym zajmę – powiedziała ostro Anne.

– Nic się nie stało. To tylko woda.

Mary Frances rozpięła guziki na ramieniu Seana, zdjęła mu mokrą koszulkę i śpioszki, odpięła pieluchę, ubranka spadły na podłogę, tworząc stos u jej stóp. Trzymała malucha za nadgarstek, żeby się jej nie wymknął.

Za kuchennym oknem Al siedział pod drzewem cytrynowym z otwartą książką na kolanach, ale jej nie czytał. Mary Frances chciała, żeby podniósł wzrok, zobaczył, jak użera się z Seanem, żeby się roześmiał, ale on wpatrywał się w książkę. Chwila minęła.

– Mama idzie – oznajmiła Anne, odsunęła stołek i wyszła tylnymi drzwiami do ogrodu, żeby Edith nie zobaczyła jej łez. Jak cień przemknęła pod drzewem cytrynowym.

– Och, Mary Frances, niech Liesl go wykąpie – zawołała Edith. – Będziesz cała mokra.

– Liesl chce zjeść lunch, mamó.

– I dlatego właśnie lepiej, żebyś sobie stąd poszła. Gdzie Anne?

Mary Frances wzruszyła ramionami.

Na twarzy Edith pojawiło się napięcie.

– Mam nadzieję, że się otrząśnie. To niedorzeczne, prawda? Była zamężna przez trzy lata.

– Moglibyśmy udawać, że to się nigdy nie stało.

– Oczywiście, że się stało. – Edith podeszła, żeby otulić dziecko rękami. – Sean to najlepszy dowód.

– Żartowałam, mamó. To miało być zabawne.

– Ciocia Dote – powiedziała Edith do Seana, który mocno ścisnął płatek jej ucha – to taki głuptasek.

W ogrodzie Al wciąż siedział pod drzewem cytrynowym, podpierając kość

policzkową koniuszkami palców, ze skrzyżowanymi nogami. Mary Frances widziała wytartą podeszwę jego buta. Coś się stało, coś się nie stało, chciałaś, by coś się stało, udawałaś, że coś się nie stało, martwiłaś się, że coś się stanie. Mary Frances nie potrafiła zdecydować, gdzie ulokować całą swoją troskę.

Edith zawołała z góry. Gdzie są ubranka dziecka?

Wszyscy zgromadzili się w jadalni przy długim stole z orzechowego drewna, a Rex otworzył butelkę wina, rozległ się gwar rozmów, toasty, wyszukane komplementy pod adresem jedzenia i towarzysztwa. Nikt nie wspomniał o mężu Anne ani o strajku w San Francisco, ani o suszy i wolnym stanowisku redaktora w gazecie Rexa. Młodsze rodzeństwo Mary Frances, Norah i David, miało za tydzień przyjechać do domu ze szkoły, by spędzić rodzinne święta na Ranczu. Jeszcze więcej takich spotkań, jeszcze mniej tematów do rozmów. Przez ramię ojca Mary Frances widziała pękate, kuliste akwarium w jego gabinecie, całe rozmięgotane w popołudniowym świetle.

Po prostu to powie. To będzie najbardziej naturalny sposób załatwienia tej sprawy.

– Al i ja po świętach przeprowadzamy się do Laurel Canyon. – Spojrzała na Ala, a on włączył się do rozmowy z wyjaśnieniami.

– To dość delikatna sytuacja – zaczął Al. – Jak się zdaje...

– Delikatna? – Rex postawił kieliszek przy talerzu.

– Nie chodzi o uczelnię, proszę pana, tylko o... no cóż, pamięta pan Parrishów, tych z Laguny?

Mary Frances musiała zagryźć wewnątrz policzka, żeby się nie wtrącić. Al owijał w bawełnę, a ona czekała na jego pierwszy nietakt. Pożałowała, że podniosła ten temat przy stole. Trzeba było powiedzieć Edith, a ona przekazałaby wiadomość dalej. Rex pokręcił głową. W głębi serca był człowiekiem środkowego wschodu, a w Indianie nikt się nie rozwodził.

– Co to za ludzie? – powiedział, podnosząc do ust kawałek delikatnego kurczaka. Zamknął oczy przed pierwszym kąsem.

– Kogo masz na myśli, tatusiu? – zapytała Anne. Nie mogła ścierpieć, że ktoś ją osądza.

Nagle rozległ się głośny jak trzaśnięcie drzwiami płacz Seana leżącego w kołysce przed kominkiem, a Anne tak gwałtownie zerwała się z krzesła, że przewróciła je na podłogę. Al wyciągnął długą rękę i postawił je, wciąż przytakuując Rexowi, każdemu jego słowu. Anne zawołała do Liesl, żeby przyniosła z kuchni butelkę Seana, całe popołudnie w jednej chwili skupiło się wokół dziecka i jego samopoczucia. Nikt już nie wspomniał o ich przeprowadzce.

Po lunchu Al był gotów do powrotu do domu.

– Potrzebuję notatki z gabinetu. – Gestem proroka uniósł w górę swoją książkę. – Wydawało mi się, że jedziemy tylko na lunch.

– Mama chce mnie zabrać do miasta. Możemy zostać jeszcze przez godzinę?

– Po co?

– Już prawie święta. – Odwróciła się, żeby uczesać szczotką włosy. Udzielanie wymijających odpowiedzi to czysta dziecinada, wiedziała to, ale najwyraźniej nie potrafiła się powstrzymać. Gdyby powiedziała, że jadą na zakupy, Al zamknąłby się w swojej skorupie. – Możesz posiedzieć w ogrodzie i poczytać, jak rano. Tam jest cicho.

Nic nie odpowiedział.

– Proszę, Al.

Włosy rozsypały się na jej ramionach i spojrzała na niego, ale on już się wycofywał, za wszelką cenę próbując utrzymać stały dystans.

– A mogę się nie zgodzić? – odparł. – Jedź. Baw się dobrze.

Zaśmiała się, jakby żartował, i odwróciła się do lustra. Róż na policzkach i odrobina wazeliny na powiekach, by lśniły. Kiedy otworzyła oczy, z ulgą zobaczyła, że jego już nie ma.

Edith czekała na dole w wygodnych butach.

– Weźmiemy samochód? – zapytała Mary Frances.

– Możemy pójść piechtą. Dobrze nam to zrobi po posiłku.

– Nie jedziemy do centrum?

– Ostatnimi czasy pieniądze twojego ojca są wydawane tutaj w Whittier.

Wspiera tę miejscinę na dobre i na złe. A ja mam ochotę na przechadzkę.

Anne zjawiała się na schodach.

– Mówisz jak babcia.

– A ty powinnaś mi okazywać więcej szacunku.

Anne potrafiła spochmurnieć w okamgnieniu.

– Mamo.

– No dobrze – powiedziała Mary Frances, wyciągając jedną rękę do Edith, a drugą do Anne.

To był jeden z tych dni, kiedy Edith stawiała na swoim. Miały iść pieszo, bo ona tak chciała, może to poprawiłoby jej nastrój. Rex co rano chodził do miasta. Twierdził, że to ważniejsze niż regularne nabożeństwo, a przecież, Bóg mu świadkiem, nigdy nie chodził do kościoła.

Whittier było osadą kwakrów, a Boże Narodzenie przebiegało tu dokładnie tak jak każdy inny dzień. Mary Frances w dzieciństwie mieszkała z rodziną w centrum na Painter Street i w poranek bożonarodzeniowy razem z Anne biegly do sypialni na werandzie i wdrapywały się do łóżka obok Rexa, a Edith szła śpiewać pieśni z chórem episkopalnym. O świcie trębacz grał *Raduj się, świecie* z wieży domu modlitwy, chłodne, wibrujące nuty płynęły na wszystkie strony świata. Mary Frances przypomniały się białe święta w Dijon, razem z Alem trzęśli się z zimna w swoim mieszkanku, czekając na bicie kościelnych dzwonów. Za

każdym razem jednak Boże Narodzenie było spełnieniem dziecięcych marzeń.

Teraz jednak świąteczna atmosfera nie udzielała im się tak jak w dzieciństwie. Po pierwsze, Norah i Dave byli jeszcze w szkole, a po drugie, kiedy Mary Frances z matką i siostrą dotarły do centrum miasta, sklepy wydawały się opustoszałe, a niektóre miały okna wyklejone egzemplarzami „Whittier News”.

Edith zatrzymała się, żeby spojrzeć na daty. Cmokała z niezadowolenia, stroiła miny i załamywała ręce.

– Wasz biedny ojciec.

– Nie on zamknął sklep z kapeluszami.

– Ale musi na to patrzeć, Dote. Wiem, że go to dobija.

W tym momencie jej matka odmalowała portret Rexa jako podpory lokalnej społeczności. Ludzie z Whittier oczekiwali od niego, że weźmie za nich odpowiedzialność i rozwiąże ich problemy, zawsze na niego liczyli, a szczególnie teraz, kiedy nastały ciężkie czasy i brakowało pracy. Anne zniecierpliwiona odwróciła wzrok, ale Mary Frances podobał się taki wizerunek Rexa. Jej ojciec był wielkim człowiekiem.

– W naszym gaju pomarańczowym zjawiała się stara kobieta, w moim wieku – mówiła Edith – z gromadką głodnych dzieci, pewnie nawet nie jej. Pozwoliłam im zebrać tyle owoców, ile uniosą.

Edith do czegoś zmierzała, a najwyraźniej Mary Frances nie wystarczała jej jako widowia. Mary Frances to zauważyła i nie wiedziała, dlaczego siostra nie chce czy nie potrafi tego przyznać. To miały być dla Anne pierwsze święta bez męża, wszyscy obawiali się o jej stan psychiczny.

Mary Frances chwyciła siostrę za łokieć.

– Co dostanie Sean od Mikołaja? – zapytała. – Chciałabym coś dla niego zrobić. Może sweter na drutach. Zeszłej zimy Herbert Fisher przywiózł mi trochę najdelikatniejszej wełny owczej, jeszcze jej nie wykorzystałam.

Anne położyła siostrze dłoń na ramieniu, a Mary Frances ją uścisnęła.

– Jak miło z twojej strony – powiedziała. – Jesteś taka utalentowana. Ja już nie mam czasu na takie rzeczy. Ani cierpliwości. Kiedy wracam do domu z biura...

Mary Frances westchnęła i pozwoliła siostrze ponarzekać.

Edith kupiła Mary Frances sukienkę ze złotobrózowego jedwabiu, z falbaniastym dołem ciętym na skos, bufiastymi rękawkami do łokcia, aksamitką pod szyją i dekoltem w łezkę. Barwa podkreślała odcień jej cery i kolor oczu. Sukienka kosztowała tyle, ile wynosił tygodniowy czynsz za dom w Eagle Rock, a Mary Frances nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem miała na sobie coś równie ślicznego.

Anne, kładąc płasko dłoń na biodrze Mary Frances, zachęciła ją, by się zaprezentowała jak modelka. Ona sama nie przymierzała sukienek.

– Pasuje jak ulał, Dote – powiedziała, okręcając Mary Frances, aż ta się

zatoczyła i zaśmiała.

– Ty też coś wybierz, Anne.

– Jest tyle rzeczy, których potrzebuję bardziej niż nowej sukienki. Poza tym nie mam dla kogo się stroić.

– Och, daj spokój.

– Sama kiedyś zobaczysz. Będziecie mieć z Alem dziecko i wtedy zapragniesz innych rzeczy. Albo, Boże uchroni, sama już nie będziesz wiedziała, czego chcesz...

Anne podeszła do kotary na końcu garderoby i zaczęła teatralnie wpatrywać się w dal.

Mary Frances nie była pewna, czy ma ochotę dłużej wysłuchiwać utyskiwań siostry. Dziecko nie czyniło nikogo mądrzejszym ani bardziej ludzkim. Bez zastanowienia Mary Frances przerwała w połowie monolog Anne, mówiąc, że sama nie wie, czy w ogóle będą z Alem mieli dzieci.

Rozmowa się urwała. Anne muskała się palcami po obojczyku.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Zeszłej wiosny wydawało mi się, że jestem w ciąży i ulżyło mi, kiedy się okazało, że się mylę. Po prostu nie wiem, czy to odpowiedni dla nas moment.

Anne umilkła. Cisza rozlała się w całym sklepie z sukienkami i dotarła aż do sofy, na której, popijając herbatę, czekała Edith, a nawet jeszcze dalej. Często rozmawiały o Anne i Tedzie, Mary Frances nigdy nie była skora do zwierzeń o swoim małżeństwie; ciężko westchnęła i dokładnie zasunęła kotarę.

Anne dotknęła czubka głowy siostry i wyszła z przebieralni. Edith dopytałaby się o szczegóły w ciągu kilku sekund, a potem przekazałaby wieści Rexowi, Norze, a wreszcie Davidowi. Rodzina Kennedych wiedziała o sobie wszystko. Mary Frances sięgnęła ręką za plecy, żeby rozpiąć sukienkę, która zsunęła się na podłogę. Zdecydowała, że ją weźmie. Nikomu nie mogła powiedzieć o tym, co zrobiła z Timem.

Przejrzała się w lustrze. Ulicą szli kolędnicy, słyszała, jak śpiewają o dobrych królach i gałęziach ciężkich od śniegu, pewnie dla pieniędzy, a może, niestety, za jedzenie, tymczasem ona właśnie miała dostać nową sukienkę, bo matka wciąż kupowała jej ubrania. Kiedy przyjrzała się sobie, zobaczyła wystrzępiony koronkowy rąbek halki, jedną z dwóch par pończoch, tę gorszą, przypiętych do pasa agrafką. Przesunęła palcem po ramiączku, w miejscu, które zszyła, dotyk znowu przywiódł wspomnienia tamtego wieczoru, a ona szeptem powtarzała do siebie: „Nie, nie, nie”. To nie było jej życie: ta sukienka, przeprowadzka do Laurel Canyon. Na to nie było jej stać.

Wszystko przez to, że był zmęczony. Al czytał listy Keatsa, a potem tylko przesuwiał wzrokiem po stronie, nie rejestrował sensu słów, puścił wodze wyobraźni i nagle osunął się w tę graniczną strefę między czytaniem i pisanem,

w której czuł się nieważki. „Tylko trzy kroki dzielą puch od żelaza”. Połączenia wyraźne i nieuchronne splotły się w jego myślach z nagłym zapętleniem języka, aż nad jego głową rozległ się głośny huk, a on znowu był sobą, na krześle, w salonie Kennedych, Alfred Young Fisher, Al.

Rozejrzył się: angielskie antyki, portrety, sam rozmiar tego miejsca onieśmiał – z okien nie było widać krańców posiadłości. Kiedy Rexowi zamarzył się gołębnik, to go sobie zbudował. Chciał nowe auto, to je kupił. Al nie był pewien, jak zapłaci za benzynę, na której dojadą do domu, ale dla Mary Frances dzisiejsza wizyta miała ogromne znaczenie, a on nienawidził jej odmawiać. Spojrzył na zegarek. Nie było jej dopiero od godziny.

Długie popołudnia na Ranczu zawsze go nużyły – Rex barykadował się w gabinecie jak rezydujący dygnitarz, a Mary Frances jechała na zakupy z matką, wekowała owoce, wiozła gdzieś Davida i Norah albo podejmowała inne zadanie, którego nie dało się wykonać bez jej udziału lub wskazówek. Edith nie była bezradna, ale domagała się pomocy Mary Frances. Podobnie jak Anne od rozwodu z Tedem.

Przez sufit słyszał chwiejne kroki dziecka uciekającego ze śmiechem przed kucharką. O Tedzie nie można było powiedzieć, że jest porządnym człowiekiem, ale ludzie nieustannie się rozwodzą. Dziecka jednak nie można się pozbyć tak łatwo jak żony i Ted był idiotą, jeśli myślał inaczej. Wystarczy spojrzeć na Mary Frances. I na Ala. Rodzina Kennedych stanowiła tak integralną część jego życia, jakby wziął ślub z nimi wszystkimi, a nie może się rozwieść.

Kartkował książkę, ale hałas dochodzący z góry go dekoncentrował, nagle znalazł się na schodach, przeskakując po dwa stopnie, postanowił poprosić Liesl, żeby uciszyła chłopca. Już dość czasu zmarnował tego dnia.

Drzwi do pokoju dziecinnego były uchylone i Al zatrzymał się z dłonią na klamce.

Na podłodze z Seanem nie siedziała Liesl. Rex, w samej koszuli, toczył niebieską piłkę w kropki i obserwował, jak chłopiec odpycha ją z powrotem. Wpatrywał się w dziecko jak zaczarowany, śmiał się prawie tak jak Sean. Al nie pamiętał, kiedy ostatnio widział teścia klęczącego w pokoju dziecinnym, na dodatek bez krawata i marynarki. Próbował się wycofać, ale podłoga zaskrzypiała i Rex go zauważył.

– Sir – powiedział Al.

– Przeszkadzamy ci, Al?

– Nie, wcale nie. Byłem ciekaw, co się dzieje.

Sean klasnął wpatrzony w dziadka. Ałowi wydawało się, że teraz Rex zaprosi go do pokoju dziecinnego, by usiadł na podłodze i pobawił się z dzieckiem, jakby był za nie również odpowiedzialny, ale Rex tylko się zaśmiał i znowu popchnął piłkę.

Al wycofał się na korytarz, zamykając drzwi. Zresztą i tak by odmówił.

Zegar wybił godzinę. Obok niego stała etażerka. Na jednej z półek Al dostrzegł oprawioną w ramkę fotografię Mary Frances z czasów liceum. Ciemne włosy były zaczesane za uszy, sukienka luźno opadała z ramion, a w jej spojrzeniu już widać było tę mądrość, która tak zaintrygowała Ala, kiedy po raz pierwszy spotkali się w bibliotece. Zdjęcie pokazywało jednak tylko, jaką kobietą mogła się stać Mary Frances, choć jej życie potoczyło się zupełnie inaczej.

Al zachodził w głowę, co ostatnimi czasy Mary Frances robi w bibliotece, kartkując stare tomy i pieczołowicie sporządzając notatki. W Dijon zaczynała pracę nad kryminalnym czytadłem, dziennikiem podróży i niezliczonymi artykułami dla „Ladies’ Home Journal”, porzucała jednak pracę w obliczu trudności. Chciała stworzyć coś istotnego, widział to, czuł się, jakby obserwował kociaka igrającego z myszą, już na tyle szybkiego, że potrafiłby ją złapać, ale nieposiadającego jeszcze dość wprawy, by zrobić to, jak należy. Może gdyby jej się poszczęściło, natrafiłaby na coś, o czym warto opowiedzieć. A może zmieniłaby przedmiot zainteresowania i wróciła do dziergania skarpet. Przecież nie mogła już liczyć na wsparcie Tima.

Wyciągnął zdjęcie spod szkła, ramkę schował do dolnej szuflady w etażerce. W domu Edith było tyle portretów dzieci, że wątpił, by ktoś zauważył zniknięcie tej fotografii. Na dole wsunął zdjęcie za okładkę książki, wrócił na pierwszą stronę, do lektury tekstu, który bezskutecznie próbował przeczytać przez całe popołudnie. Z góry dobiegały hałasy i tupot. Każde zdanie musiał czytać ponownie, a potem jeszcze raz.

Kiedy panie wreszcie się zjawily, nieomal wychodził z siebie, ale Mary Frances udawała, że niczego nie zauważa. Wstał z fotela przed kominkiem, z książkami pod pachą. Na jej pytanie, czy jest gotowy, tylko przewrócił oczami.

Anne przemknęła obok nich, ściągając rękawiczkę.

– Sean? – zawołała. A potem: – Szerokiej drogi, Dote. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Al sięgnął po torbę z zakupami Mary Frances.

– Muszę wstąpić do ojca – powiedziała. – Chcę się pożegnać.

– Dobrze, Mary Frances. Co tylko zechcesz.

– Dziękuję.

Rex wrócił już do swojego gabinetu i zajął miejsce przy maszynie do pisania z filiżanką kawy, w zamkniętym na klucz zakurzonej pokoju pełnym oprawionych w skórę tomów. Edith wiecznie próbowała zagonić tam sprzątaczkę, ale Rex świetnie bronił prywatności. Niewiele czasu spędzał w domu. Siedział, opierając stopy na biurku, z okularami zsuniętymi na koniuszek nosa i rękami odchyłonymi do tyłu, jakby potrafił rozwiązać każdy problem, z którym przyjdą do niego petenci, choć tak naprawdę w ten sposób się relaksował.

– Myślisz czasem o tym, jak by to było, gdybyśmy nie spędzali wspólnie

niedziel w Lagunie? – zapytał. – Ocean, Dote, to balsam dla duszy. Bez niego pewnie byśmy do siebie strzelali.

Mary Frances podeszła do niego i przycisnęła usta do jego wielkiej, wspaniałej, genialnej głowy. Nagle do oczu napłynęły jej łzy. Nie chciała go zostawiać.

– Pojechałam do domku kilka tygodni temu – wyznała.

– Ach, tak? Nic nie mówiłaś.

– To była tajna misja.

– Mary Frances Kennedy. – Opuścił stopy na podłogę i spojrzał na córkę. Chyba chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko wziął ją za rękę i wcisnął jej plik banknotów.

– Na twoje misje – powiedział. – Albo na coś innego.

– Tatusiu. Zawstydzasz mnie.

– W takim razie, moja droga, powinnaś wyhodować grubszą skórę. Ta sumka wystarczy zaledwie na jedną noc na mieście. Dziewczyna czasem musi gdzieś wyskoczyć, kupić nową sukienkę. Życie nie przestaje się toczyć tylko dlatego, że jesteś już zbyt duża, by przyjmować pieniądze od ojca.

– Al czeka – szepnęła.

– Wygląda na to, że czeka, odkąd tu przyjechaliście.

Mary Frances próbowała się zaśmiać.

– Już dobrze, Dote.

Ojciec poklepał ją po dłoni, którą dotykała jego ramienia. Zawsze potrafił przejrzeć swoją córkę na wylot.

– Chyba nie. – Pokręciła głową. – Nie jest dobrze.

– Każdy był kiedyś młody, moja droga. Gdyby tak trudno było to przetrwać, nie byłoby nas tu teraz.

Wiedziała, że Rex sili się na bez troski, radosny ton, ale i tak zaczęła się mimowolnie zastanawiać, jak wiele poświęcił, jak dramatycznych dokonał wyborów, o których nie wiedziała Edith ani jego dzieci. Rex ledwie przekroczył pięćdziesiątkę. Jak bardzo jego obecne życie różniło się od tego, które kiedyś zaplanował?

Na podjeździe Al uścisnął rękę Rexowi, pocałował Edith i otworzył drzwi Mary Frances, która wysłuchiwała litanii zadań, jakie na nią czekały przed świętami – miała przywieźć pikantny sos do wołowiny, który zawekowała pod koniec lata, a Edith będzie bardzo potrzebowała jej pomocy przy gęsi – a potem pożegnała się i zamilkła.

Próbowała sobie przypomnieć, czy Al zawsze okazywał jej takie zniecierpliwienie, czy tylko dziś wydawało mu się, że ma do tego prawo. Jej gniew też był uzasadniony. Przypomniała jej się Anne w sklepowej przebieralni, otulająca się nieszczęściem jak obszernym woalem. Anne podjęła decyzję mającą zmienić jej

życie na lepsze, ale wciąż dawała wyraz pragnieniu odejścia, które tak długo dodawało jej sił. Kiedy się wyzwoliła, straciła grunt pod nogami. Najwyraźniej wolność jej nie służyła.

Mary Frances wiedziała, że zrobi wszystko, byle tylko nie skończyć jak Anne. Nawet teraz czuła, że się rozszczepia, pozory się rozpraszają, robią miejsce dla innego życia. Prawdę o tym, co się stało, mogła zachować wyłącznie dla siebie. Wymagało to jednak poświęceń, bo tylko dzięki nim udałoby się jej odbudować małżeństwo. Tak czy nie?

Przesunęła się na siedzeniu. Jej dłoń dokładnie pasowała do kieszeni w spodniach Ala.

– Och – powiedział. – A co to takiego?

Czuła, jak on pod dotykiem jej dłoni zaciska uda. Starał się coś wyrazić, ale jego ręce pozostawały na kierownicy, a ona nie wiedziała, co powinna teraz zrobić.

Kiedy zatrzymali się pod domem, słońce wisiało nisko na niebie, przeraźliwie złote pod brwiami chmur: Al wyglądał pięknie, powiedziała mu to. Idąc do drzwi, wzięła go pod rękę. Zaprowadziła go na kanapę i usiadła przed nim na krawędzi pikowanej otomany, ze sztywno skrzyżowanymi nogami, wbijając wzrok w sufit. Wyobraziła sobie wszystkie jego studentki, ich gładkie młode twarze zwrócone ku niemu, kiedy rankiem wchodzi na katedrę, a one wzdychają do niego gotowe do lekcji, z otwartymi zeszytami i piórami w dłoniach.

– Niech mi pan przeczyta swój poemat, panie Fisher – poprosiła.

W jego śmiechu nie było słychać rozbawienia.

– Mary Frances.

– Proszę.

Wyciągnęła się do tyłu i rozprostowała ramiona za głową, zamknęła oczy i rozkoszowała się coraz głośniejszym szelestem materiału, spódnica lgnęła do jej śliskich pończoch, bluzka powoli odsłaniała talię. Jak dzisiaj ubierały się studentki? Rozsunęła kolana i wyobraziła sobie, że staje przed nią Al, ale to ona zyskuje przewagę, Boże, ileż miała w sobie nadziei. Wyobraziła sobie, że są parą, której wzajemne pożądanie każe spędzić w łóżku późne popołudnie. Może gdyby działali szybko, udałoby im się jakoś przemknąć przez te dni, by u kresu sił, złani potem ponownie się odnaleźli. Uważała, że to możliwe. Wydawało jej się, że to właśnie się stanie i tylko raz wyszeptała jego imię, Al.

Nic.

Otworzyła oczy i zorientowała się, że została sama. Pokój nagle wypełniło jasne światło zachodzącego słońca. Podniosła się, wygładziła włosy z tyłu głowy i bluzkę. Usłyszała otwieranie i zamykanie szafek kuchennych, po chwili Al stanął w drzwiach z kanapką, zjadł już trzy wielkie kęsy.

Mimowolnie się do niego uśmiechnęła. Zdziwiło ją to, z jaką swobodą okazuje mu sympatię. Dzięki temu udało jej się zakończyć kilka rozmów tamtego

dnia.

W środku nocy obudziła się głodna, wygramoliła się spod kołdry i poszła do kuchni. Na blacie stała skrzynka z awokado przywieziona z Rancza. Rozcięła jeden owoc wzdłuż pestki, wzięła solniczkę i łyżeczkę, w koszuli nocnej stanęła w rozświetlonym na niebiesko oknie, oddzielała miąższ od skórki i posypywała go solą. W ten sposób zjadła dwa awokado, w lodówce znalazła zimne mleko, a w spiżarni wielki kawał ciasta od Edith, w sam raz, by się najeść, a potem wrócić do łóżka. Nie chodziło jej jednak o to, by zaspokoić głód, tylko побыć w samotności.

Przypomniała jej się tamta zima we Francji, kiedy z powodu przeraźliwego chłodu nie wychodziła z mieszkania, całymi dniami czekając na powrót Ala z uczelni. Odkryła wtedy mandarynki. Obierała je z największą ostrożnością, oddzielała każde aksamitne włókienko, układała jasne cząstki na gazecie z poprzedniego dnia – suszyły się na kaloryferze, kiedy ona brała kąpiel i szczytkowała włosy. Pokój wypełniał się aromatem mandarynek, a kiedy już zaczynały nabrzmiewać od środka, jakby zaraz miały rozerwać błonkę, otwierała okno i układała je w śniegu na parapecie, żeby zjeść je schłodzone i odmienione dzięki trosce, jaką je otoczyła. Nie chciała ich podać na stół ani się nimi podzielić, cały wysiłek wkładała w to, by zrobić coś wyłącznie dla siebie samej.

Znalazła notes na stole i zapisała to.

Zastanawiała się, czy Tim dotarł do Delaware i jak długo tam zabawi. Nagle zapragnęła, by nigdy stamtąd nie wrócił, po prostu wymknął się na drugi koniec kraju, w rodzinne strony. Przywołała płomień zapalki, którą podsuwał do papierosa, przypomniała sobie, jak zaciągał się w ciemności. Spojrzała na niego, zobaczyła gładką skórę na jego wyrzeźbionej klatce piersiowej (tak naprawdę nie pamiętała jego torsu, ale wyobraźnia przysłała jej z pomocą i stworzyła odpowiedni obraz), schyliła głowę, resztki dymu wciąż unosiły się w powietrzu, oplatały jego dłoń, daliby wszystko, byle tylko nie rozmawiać, znowu poczuć swoje ciało, jej stopa zaplątała się w prześcieradło, zastanawiała się, jak wiele zapamiętała, a ile zmyśliła, i jak długo miała jeszcze przeżywać tę scenę, aż wreszcie się od niej uwolni.

To również zapisała.

Po wielu latach znajdzie te notatki, kiedy razem z Norah będą zbierać jej papiery. Biblioteka Harvardu chce przejąć jej archiwum, opublikować listy, zredagować pamiętniki. Siedzi przy zawalonym papierami biurku i kartkuje stare notatniki, kot skulił się na jej kolanach, obok kieliszek zimnego wermutu – naląła go sobie, by uspokoić drżenie rąk, choć od zawsze jej się trzęsą. W tych zeszytach odnajduje klejnoty, których nigdy nie potrafiła stosownie oprawić, a teraz się nimi zachwyca, schodzą jej na tym całe popołudnia. Nagle w tym, co czyta, odnajduje Tima, który wraca do niej w jednej chwili. Choć od dziesięcioleci nie miała

kochanka, tamtą noc widzi teraz tak wyraźnie. Ich pierwszy raz.

Od kilku dekad pisze o Timie. Czy pisała kiedyś o kimś innym? On ją nawiedza, a ona go wpuszcza, wpisuje go w miejsca, w których nigdy go nie było: przy niej, wokół niej, jej jedyna prawdziwa miłość. A ponieważ może nadać Timowi dowolny kształt, ich relację opisuje jako czyste zrządzenie losu, nieuniknione jak światło dzienne. Nie zostawiła miejsca na mniej jednoznaczne emocje.

Norah kładzie teraz szczupłą dłoń na jej ramieniu, wymienia jej wermut na filiżankę herbaty, ostatnio jest taka troskliwa, tak pomocna przy sortowaniu całego tego kramu. Po życiu Mary Frances pozostało tyle papieru, który, choć pozornie leciutki, potrafi ją przytłoczyć.

– Nie ten – mówi.

Norah odkłada notatnik na rosnący stos, który nigdy nie trafi do biblioteki ani wydawcy, te zeszyty, listy i strzępy jej życia zostaną spalone, kiedy sortowanie dobiegnie końca. Przemyka jej przez myśl, jak niesamowite jest to, że choć tyle napisała, wciąż istnieje cała masa rzeczy, których nie może i nie chce powiedzieć.

Kiedy Al zastał ją następnego ranka w kuchni, wszystkie książki kucharskie były otwarte, a Mary Frances siedziała wśród nich nieuczesa, z plamą atramentu na policzku, robiąc notatki. Kucnął obok, płosząc ją.

– Przepraszam, przepraszam. – Wyciągnął rękę.

Naprawdę był rozradowany czy bawił się jej kosztem?

Zamknęła notes, otulając się szczelniej szlafrokiem.

– Nie mogłam spać – wyjaśniła.

Al odwrócił ku sobie książkę kucharską i spojrzał na kartę tytułową ze starą inskrypcją: „Każda cudowna godzina może być jeszcze piękniejsza”.

– Należała do mojej babci. Dostała ją od brata w dniu ślubu.

– Kolejny artykułik dla Tima? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– One nie są dla Tima. Tim je tylko czyta. Ty też byś mógł rzucić na nie okiem.

Al jeszcze przez chwilę jej się przyglądał, a potem wstał. Ona utkwiała wzrok w jego zaprasowanych w kant, grafitowych spodniach. Gdyby ją teraz osądził, nie ukorzyłaby się.

– Powinniśmy dziś pójść na kolację – powiedział. – Może zrobię rezerwację w mieście? Ubierzesz się ładnie? Chcesz?

– Tak. Chcę.

– Tak myślałem.

Wiedziała, że nie mają pieniędzy na takie wyjście oprócz tych, które dał jej Rex, ale gdyby to powiedziała na głos, rozpętałaby awanturę.

W koniuszkach palców Al trzymał białą, czystą kopertę, rozciętą u góry,

zaadresowaną do M.F.K. Fisher.

– Przyszedł wczoraj – oznajmił.

Otworzyła kopertę. „Westways” zapłaciło jej trzydzieści pięć dolarów za opowiadanie o Lagunie, tyle pieniędzy nie zarabiała przez cały miesiąc. Rzuciła się Alowi w ramiona, on się zaśmiał.

– Idziemy na zakupy – zakomenderowała. – Chcę wydać wszystko na przyjemności i kupić coś mamie i ojcu. Och, jak cudownie, Al. Wprost idealnie.

– M.F.K. Fisher. – Patrzył na czek w jej dłoni.

– Trzydzieści pięć dolarów – powiedziała.

On przyglądał jej się tak, jakby chciał od niej czegoś, czego ona nie mogła w sobie znaleźć.

– Wezmę kąpiel. – Zaczęła układać książki w koszyku.

Cieszyła ją perspektywa eleganckiej kolacji, mogliby pójść do Sardi's, zadzwonić do Glorii i pana Sheekmana. Miała ochotę na imprezę. Dostała wypłatę.

Szybko się umyła i włożyła szlafrok. W radiu *Stormy Weather*, „cały czas pada deszcz”. Wróciła do sypialni, żeby się ubrać, on niczego nie usłyszał, bo szła boso.

Stał przed łóżkiem z pięściami na biodrach na szeroko rozstawionych nogach, jakby oglądał dopiero co obsadzone pole. Pudełko i papier pakunkowy leżały na podłodze u jego stóp, nowa złotobrazowa sukienka rozłożona na narzucie, falbaniasty dół, wstążeczki zawiązane na kokardę. Potarł kark. O czym myślał?

Po cichu wycofała się na korytarz, tam skąd przyszła, a potem w kuchni wyciągnęła parę pończoch z kosza z brudną bielizną. Tego wieczoru postanowiła włożyć coś innego.

Po miłej kolacji w mieście i kolejnym kieliszku wina przy kominku Al poczytał jej *Zbrodnię i karę*, a ona zrobiła na drutach wstawkę do skarpet, które chciała dać Davidowi w prezencie świątecznym, i kiedy już cały wieczór minął bez najmniejszych tarć, weszła do sypialni i znalazła pudełko w szafie, dokładnie tam, gdzie je zostawiła. W środku leżała opakowana w pergamin sukienka. Al doskonale zatarł ślady.

Al schował książki do torby i zabrał resztę papierów z biurka. Na zewnątrz było jeszcze jasno i w miarę ciepło. Po raz ostatni mógł dłuższą trasą wrócić do domu w Eagle Rock.

Dziekan osobiście zjawił się z przeprosinami. To była kwestia czysto matematyczna, ściślej rzecz biorąc, ekonomiczna. Al był świetnym nauczycielem, uwielbianym przez studentów, szanowanym przez kolegów, cennym pracownikiem Occidental. Spodziewał się tej rozmowy, podziękował dziekanowi, zapytał o jego plany na święta i stwierdził, że teraz będzie miał mnóstwo czasu na własną twórczość. Dziekan był pewien, że jesienią znajdzie się dla Ala miejsce, a Al wyraził nadzieję, że tak właśnie będzie. Kiedy dziekan wyszedł, Al w głowie

policzył miesiące.

Wiosną i latem miał pracować jako korepetytor. W Los Angeles mężczyźni w długich kolejkach czekali na pracę, przydział na mieszkanie, bochenek chleba. Powinien cieszyć się z tego, co miał. W Laurel Canyon zmarnuje mnóstwo czasu i siły na niepotrzebne dramaty. Wiedział też, że koniec końców skorzysta z wolnego czasu. Kiedy się schylił, by sprawdzić, czy zabrał wszystko z szuflady, rozległo się pukanie do drzwi.

– Panie profesorze?

To była słuchaczka jego wykładów, panna Prescott. Bezskutecznie próbował zapamiętać jej imię. Rozmowa zapowiadała się oficjalnie. Dziewczyna przyciskała do piersi zeszyt z wypracowaniami.

– Mam do pana pytanie. Chodzi o moją pracę o Keatsie.

– Słucham, panno Prescott.

Wręczyła mu wypracowanie, a on je przekartkował. Nie on je ocenił. Już zaczął wyjaśniać, że jego żona często zostawia komentarze na wypracowaniach studentów, kiedy nagle uświadomił sobie, że to nie Mary Frances zapisała notatki na marginesach. To w ogóle nie było kobiece pismo.

– Panno Prescott, jest pani pewna, że to wypracowanie na moje zajęcia?

– Tak. Tak, panie profesorze, o Keatsie.

Al spojrział na okładkę zeszytu i zobaczył swoje nazwisko, numer sali i kursu. Wpatrywał się w nie przez chwilę.

– Widzę, że dostała pani piątkę – powiedział. – O co chce pani zapytać?

Dziewczyna zaczęła się rozwodzić na temat listu do Fanny Brawne, który Al odczytał im na lekcji, i o wadze związku poety z nią w świetle *Wigilii Świętej Agnieszki*. Al sobie przypomniał: „Miłość uczyniła mnie samolubnym” – napisał Keats. Samolubnym. Wysłuchał dziewczyny, powiedział jej to, co chciała usłyszeć, i ją odprawił. Do domu wrócił piechotą, w długim zimowym świetle.

Poprzedniego lata w Lagunie, któregoś wieczoru Tim i Gigi przyszli na kolację, a Mary Frances z kieszeni spódnicy wyciągnęła jeden ze swoich artykułików, by odczytać go niemal jak toast. Opowiadał o rozmaitych typach współbiedników. Al przypomniał sobie, jak rozbawiły ich jej inteligentne uwagi. Później, po posiłku, zastał Tima i Mary Frances w kuchni, oboje pochylali się nad karteczką trzymaną przez Tima. On zaczął zdanie, a Mary Frances je dokończyła, wyciągnęła mu pióro z dłoni i coś zapisała na marginesie. Wtedy Al myślał tylko o otworzeniu kolejnej butelki wina.

Było ciemno, kiedy dotarł do domu w Eagle Rock. Mary Frances słuchała wiadomości w radiu, wybory w Czechosłowacji, siedemdziesięciu czterech Niemców oddało puste karty do głosowania. W domu unosił się zapach wieprzowego tłuszczu i szaławii, gotowanie kolacji zajęło pewnie cały dzień. Kiedy miałyby czas na spotkania z Timem? Co robiła, kiedy Ala nie było w domu?

– Wróciłeś – powiedziała.

– Tak.

Już wkrótce mieli pożegnać się z tym domem.

W święta wszyscy zjechali na Ranczo: Anne z Seanem, David w szkolnym mundurku, prawie żołnierz, i Norah, gazela, wysoka, smukła piękność, Norah! Mary Frances zakradła się do jej pokoju u szczytu szerokich dębowych schodów, by pobyć z nią sam na sam. Nie miała ochoty patrzeć, jak mama i Anne z dezaprobatą unoszą brwi. Norah początkowo była onieśmielona, jej kształtny podbródek krył się w rozpuszczonych włosach. Byli chłopcy, tak, całe mnóstwo, i książki, i idee.

– Och, Dote – powiedziała. – Czasem chciałabym zawsze mieć cię przy sobie. W różnych sytuacjach zastanawiam się, jak ty byś zareagowała. To chyba niezbyt dojrzała postawa, prawda? Kiedy cały czas chce się mieć przy sobie siostrę.

– Często wspominam ten okres, kiedy mieszkałaś z nami we Francji. Nigdy nie traktowałam cię jak dziecko.

W głosie Norah pobrzmiwała duma.

– Bo nie byłam dzieckiem.

– Piszesz? Mama mówi, że tak.

– Nie tyle co ty.

Mary Frances położyła się na brzuchu i obracała w palcach obszyty frywolitką brzeg poszewki na poduszkę. Rex nie żałował wina przy kolacji, dlatego czuła się dobrze i lekko, miała ochotę rozmawiać z siostrą, póki nie zmorzy ich sen.

– Czytałaś mój artykuł w „Westways”? – zapytała.

– Oczywiście, że tak. – Norah przejrzała się w ręcznym lusterku, strojąc miny jak modelka z żurnala. Czy Mary Frances kiedykolwiek wyglądała tak doskonale? – Przeczytałam go na głos koleżankom ze szkoły i zaczęły mnie wypytywać o Lagunę. Opowiedziałam im o szlamie na plaży w sierpniu, o tym, jak wspinałyśmy się na skały z kanapkami z jajkiem sadzonym, ale nie potrafiłam dorównać twojemu kunsztowi. Chciały usłyszeć twoją wersję, Dote. I to nie jeden raz.

Mary Frances ze śmiechem opadła na poduszki.

– Nic dziwnego – powiedział Al. Kiedy otworzył uchylone drzwi, jego trochę zaczerwieniona i napięta twarz zdradzała, że też wypił za dużo wina. – Uwielbiam słuchać, jak Mary Frances snuje swoje opowieści. Uważam, że w rodzinie Kennedych nie ma lepszego gawędziarza niż ona.

Ona podniosła się z łóżka, szukając w jego twarzy ukrytych intencji. Schlebiał jej. Było w tym coś podejrzanego.

– Nie bądź głuptasem, Al.

– Mówię poważnie. Twoja opowieść dla tego czasopisma bardzo mi się podobała. Naprawdę.

– Musisz być dumny – wtrąciła się Norah.

– Och, tak. Tak. – Mówił łagodnie i szczerze. Położył dłoń na kłamce i zrobił krok w tył, jakby chciał, by Mary Frances ruszyła za nim. – Idziesz się położyć, kochanie?

– Tak, za chwilę.

– No dobrze.

Ale stał jeszcze przez moment, czekając, aż Mary Frances do niego dołączy albo wróci do rozmowy z siostrą. Tymczasem ona wpatrywała się w czubek buta na tle szerokiej deski podłogowej, jakby obliczała współrzędne. Wiedziała, że powinna pójść z Alem, ale chciała tu zostać.

– Jak wspaniale, że znowu wszyscy zebraliśmy się na Boże Narodzenie – powiedziała Norah. – Nie uważacie?

Edith królowała w kuchni, a jej głównym zmartwieniem były gęsi. Rano Liesl oskubała, wypatroszyła i sparzyła drób, a następnie ułożyła tuszki pod elektrycznym wiatrakiem, osuszając skórę pergaminem, by była chrupiąca, bo, jak twierdziła, właśnie tak pieką kaczki w Chinatown. Edith nigdy nie słyszała takich bzdur. Mary Frances miała to gdzieś. Liesl lubiła, by się z nią zgadzać. Obrala i pokroiła w ćwiartki rzepę, osuszała gęsi i mamrotała coś pod nosem. Liesl miała ostry, stalowy nóż, z którym rzadko się rozstawała. Zawsze był zatknięty za pasek jej fartucha. Do domu szła dopiero po podaniu kolacji u Kennedych.

Do gęsiego tłuszczu i cebuli Mary Frances wlała butelkę starej madery. Wszędzie były pomarańcze. Pokroiła jedną i dała dziecku. Pokroiła drugą i wrzuciła do rondla z winem. Potem nakłuła skórę gęsi, nafaszerowała je pomarańczami i gałązkami tymianku, związała nogi i zaszyła brzuchy. Edith włożyła drób do piekarnika. Norah zamieszała zawartość rondla. Na zewnątrz Rex i David prażyli migdały zebrane z drzew sąsiadów. Słońce rzucało długi snop światła na kuchenną podłogę.

Anne siedziała obok dziecka i robiła kulki zapachowe, na kolanach trzymała trochę goździków i otwarty słoik z masą nugatową przyrządzoną przez Edith.

– Uważaj, Anne. Będzie ci niedobrze – ostrzegła Mary Frances.

– Nie będzie.

– Co roku jest ci niedobrze.

Wszyscy twierdzili, że Anne ma wrażliwy żołądek po babci, ale Mary Frances podejrzewała, że siostra po prostu lubi sobie folgować. Z niezwykłą wprawą znajdowała ogromne ilości słodyczy. Już zdążyła zjeść niemal wszystkie świąteczne cukierki.

Edith uchyliła drzwiczki piekarnika, żeby rzucić okiem na gęsi.

– Anne – powiedziała. – Musisz myśleć o Seanie.

– Na Boga, mamó.

Edith zmierzyła ją wzrokiem, a Anne odłożyła cukierek.

Wielka rodzina Kennedych lubiła gromadnie świętować, ale niegdyś spotykali się w liczniejszym gronie. Mary Frances zastała Edith ze ściereczką nad serwisem do herbaty babci Hallbrook, choć Liesl już go raz wypolerowała. Twarz matki odbijała się w pękatym imbryku zniekształcona i melancholijna, pełna smutku. Potem, na górze, Anne stała przed swoim ślubnym portretem, a dziecko wyło, siedząc u jej stóp.

– Och, siostrzyczko. Mama powinna go zdjąć.

– Ale byłam chuda, nie sądzisz? Za chuda.

– Teraz jesteś jeszcze chudsza.

– Nie. Nie jestem. Wyglądam lepiej. Czuję się lepiej.

Mary Frances była skrępowana tym tematem. Schyliła się i wzięła na ręce Seana, uniosła go wysoko w górę, był lekki jak pisklę, dziecko o ptasiej naturze. Nachylił się w stronę matki i Anna machinalnie przejęła go od siostry, nie odrywając oczu od portretu.

– Uważasz, że Sean jest podobny do swojego ojca?

Mary Frances zbliżyła się do nich i pocałowała Seana w uszko.

– To mały Kennedy, siostrzyczko – wyszeptwała. – Do szpiku kości.

Na dole drzwi frontowe otworzyły się na oścież, rozległ się gwar mężczyzn, dom wypełnił aromat cedru, Al i David wnosili ścięte przed chwilą drzewko. Kiedy Mary Frances i Anne do nich podeszły, Rex z uznaniem przyglądał się synowi i zięciowi, a Edith, która w jednej chwili przestała zajmować się przeszłością, prowadziła ich w miejsce przeznaczone na choinkę. Spojrzała na dziecko w ramionach córki – przeszłość powracała w nowej formie.

Późną nocą, po przepysznej kolacji – Liesl miała rację, skórka gęsi była tak chrupka, jakby ją polakierowano – po kolędach o północy, kiedy dzieci poszły już spać, udekorowali choinkę anielskim włosem i nakryli stół do śniadania. Mary Frances z Alem wyszli po szerokich dębowych schodach do sypialni, która zawsze należała do niej i Anne. W ciemności się rozebrali i życzyli sobie dobrej nocy.

Mary Frances nie mogła jednak zasnąć. Czuła, że leżący obok Al też nie śpi.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Dziś dostałem list od Tima.

Poczuła chłód na plecach, w miejscu, którego on dotykał. Nic nie powiedziała.

– Wydaje mi się, że jest zrozpaczony. Nie pyta o nią, nie wspomina o niej, ale przez to wcale nie czuje się lepiej.

– Kocha ją. – Nie sądziła, że tak łatwo będzie jej to przyznać.

– Nie umiem sobie nawet wyobrazić, przez co on przechodzi.

Al zamilkł. Mary Frances miała nadzieję, że to koniec rozmowy.

– Rozumiem to – wyszeptał. – Cieszę się, że nie umiem sobie tego wyobrazić.

Spojrzała na Ala, którego oczy były pełne oddania. Tak naprawdę poznali się, gdy byli jeszcze dziećmi. Tyle razem przeżyli. Nie można odebrać komuś przeszłości i dać jej komuś innemu, jakby przekazywało mu się rolę w przedstawieniu.

Przypomniała sobie, jak on wziął ją po raz pierwszy za rękę na rogu ulicy, wsunął jej dłoń w zgięcie łokcia i przycisnął do klatki piersiowej tak mocno, że poczuła bicie jego serca. Odtworzyła w pamięci moment w pociągu z Cherbourga do Paryża, na obrusie okruszki ich pierwszej bagietki, właśnie mijały trzy tygodnie po ślubie i wtedy dotarło do niej, że jest mężatką, a jej życie dopiero się zaczyna. Powróciła myślami do wcale nie tak odległej chwili, gdy po raz pierwszy spojrzał na nią w ten sposób. Niewiele się zmieniło od tamtej pory. Usilnie szukała w sobie tych wspomnień.

Patrzyła, jak pierwsze pasma światła barwią horyzont na niebiesko.

– Słyszysz?

– Chyba jesteśmy zbyt daleko od miasta.

– Słuchaj – powiedziała. – Można dosłyszeć.

Razem wytężyli słuch, by wychwycić radosną, metaliczną melodię graną na trąbce. Mary Frances wciąż czuła, jak jej klatkę piersiową wypełnia niepokój przed nadchodzącymi miesiącami.

– Kocham cię, Al – wyszeptała.

On też wyznał jej miłość.

* *La petite violette, violette américaine* (franc.) – Nasz fiołek, amerykański fiołek.

Laurel Canyon, Kalifornia
1935

Powitał ich pusty podjazd. Weszli do holu, znaleźli wiadomość na stoliku przy telefonie: Gigi miała po południu zdjęcia próbne, a potem do późna imprezę w wytwórni. Niech się rozgoszczą. Na twarzy Mary Frances malowała się ulga.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytał Al. – Nie jest ci niedobrze?

– W samochodzie było zbyt duszno. Nic mi nie będzie.

Spojrzała w głąb długiego korytarza prowadzącego do sypialni. Zastanawiała się, po jakim czasie ten korytarz przestanie przywozić jej na myśl Tima, a wspomnienie tamtej nocy zupełnie spłowieje.

Na innym stoliku w holu czekał na nich kolejny liścik, oparty o wazon z chryzantemami wielkimi jak piłki do koszykówki. Znajome odręczne pismo Tima było pochyłe i pełne eleganckich zawijasów. Mary Frances sięgnęła po kopertę, już wyobrażając sobie strony pokryte niebieskim atramentem. Gdyby odpisała mu dziś wieczorem – choć to byłoby niedorzeczne, rozpaczliwe, o czym miałyby opowiedzieć, o jego pustym domu, jego żonie? – gdyby odpisała mu dziś wieczorem, w sobotę mogłaby spodziewać się odpowiedzi.

Wręczyła list Alowi, a on schował go do wewnętrznej kieszeni marynarki i zostawił Mary Frances samą.

Zapaliła papierosa. Trzęsły jej się ręce. Przez przeszklenie w drzwiach frontowych spojrzała na chryslera zaparkowanego na podjeździe. Przywieźli w bagażniku wszystko, czego potrzebowali, całe swoje życie w pudłach i torbach. Równie dobrze mogliby to zostawić. Niech szlag trafi Kalifornię, niech to wszystko trafi szlag.

W holu nie było popielniczki. Mary Frances nie mogła opanować drżenia.

– Chcesz drinka? – zawołała. – Al?

– Drinka? Teraz?

– Nie chcesz? – Chętnie by się napiła. Czemu nie.

Kuchnia była duża i biała, w kącie stała wysoka lodówka. Otworzyła ją, syknęło powietrze, wewnątrz zamrażalnika pokrywał kożuch szronu: litr mleka, dwa jajka, woreczek pomarańczy z życzeniami świątecznymi na etykietce. Szybko zamknęła drzwi lodówki. Czuła się tak, jakby zawiązała czas na supeł. Przechodziła przez dom, szukając sobie zajęcia, czegoś, co mogłaby zacząć i skończyć, poświęcić się temu bez reszty, ale wciąż myślała tylko o tym, że Tima tu nie będzie, już nie, nie zje tych pomarańczy, nie obierze jajek i nie zrobi jej tego cholernego drinka.

Zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, Al opierał się o blat z pałeczką do mieszania koktajli w zębach.

– Skąd to masz? – zapytała.

- Z pracowni Tima. Ma tam całą kolekcję.
- Chcesz zająć jego pracownię?
- Nie myślałem o tym. Nie wiem.

Al powiedział to z takim namysłem, jakby zadała mu pytanie egzystencjalne, a nie logistyczne, i może rzeczywiście tak było. Dopiero w przyszłości okaże się, które z nich będzie rościć sobie prawo do przestrzeni, czasu i atrybutów pisarza. Coś się zmieniło, kiedy Mary Frances zapłacono za artykuł o Lagunie, ale żadne z nich nie odważyło się powiedzieć tego na głos.

Al odłożył pałeczkę na blat, wrócił do samochodu i wniósł ich bagaże.

Później, wieczorem, odwrócił wszystkie płótna Tima do ściany, uprzątnął stół do pracy i wyciągnął maszynę z walizeczki. Manuskrypt po lewej, czyste kartki po prawej, jego notes otwarty i gotowy, lecz Al wyglądał przez okno.

Nie mógł przestać myśleć o naświetlaniach. Matka twierdziła, że ojcu schodzi skóra z karku. Al w dzieciństwie przeszedł szkarlatynę. Kiedy matka podniosła go z łóżka, skóra jego pleców nie chciała oderwać się od prześcieradła, a on nie pamiętał większego bólu – na pewno później zdarzało mu się cierpieć bardziej, ale teraz jego umysł usilnie i bezskutecznie szukał wspomnień, które obudziłyby w nim współczucie dla ojca.

Tak naprawdę nikt nie wie, co się dzieje w ludzkim ciele. Grzebiąc w jego wnętrzu, dowiedzieliśmy się niewiele ponad to, co wcześniej ustaliliśmy, oglądając poszczególne części połączone w jedno i pracujące miarowo. Być może ta cudowna konstrukcja miała na zawsze pozostać tajemnicą. A jednak wszystko, co lekarze potrafili wymyślić, by wyleczyć nowotwór ojca, było całkowicie niewidzialne.

Czasem wydawało mu się, że właśnie dlatego zaczął pisać *Upiora w cichych podmuchach*. Al przychodził do Café de Paris po porannych zajęciach, zamawiał likier z czarnej porzeczki i zasiadał do pisania. Pracował tak intensywnie, że łapał go skurcz w palcach, ale wiersz napierał na niego, absorbował go bez reszty i, dobry Boże, wbrew pozorom pochłaniał mnóstwo czasu. Al podnosił głowę znad strony i zauważał nietknięty likier, godzina lunchu nadeszła i przeminęła, a on biegiem wracał do Mary Frances.

Czekała na niego z daniem w małym blaszanym piekarniku, a on po lunchu ją całował – namiętność budził w nim wiersz, lunch, ulice za murami ich kamienicy, tak stare jak pierwsze trakty wytyczone przez człowieka – i obiecywał, że z popołudniowych zajęć wróci prosto do domu, prosto do domu. Ona chwyciła go za rękę, ze śmiechem prosiła, by się pospieszył i pisał więcej.

Od dawna się tak nie czuł. Wydawało mu się, że tamta atmosfera już nigdy nie wróci.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął z niej list od Tima. Ich przyjaciel zamierzał latem wyjechać z Delaware na wycieczkę po Anglii.

Twierdził, że musi oczyścić umysł. Uwolnić się od czarnych myśli. Co za luksus – pomyślał Al – móc odciąć się od przeszłości. Tim postępował tak przez całe życie.

List był adresowany również do Mary Frances. Tim prosił o jej artykuły, chciał je bowiem pokazać swojej starszej siostrze Claire. Zanim zaczęła pracę w Harper, razem napisali i zilustrowali pół tuzina książeczek dla dzieci i kilka powieści dostępnych w księgarniach w całym kraju. Tim uważał, że Claire mogłaby pomóc Mary Frances w znalezieniu wydawcy.

Al wyglądał przez okno pracowni na ciągnące się za domem tereny pofałdowane jak muszla przegrzebka. Tak bardzo chciał odpocząć od rozmyślania o pieniądzach, a raczej o ich braku, o ojcu i jego umieraniu, o swoim przygasającym zapale. Nie brakowało mu czasu, korepetycje zaczynały się dopiero za trzy tygodnie, miał papier i taśmę do maszyny do pisania, odpowiednią przestrzeń i żonę, która niewiele od niego wymagała. Na początku ich małżeństwa właśnie to cenił najbardziej. Mary Frances zawsze potrafiła sama się sobą zająć. Kiedyś ją za to podziwiał, ale teraz wydawało mu się to podejrzane.

Wyłączył światła w pracowni. Drzwi do łazienki były uchylone i z holu zobaczył, jak Mary Frances, z włosami związanymi wstążką i białymi smugami kremu na policzkach, przygotowuje się do snu. Schyliła się, żeby nabrać w dłoń wody, pod przezroczystym szlafrokiem widać było zarys jej biodra. Przez moment zapragnął się do niej przytulić, znowu poczuć ten zapierający dech w piersiach pęd – jak wtedy, we Francji. Długo stał, obserwując ją, ale nie wykrzesał z siebie nawet jednej iskry.

Mary Frances obudził przeraźliwy hałas. Dopiero po chwili doszła do siebie w ciemności, w obcym pokoju nie potrafiła nawet zlokalizować źródła odgłosów. Popatrzyła na zegarek leżący na nocnym stoliku. Była druga w nocy.

Odwróciła się. Al spojrzał na nią, zanim zdążyła zamknąć oczy. Nie mogła udawać, że śpi. Jak zawsze to ona musiała zejść na dół i sprawdzić co u Gigi.

Kuchnia wyglądała jak pobożowisko. Z otwartej lodówki ciekło, pojemnik z hartowanego szkła z żółtymi resztkami leżał roztrzaskany na podłodze w kałuży mydlin i amoniaku. Woda przelewała się z wiadra ustawionego pod kranem, a Gigi, z falistymi włosami zaczesanymi do tyłu, siedziała przy stole w ślicznej różowej sukience i szpilkach, jakby przygotowywała się na wieczór pełen atrakcji, a nie dopiero co wróciła z imprezy. Siedząc przy stole nakrytym obrusem w wiśnie, paliła papierosa, strzepując popiół do rynienki zrobionej ze sreberka po gumie do żucia.

– Och, przepraszam – powiedziała. – Nie chciałam was obudzić.

– Nic się nie stało. Nie spałam. – Mary Frances schyliła się, żeby pozbierać odłamki szkła. Żółta maź na podłodze była gęsta i grudowata.

– Zajmę się tym – powiedziała Gigi. – Straszna dziś ze mnie niezgara.

Dalej siedziała z dłońmi złożonymi na różowej sukience. To, że przybrała

sceniczną pozę, widać było z drugiego końca pomieszczenia. Mary Frances poczuła intensywny zapach perfum: werbena, cytryna, ciężkie kwiatowe aromaty. Gigi podziękowała jej za to, że pospieszyła jej na pomoc.

– Będzie fantastycznie. Nie sądzisz? – powiedziała. – Jak na party pizamowym. Oczywiście to był pomysł Timmiego, ale natychmiast dostrzegłam dobrą stronę tego planu. Wiele ci zawdzięczam.

– Och. Al i ja cieszymy się, że możemy wam pomóc.

– Ale to ty – Gigi wyciągnęła rękę i położyła ją na ramieniu Mary Frances – tak wiele mi ułatwiłaś.

– Z czasem wszystko staje się łatwiejsze.

Gigi się uśmiechnęła.

– Proszę. Czuj się jak u siebie w domu.

Mary Frances wolałaby już drugi raz tego nie usłyszeć. To nie był jej dom. Ale nie należał też już do Gigi. Zapach perfum obezwładnił Mary Frances, podeszła do kranu i go zakręciła. Wyciągnęła z kredensu dwie szklanki do soku. Z szafki przy zlewie wyjęła spod ręczników półlitrową butelkę winiaku z jabłek, a ze spiżarni przyniosła podłużne opakowanie słonych krakersów i puszkę pasztetu.

– Widzę, że wpada tu Gloria – powiedziała.

– Ze swoimi dziwnymi miksturami i słoikami pełnymi, sama nie wiem, czegoś. Co to w ogóle jest?

– *Alouette, gentille Alouette*. To skowronek.

Gigi oparła czoło o nasadę dłoni. Jej papieros się wypalił. Mary Frances naląła jej mały winiak, a sobie duży.

– Jesteś taka mądra, Mary Frances. Taka mądra. Szklanki, jedzenie. Wiesz dokładnie, gdzie co jest, i jak znaleźć w moim domu to, czego szukasz.

Mary Frances czuła, jak krew napływa jej do twarzy. Nie potrafiła zapanować nad tym odruchem. Gigi zaciągnęła się zgasłym papierosem, spojrzała na poczerwiałą koniec z przerażająco enigmatycznym wyrazem twarzy.

– W moim domu, na litość boską – syknęła.

Mary Frances wiedziała, że powinna przeprosić, podziękować jej za dyskrecję, a może wybuchnąć płaczem, ale jej chłodny umysł powędrował w innym kierunku. Gigi знаła prawdę, a gdyby rozpuściła język, wydarzenia potoczyłyby się w zawrotnym tempie. To była tylko kwestia czasu, a jeśli Mary Frances chciała wziąć sprawy w swoje ręce, to ten moment był najlepszy.

– Nie mogę przestać o nim myśleć – powiedziała.

Gigi, z zaczerwienioną, hardą twarzą, błyskawicznie nachyliła się nad stołem, podpierając się na łokciach, a dekolt sukienki otworzył się szerzej. Przewróciła szklanki, winiak popłynął ze stołu na podłogę. Chwyciła Mary Frances za rękę.

– Wiesz, że nie chodzi o twoje ciemne sprawki, prawda? Bez względu na to,

co zrobiłaś... – Gigi kręciła głową – gdybym go chciała, mogłabym go odzyskać. Wróciłby do mnie.

– Ale nie chcesz.

Gigi zaśmiała się ostro.

– Co ty wygadujesz?

– Nie chcesz go.

Gigi ze złośliwym uśmieszkiem spojrzała na przewrócone szklanki, odegrała scenę wedle zaplanowanego scenariusza.

– Żal mi cię – powiedziała.

Podpierając się, wstała i wyszła, w pustym holu rozbrzmiewał szelest jedwabiu i miarowe stukanie obcasów.

Mary Frances spojrzała na bałagan na stole i na podłodze. Gigi miała prawo do rozzalenia i wściekłości, bo ją zdradzono, wystawiono do wiatru, była przerażona i dezorientowana. Mary Frances liczyła na to, że odnajdzie w sobie współczucie. A przynajmniej pragmatyzm. Gdyby Gigi zechciała wziąć odwet na Alu, zostawiłaby ją tu samą, a wtedy rozpadłby się ten mały układ zawarty przez nich po to, by ocalić jej kontrakt z wytwórnią. Mary Frances wiedziała jednak, że postąpiłaby bardzo nierozważnie, gdyby powiedziała to na głos. Zwinęła obrus w wisienki, wyjęła wiadro ze zlewu i znalazła mop. Gdyby nie posprzątała teraz, bałagan czekałby na nią rano.

Jadąc przez kanion, minęła mężczyzn idących poboczem autostrady z rękami w kieszeniach, w czapkach nasuniętych głęboko na czoło, by osłonić się przed ostrym słońcem. W radiu w kółko przestrzegali przed autostopowiczami. Funkcjonariusze policji zostali wysłani na granicę stanu, by ograniczyć napływ ludności, ale nie mogli zapobiec temu, że bezrobotni pójdą tam, dokąd tylko zechcą, chyba że ktoś ich podwiezie. Jednak Mary Frances nie mogła się zatrzymać. Została sama, a to nie było Whittier, gdzie wszyscy znali jej ojca.

Los Angeles rozpychało się w dolinie poprzecinane lśniąca siecią bulwarów, pełne palm daktylowych i oleandrów, uparte i strojne, miasto jak roztrzęsiona wdowa. Jechała powoli, krążyła po pustych ulicach.

Targ dla farmerów mieścił się przy Trzeciej i Fairfax. Wokół unosił się nieprzyjemny zapach krów. Zauważyła grupki ludzi targujących się o nadgniłe pomidory, kości z karkówki i skóry wieprzowe, ich różowe dzieci kurczowo trzymały się matczyńskich spódnic. Mężczyźni opierali się o tylne klapy samochodów, paląc skręty, wokół krążyły psy, nisko na niebie wisiały czarne chmury nabrzmiałe od deszczu. To miejsce natychmiast przywiodło jej na myśl Dijon.

Tak jak Al dał się pochłonać najpierw studiom, potem nauczaniu i swojemu poematowi, tak ona z oddaniem przechodziła od straganu do straganu z listą zakupów i koszykiem, niestrudzenie upewniając się, czy bierze odpowiednie ilości

towaru. Pod tym względem doskonale się uzupełniali, a Al był idealnym towarzyszem podróży.

Na targu unosił się aromat siana i prażonych orzechów. Mary Frances kupiła migdały w rożku z gazety od handlarki stojącej nad kotłem. Wzięła jeszcze grube, zapiaszczone pory, warkocz czosnku i pół kilo pomidorów, długi *bâtard* chleba na zakwasie, tuzin turkusowo nakrapianych jajek, słoik śmietany, bo teraz miała lodówkę i mogła przechowywać takie produkty dłużej niż godzinę czy dwie. Uniosła papierową pokrywkę pojemniczka ze śmietaną i skosztowawszy jej, otarła usta wierzchem dłoni. Przypomniały jej się poduchowate kopczyki gruyère'a tartego na skrawek woskowanego papieru w Les Halles. Serowar był młody, przystojny i sam wykarmiony mlekiem. Obiecywał nauczyć ją francuskiego, jeśli ona się w nim zakocha: *mon cocotte, mon chouhou, ma petit lapin, Madame, s'il vous plaît**.

Przeszła wzdłuż straganów. Na obrzeżach targu handlarz rybami rozłożył swój połów na dwóch blokach lodu: dziwne poskręcane kalmary i kraby, góry srebrzystych sardynek z wciąż błyszczącymi oczami, ogromne cielska ryb o białym mięsie i głowach wielkich jak talerz.

– Ta jest znakomita – zachwalał sprzedawca. – Dziś rano jeszcze pływała w morzu. Świeżutka. Proszę.

Wyciągnął nóż z kieszeni, wytarł ostrze, uniósł głowę ryby. Przebił skrzela, wycinając równy półksiężyc, i wcisnął kciuk między ciało i skórę, żeby wyjąć kawałek mięsa. Ukroił cienki plaster, skropił sokiem z cytryny i podał Mary Frances na czubku noża.

– Zjeść, zjeść – namawiał.

Ugryzła. Mięso było delikatne i słodkawe. Smakowało wybornie. Wydała odgłos aprobaty, a handlarz powtórzył go jak echo.

– Czego pani sobie życzy? – zapytał.

Kiedy Al wstał, w dzbanku brakowało kawy, dom wydawał się pusty – widocznie kobiety wyszły. Wkruszył lód do szklanki i napełnił ją wodą z kranu. Nie było nic innego na śniadanie. Lód miał nieświeży posmak, wylał wszystko do zlewu.

Na tarasie zauważył trzepocący rąbek materiału.

Widział Gigi w Boże Narodzenie, zanim bomba wybuchła, podszedł do szyby, oczekując, że zobaczy ją całkowicie odmienioną. Może wydałaby mu się mniej atrakcyjna – znał teraz jej tajemnice. O niewielu kobietach wiedział takie rzeczy. Kiedy poprzedniej nocy Mary Frances wróciła do łóżka, on wciąż nie spał, próbując wyobrazić sobie przebieg ich rozmowy na postawie dochodzących do niego, ostrych dźwięków. Żenowało go jego własne zaciekawienie, ale to, czy był zawstydzony w obecności Gigi, nie miało już znaczenia. Po zakończeniu tej sprawy mieli już nigdy się nie zobaczyć.

Otworzył drzwi na taras.

– Miły poranek?

– Tak – odparła Gigi.

Najwyraźniej tylko na tyle było ją stać. Jej ciało było spowite kimonem, które nieomal odsłaniało jedną z jej małych piersi, miała ciemne okulary, a włosy ukryła pod turbanem. Nawet nie drgnęła, by się zasłonić, a Al spuścił wzrok. Zauważył otwartą fiolkę z aspiryną, syfon i butelkę peychauda.

– Och – zatroskał się. – Ciężka noc?

Gigi westchnęła, odwracając się. Kimono się rozsunęło. Ach, te aktorki. Włożył ręce do kieszeni i czekał, aż go odprawi. Nie potrafił prowadzić kurtuazyjnych rozmów. Po prostu zaczął w myślach odliczać od dziesięciu.

– Al – powiedziała Gigi. Odsunęła okulary na czubek głowy. Jej zmęczona, nieumalowana twarz wyglądała jak z porcelany. – Mój ojciec umarł niedługo po moim ślubie z Timem.

– Przykro mi.

– Nie widziałam go od lat i nie pojechałam na wschód na pogrzeb. Dowiedziałam się o jego śmierci dopiero dwa tygodnie po fakcie. Zawał.

Głos lekko jej drżał. Al nachylił się, wytężając słuch.

– Zresztą. Tim powiedział mi, że macie kłopoty, a ja... – Spróbowała jeszcze raz: – A ja chciałam...

– Dziękuję, Gigi – uciął Al.

Jej dłoń musnęła nogawkę jego spodni. Odsunął się.

– Wiem, że Mary Frances pewnie teraz daje ci wiele wsparcia. Jest tak blisko ze swoją rodziną, na pewno zrozumie. Ale jeśli chcesz pogadać albo czegokolwiek potrzebujesz...

– Dziękuję, Gigi. Dziękuję.

Rytmicznie bębnił palcami o framugę drzwi.

Przyglądała mu się przez chwilę, jakby zdejmowała z niego miarę na garnitur, a potem odwróciła wzrok i machnęła ręką. Nareszcie poczuł, że może odejść.

Jego papiery i maszyna do pisania wyglądały dokładnie tak jak poprzedniego wieczoru, ale naszło go przeczucie, że ktoś ruszał jego rzeczy. Tęsknił za swoim gabinetem w Eagle Rock. Przywykł do pracy w tamtym domu, a tutaj tyle go rozpraszało, że od dwóch tygodni nie potrafił się przyzwyczaić. Gigi na tarasie półnaga, jej przyjaciółki, wszystkie takie młode, a od jakiegoś czasu młodość go irytowała.

Musiał rozproszyc czarne myśli, jak Tim. Miał ochotę na przejażdżkę, ale Mary Frances zabrała samochód.

Postanowił więc pójść pieszo. Zimowe niebo było gniewne i szare, a powietrze wilgotne, schylił głowę, obserwując swoje miarowe kroki. Lubił ten

jednostajny rytm, jego umysł się w nim zatracił. Mógłby tak spacerować cały dzień.

Dotarł na wzgórze, na którym był usytuowany dom Ottona Klemperera. To jego dzieciom miał udzielać korepetycji. Bez namysłu zapukał, a służący poprowadził go jak oczekiwanego gościa do sali balowej, gdzie ubrany na czarno mężczyzna nachylał się nad fortepianem.

– Przepraszam, panie Fisher – przywitał go Klemperer, nie podnosząc głowy znad klawiatury. – Zjawia się pan w dniu, który przeznaczam na komponowanie.

– Proszę mi wybaczyć. Spacerowałem w pobliżu.

Klemperer uniósł dłoń.

– Chwileczkę, panie Fisher. Feng, proszę, zaprowadź pana Fishera... – Pomachał palcami. – Na werandę, tak? Ma pan ochotę na lunch, panie Fisher?

– Tak, dziękuję.

Al umierał z głodu. Ostatni raz jadł poprzedniego dnia. Feng otworzył przed nim oszklone drzwi na werandę pogrążoną w cieniu olbrzymiego figowca. W dole w basenie marszczyła się tafla wody. W oddali widać było jezioro i napis HOLLYWOODLAND, tak jakby Klempererowi należało stale przypominać, gdzie w tej chwili mieszka.

Feng przyniósł filiżankę kawy. Z otwartych drzwi domu jak z próżniowego pojemnika wymknęły się dźwięki, a potem znowu wszystko ucichło. Ten rytm Al również doskonale znał. Przypominał sobie poranki w Café de Paris, kiedy czas przyspieszał i zapętlął się wokół jego poematu, jego pracy. Dzień przeznaczony na komponowanie – wiedział, co to znaczy, nawet jeśli nie tak to nazywał. Te dni mogły jeszcze powrócić. Wyciągnął notes z tylnej kieszeni, ołówek zawisł nad pustą białą kartką.

Dopiero kiedy wypił kolejną kawę, Klemperer się do niego przyłączył, a Al zostawił notes otwarty, w końcu był pisarzem.

– Dziękuję, panie Fisher, za pomoc moim dzieciom.

– Nie mogę się doczekać spotkania z nimi.

– Mieszka pan w okolicy? W liście wspomniał pan o przeprowadzce.

– Tak. Razem z żoną przenieśliśmy się na kilka miesięcy do przyjaciół.

Otto Klemperer zapalił papierosa. Miał twarz o ostrych rysach, okrągłe czarne okulary zsunęły mu się na czubek nosa. Jego spojrzenie kazało Alowi mówić dalej.

– Właściwie do żony przyjaciela, która pracuje w przemyśle filmowym. On... podróżuje.

Al czuł, że niepotrzebnie zabrnął w tę idiotyczną rozmowę, zrobił na Klempererze fatalne pierwsze wrażenie jako korepetytor, któremu ten miał powierzyć pieczę nad dziećmi.

– Ach – westchnął Klemperer. – Jestem żonaty od dwudziestu dwóch lat.

Podróżowanie to część życia.

Jego uśmiech był jak szybki, kontrolowany rozbłysk, niczym niespodziewane zaproszenie do poufnej rozmowy. Zawsze liczył się ze zdaniem starszych mężczyzn, cenił precyzję ich opinii. Tim był dla niego kimś właśnie takim – nie tylko dobrym przyjacielem, ale i zaufanym doradcą. Jeszcze nie do końca zdawał sobie sprawę, jak bardzo mu go brakowało.

Feng przyniósł talerze z kuchni, wąskie plastry szynki wiły się wokół szparagów, do tego ciemny chleb, miękki, półpłynny ser, butelka pinot blanc i trzy lampki. Kiedy otwierał wino i napełniał kieliszki, Klemperer patrzył na dom.

– No dobrze – powiedział, klaszcząc w dłonie – Nie będziemy czekać. Smacznego, panie Fisher.

Ostrożnie, z ogromną uwagą Al obserwował, jak Klemperer zjada ze swojego talerza wszystko do ostatniego kawałeczka, a potem zabiera się za porcję żony. Wypił jej wino, wspomniął o Amelii Earhart, która właśnie odbyła pierwszy lot z Hawajów do Oakland. Czy Al był w Oakland, czy słyszał o Amelii Earhart? Klempererowi imponowała jej inteligencja. Jego córka Britta, dwunastolatka, uwielbiała latać. Natomiast ośmioletni Christoph uwielbiał mleczne koktajle i fascynował go pomysł, by dać się pogrzebać w grobowcu z całym ziemskim dobytkiem. Na czas pobytu w Kalifornii Klemperer chciał im kupić wielkiego kudłatego psa. Które z hodowanych w Ameryce ras są najbardziej kudłate?

Al, patrząc w dal na szmaragdowy basen, odpowiadał na pytania Klemperera: nie słyszał o Amelii Earhart, nigdy nie leciał samolotem, podobały mu się airedale terriery, ale nie powiedziałby, że są kudłate, raczej włochate, i chyba hodują je też Niemcy. Słońce mocno świeciło, jedzenie było smaczne, a Feng pojawiał się jak za sprawą magicznego zaklęcia, kiedy tylko Al opróżniał kieliszek. Życie płynęło tutaj równym tempem, z wigorem, ale i z klasą. Al czuł się tu tak swobodnie.

– Mogę zadać panu osobiste pytanie, panie Klemperer?

Klemperer skrzyżował sztucce na talerzu i odchylił się na oparcie krzesła.

– Oczywiście.

– Czy uważa pan, że mężczyzna powinien wspierać twórcze pasje żony?

– Jej hobby?

– Nie. Powiedzmy, że pańska żona chciałaby dyrygować orkiestrą albo zawodowo grać na instrumencie. Uważa pan, że to przystoi? By kobieta była aktorką albo pisarką?

Klemperer zamyślił się, bezwiednie dotykając trzonka widelca.

– Ma pan dzieci, panie Fisher?

– Nie, nie mam.

– Tak myślałem.

Al bał się zapytać, jak Klemperer się zorientował, ale nic nie odrzekł,

a wokół nich rozlała się cisza. Ani jego rodzice, ani teściowie nie mieli mu za złe tego, że nie ma dzieci. W klatce piersiowej poczuł syk jakiejś małosłownej urazy.

– Pewnie to nie dla każdego.

– W rzeczy samej, proszę pana.

Klemperer wstał od stołu. zaproponował, by lekcje rozpoczęły się już w lutym, Al miał zjawiać się w domu po południu i uczyć dzieci przez cztery godziny, od poniedziałku do piątku. Otworzył portfel i wyciągnął kilka banknotów.

– Zaliczka.

– To nie będzie konieczne, panie Klemperer.

– Owszem. Przecież nie przyszedł pan z tak daleka tylko na lunch.

Al się zaczerwienił. Zrezygnowałby z tej pracy natychmiast, gdyby nie to, że tej wiosny nie mógł liczyć na inne dochody, a bez pieniędzy nie mógłby dalej prowadzić takiego życia, jakie zaplanował – jako opiekun Gigi, nauczyciel, któremu odebrano gromadkę studentów, poeta unikający swojego poematu. Klemperer bez trudu potrafił wygospodarować dzień na komponowanie, ot tak wyciągał plik banknotów z portfela, zawsze starczało mu ich na dzielenie się z innymi. Al zapewnił swojego gospodarza, że sam trafi do wyjścia.

W sali balowej na jednej z długich białych sof w leniwej pozie siedziała kobieta w wąskiej spódnicy z gabardyny i w trzewikach. Jej faliste rude włosy ułożyły się w wachlarz na oparciu. Paliła papierosa, trzymając popielniczkę na spodzie dłoni. Nie wyglądała na matkę dwunastolatki i ośmiolatka, nie wydawała się również szczególnie poruszona tym, że ominął ją lunch. Pożegnała Ala trzepotaniem palców i choć nie zmieniła nonszalanckiej pozy, jej długie piegowate ramię uniosło się z gracją niczym giętka koci ogon.

Na ulicy Al wyciągnął z kieszeni notes i otworzył go na stronach, które zapisał na werandzie, wyrywał je po kolei i rzucał na wiatr. Pewnego razu w czasie studiów w Princeton zniszczył pracę, której poświęcił półtora roku. Czasem tylko tak można się wyzwolić. Nawet nie patrzył na unoszone wiatrem kartki, usuwał stronę po stronie, aż wreszcie poczuł się lepiej, oczyszczony z popołudniowych złudzeń.

W domu Toma i Gigi zastał Mary Frances przy kuchni ze ścierką przewiązaną w pasie. Wilgotne włosy na jej skroniach zakręciły się w loczki. Widział, jak z długiej deski zsuwa do garnka z wywarem posiekane pomidory, czosnek, skórkę pomarańczową, liść laurowy, głowy, kręgosłupy i ogony tuzina sardynek. Wbiła nóż w kraba i rozłupała go na pół, a potem wrzuciła do wywaru. Nie zauważyła, że Al za nią stoi.

Chrząknął, a ona gwałtownie się odwróciła.

– O mój Boże – powiedziała.

– Jesteś zajęta.

Podstawiła mu pod nos moździerz pełen zmiażdżonych ziół i czosnku,

składników sosu rouille, zapach był tak ostry, że Alowi do oczu napłynęły łzy. Pokazała mu twardy bochenek chleba, białe steki rybne, półprzezroczyste jak porcelana. Podsunęła mu do ust solony migdał, skórkę chleba zamoczoną w wywarze, swój palec. Jego żona przyprawiała go o zawrót głowy, była taka piękna.

Przecedziła wywar przez sito, dociskając ości i skorupy drewnianą łyżką. Wrzuciła do wrzątku rybne steki, kółka i splątane paseczki kalmarów, odrzucając na bok mule, które się nie otworzyły. Opiekła chleb. Wrzątkiem ogrzała fajansową wazę. Nakryła do stołu, wyciągnęła z lodówki butelkę schłodzonego białego wina i podała Alowi razem z korkociągiem.

– Czego w tej kuchni nie ma – wyszeptwała.

– Jest tu Gigi?

– Nie, chyba nigdy się tu nie zapuszcza. Ma każdy gadżet pod słońcem. Tylko spójrz. Wiesz, do czego to służy? – Pokazała mu coś, co przypominało grzebień z bakelitowym uchwytem i tuzinem ostrz.

Al czekał na odpowiedź.

– Do krojenia ciasta – wyjaśniła.

– Jak się domyśliłaś?

– Po co kroić ciasto w taki sposób?

– Nie wiem.

Mary Frances była jak w transie. Al westchnął i otworzył wino.

Bouillabaisse była esencjonalna, czerwona i ostra, równie smaczna jak zupy, które jadali we Francji. Siedzieli nachyleni nad talerzami, dmuchając, siorbiąc i dodając po odrobinie sosu rouille – i jeszcze jedna kromka, i jeszcze jeden kieliszek wina. To był posiłek dla dwunastu osób, prawdziwa uczta, Al już więcej nie mógł, a zostało jeszcze tyle jedzenia. Mary Frances lubiła ekstrawagancję. Czuł, jak znowu wzbiera w nim zniecierpliwienie.

– Muszę odwiedzić rodziców w Palo Alto, zanim zacznę korepetycje.

Odłożyła łyżkę.

– Dopiero co przyjechaliśmy – powiedziała. – Powinniśmy podtrzymywać pozory. Nie możemy nagle odwrócić się na pięcie i wyjechać.

– Mam tak niewiele czasu. Ale ty mogłabyś zostać.

– Sama?

– Widziałem się dziś z Klempererem.

Al położył na stole dwadzieścia dolarów. Oboje wbili wzrok w banknoty. Z niewyjaśnionego powodu perspektywa wyjazdu budziła w niej panikę – nie miała ochoty na tę podróż, ale jednocześnie nie chciała zostać sama z Gigi, a już na pewno nie zamierzała wyjaśniać dlaczego. W kuchni wilgotne powietrze zgęstniało. Mary Frances próbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby Rex zachorował. Czy w ogóle liczyłaby się wtedy ze zdaniem Ala?

– Nie wiem – odparła.

Al milczał, nie odrywając wzroku od pieniędzy.

– Zrób, jak uważasz, Al.

Drzwi frontowe się otworzyły i po chwili do kuchni weszła Gigi, brzęk jej bransoletek i kluczy, i stukot obcasów o posadzkę ułożyły się w pierwsze akordy taranteli.

– Boże, co to za zapach? – Nie sposób był odgadnąć intencji, z jaką wypowiedziała te słowa

Al złożył i schował banknoty. Mary Frances wstała od stołu, odsunęła krzesło, robiąc miejsce Gigi, która pewnie nie jadła cały dzień. Była rozwibrowana, rozpromieniona i uśmiechnięta, jakby wydarzenia minionej nocy i tego poranka w ogóle nie miały miejsca, jakby przeszłość łącząca ich troje nagle została wymazana.

Wyciągnęła muszlę z miski i zsunęła z niej mula do ust.

– Gigi, w każdej sytuacji prezentujesz się jak z żurnala. Al, tylko na nią spójrz. Jest cudowna.

– Nawet kiedy jesz, wyglądasz ślicznie, Gigi. – Al nie podniósł głowy znad talerza.

Gigi się uśmiechnęła.

– Tim kazał mi powtarzać, żebyś przestała być taka uprzejma.

– Co takiego? – zdziwiła się Mary Frances.

– Miałaś wysłać mu swoje opowiadania. Czeka na nie, bo chce je pokazać siostrze. Twierdzi, że o tym wspominał.

Mary Frances odłożyła łyżkę.

– Kiedy?

– W liście. – Gigi rzuciła okiem na Ala. – Zostawiłam list...

– Ach, tak – wybąkał Al. – Jego list sprzed paru dni. Tak, tak pisał.

Znów wbił wzrok w miskę.

Zadzwoił telefon, Gigi wstała od stołu, żeby odebrać. Jej głos brzmiał jak muzyka dobiegająca z oddali, słychać było tylko najwyższe tony. Mary Frances nie mogła patrzeć na Ala. Wstała i zaczęła zmywać, puściła wodę do zlewu, byle tylko zapełnić ciszę.

Zastanawiała się, jak brzmiała wiadomość od Tima. List był zaadresowany do niej i Ala. Tim zakładał pewnie, że Al będzie zadowolony, dumny, podekscytowany. Zamiotła podłogę. Nie myślała o wydawcy, tylko o Timie, zależało jej wyłącznie na jego opinii, na zatrzymaniu go przy sobie choćby w niewielkiej części.

Al siedział z rękami złożonymi nad stołem. Miałaby pełne prawo domagać się od niego listu, ale od kiedy Gigi wyszła, nie odezwał się ani słowem, a Mary Frances nie chciała mącić ciszy. Ostatnio nad każdą sprawą, jaka wiązała się

z Alem, zastanawiała się dwukrotnie: jako jego żona i jako osoba zdolna uczynić to, co uczyniła. Nie była pewna, czy kiedyś to się zmieni.

Wreszcie zapytała:

– Co napisał Tim?

– Znajdę ten list. Po prostu o nim zapomniałem.

Postanowiła się z nim podroczyć.

– Nie chcę być nieuprzejma.

– Oczywiście, że nie.

Ale nie poszedł po list.

Usłyszeli, jak w holu Gigi odkłada słuchawkę. Mary Frances odwróciła się do zlewu i zanurzyła ręce w wodzie. Al wyciągnął worek ze śmieciami i poszedł wyrzucić go do kubła.

– Och, mogłam umyć naczynia – powiedziała Gigi.

– W porządku.

– Nie oczekuję, że będziesz gotowała i sprzątała.

Mary Frances się odwróciła. Gigi wpatrywała się w swoje paznokcie. Podniosła głowę i spojrzała Mary Frances prosto w oczy. Obie przestały już udawać, że ich rozmowy przebiegają bez podskórnych kalkulacji.

– Szkoda, że postanowiłaś o tym powiedzieć przy Alu – wypomniała jej Mary Frances.

Gigi uśmiechnęła się niewinnie. Miała na podorędziu niezwykłą wprost liczbę wystudiowanych min, a Mary Frances nie potrafiła okiełznać gniewu tak wystudiowanego i uszmkowanego.

– Chyba nie chcemy go wplątywać w naszą małą rozgrywkę? – powiedziała Gigi.

– Ani z tobą, ani z Timem nie prowadzę żadnej rozgrywki.

– W takim razie nie mam pojęcia, o co ci chodzi. Tam, skąd pochodzę, właśnie w taki sposób dziewczyna zdobywa rolę.

Ten moment będzie bez końca nawiedzał Mary Frances. Spróbuje opisać go z niewielkiego dystansu i z perspektywy lat, na serio i z przymrużeniem oka, ale nigdy nie uda jej się ubrać w słowa tego, co czuje teraz – stoi w pokoju oblanym benzyną, ktoś zapala zapałkę.

Nawet w tej chwili, kiedy czterdzieści lat później siedzi z siostrą Norah przy okrągłym stole w kuchni swojego Ostatniego Domu, wśród otwartych notatników i oprawionych brudnopisów, ton papieru, jakie wyprodukowała w ciągu całej swojej kariery, myśli o tym, czy nie spróbować kolejny raz. Gdzieś tutaj jest jeszcze jedna książka. Może ją znaleźć.

Jednak nie, jest za stara, by zaczynać od nowa. Sami sobie znajdą w którymś z jej tekstów. Jej umysł stał się półprzejrysty niczym koronka. Kiedy oczy nie pozwalają jej już pisać, zabiera się do czytania. Kiedy nie może już czytać, gotuje.

Myśli o pomidorach dojrzewających na parapecie, wydryluje je i zapiecze z bułką tartą, anchois i parmezanem. Mogłaby takie pomidory jeść o każdej porze dnia i nocy, teraz zaproponowałaby lunch, ale Norah nalega, by jeszcze chwilę popracowały. Siedzi na krześle naprzeciwko, jej kościste zgrubiałe palce przytrzymują grzbiety kilku książek, które zawzięcie kartkuje, okulary do czytania zsunęły jej się na koniuszek nosa. Norah, zawsze niezłomna.

Postanowiły, że nową książkę poświęcą ważnym sprawom: kamieniom probierczym, gwiazdom przewodnim, sanktuarium. Norah znowu wraca do sytuacji, jaka rozegrała się w kuchni Gigi, do grzebień z rączką z bakelitu i tamtej nagłej, otwartej konfrontacji.

– Za dużo by trzeba wyjaśniać – mówi. – Na przykład, jak do tego doszło, że zamieszkaliście we trójkę. To jednak kawał dobrej literatury, brzmi bardzo wiarygodnie. Na coś takiego byłoby cię stać.

– To prawda. Było mnie stać.

– Właśnie o tym mówię, Dote. Niewiele byś się nad tym napracowała.

Mary Frances podparła podbródek na złożonej dłoni.

– Którą wersję masz na myśli?

W notatnikach i brudnopisach zakończyła ten wieczór na wiele sposobów.

W swoim ulubionym wariacie mówi Gigi, żeby się odpiardoliła. Od niechcenia, bez namysłu, całkiem spokojnie mówi jej, żeby się odpiardoliła, zostawia pomyje w zlewie, naczynia, resztki zupy w wazie, wychodząc, w proggu ociera się o ramię Gigi. W ten sposób mówi dzisiaj, bez ogródek, nie przebierając w słowach, choć wtedy pozwalała sobie na przekleństwa wyłącznie na osobności. Och, jakże są użyteczne – odpiardol się.

W innej wersji Al wraca do kuchni, one wciąż wokół siebie krążą, gniew aż iskrzy jak palenisko pod miechem. Mary Frances patrzy na Gigi, zdobywa się na uśmiezek i rzuca przeciwniczce wyzwanie.

– Powiedz mu, co chcesz.

Albo nie mówi nic. Po prostu wychodzi, zostawia dom, a w nim wszystkie swoje rzeczy, to życie i tak się dla niej skończyło, powinna była sobie to uświadomić, przestępując próg sypialni Tima. Stała się wtedy kimś innym – dwiema osobami, tysiącem. Stała się wszystkimi wersjami siebie, o których kiedykolwiek napisze, opatrując je tym samym skrótem: M.F.K.

Tak naprawdę jednak rozmowa utknęła w martwym punkcie. Cisza w kuchni trwała tak długo, że nie dało się jej już znieść. Gigi opuściła ręce, odwróciła się i przeszła przez hol do sypialni. Mary Frances wyjrzała na taras. Al podejrzanie długo wynosił śmieci.

Wyciągnęła notes, ale nie mogła znaleźć pióra, ani w kieszeni, ani zatkniętego za dekolt bluzki, nie leżało na blacie, ani w szufladzie ze szpargałami. W holu, obok wazonu z chryzantemami, zauważyła jednak pióro Parkera

w marmurkowej oprawie. Tysiące razy widziała je w jego dłoni, kreślił nim komentarze na marginesach jej tekstów.

Sporo ważyło, a cienka stalówka, dopasowana do dłoni Tima, teraz trafiła w obce ręce, dlatego uparcie skrobała po papierze, rozrywając go raz i drugi. Mary Frances odłożyła zeszyt, a ostatnią myśl zanotowała na dłoni, niebieski atrament Tima pokrył jej skórę. Usłyszała, jak w głębi holu otwierają się drzwi, serce jej załomotało, ale natychmiast powróciło do normalnego rytmu. Co ona tu robi? Co ona najlepszego zrobiła?

Anne kłóciła się z Edith. Najpierw przyszedł list od Anne, pisała, że nie jest już dzieckiem ani żoną, że w ogóle nie słuchałaby Edith, gdyby nie to, że potrzebują z Seanem jej pieniędzy, żeby co miesiąc opłacić rachunki. A potem list od Norah – Edith z trudem wstaje z łóżka, jest skołowana, przygnębiona i przybita. Anne szła w zaparte, ale zawsze słuchała Mary Frances, prawda? Może posłucha i teraz? I jeszcze niekończące się dywagacje Norah na temat problemów, jakie nastęrcza nauka łaciny na pusty żołądek. Najwyraźniej wszyscy oczekiwali od Mary Frances interwencji.

Zadzwoiła na Ranczo, żeby ukoić nerwy matki.

– Mamo, Anne nie ma się czego wstydić.

Anne zajmowała malutkie mieszkanko w okolicy Russian Hill, w ciągu dnia zostawiała Seana z niańką, żeby sama mogła pracować jako stenografka u jakiegoś tam prezesa, a nie do takich zadań Edith wychowała swoje córki. Po co był bal debutantek w Hacienda Club, wesela, studia? Edith się rozplakała. Miała już swoje lata i była rozczarowana.

– Jeśli chcesz, przyjadę do domu – zaproponowała Mary Frances.

– Wiem, że jesteś zajęta.

– Nie aż tak. Wpadnę do was.

Al wyszedł z kuchni i obserwował Mary Frances. Nabral do ust garść orzeszków ziemnych. Nawet nie próbował ukrywać, że podsłuchuje.

– Mogłabym przyjechać do domu – powiedziała Mary Frances. – Norah twierdzi, że jesteś trochę skołowana.

Al pokręcił głową, wyłączył światło w kuchni i przeszedł przez hol do sypialni. Mary Frances obserwowała jego plecy znikające w ciemności.

Co chwila telegram. Al zaplanował weekendowy wyjazd do Palo Alto. Jego brat Herbert miał wyjść po niego na dworzec, przyjechał do domu z Chin na zwolnieniu lekarskim, złapał czerwonkę, a może tylko symulował, by się stamtąd na chwilę wyrwać. Mary Frances spakowała Alowi do walizki białe koszule, wiedząc, że jego matka i tak je rozpakuje i zauważy, jak równo są poskładane i jak bardzo znoszone. Wieczór przed jego wyjazdem ciągnął się w nieskończoność, a ona próbowała stłamsić w sobie lęk przed nadchodzącymi samotnymi dniami.

– Będę tęskniła – wyznała.

– Naprawdę? – Spojrzał na nią lekko zdziwiony. – Myślałem, że ucieszysz się z kilku dni tylko dla siebie.

– Wystarczyłoby jedno popołudnie. Pojechałabym na Ranczo. Zbyt długa samotność mi nie służy.

– Moja droga – powiedział Al, ściskając jej dłoń.

Odwrócił się do przyborów do golenia, odliczając tyle żyletek, by wystarczyły na cały wyjazd.

W salonie Gigi stawiała pasjansa.

– Gin? – zaproponowała Mary Frances.

– Należę – zaproponował Al, podchodząc do barku.

Kobiety spojrzały po sobie, a Mary Frances się zaśmiała. Chodziło jej o remika gin

– Rozdam – powiedziała i wyciągnęła rękę po talię kart.

Miała na ręku sekwens i trójkę, ale nie mogła sobie przypomnieć, co jest celem gry. W radiu pojękiwały skrzypce. Było za wcześnie na kolację, a teraz Mary Frances miała ochotę tylko pić. Jeszcze nie opróżniły szklanek, a ona już zaproponowała Gigi kolejnego drinka.

Al wstał z kanapy i odłożył gazetę, żeby zrobić im koktajle.

Gigi zasłoniła usta dłonią.

– Jestem śpiąca – oznajmiła. – Ale niedługo mam spotkanie z Doris i Nan. Idziemy do Pantages na film z Bette Davis.

Mówiła tonem siedemnastolatki obwieszczającej plany i jednocześnie pytającej rodziców o zgodę. Mniej więcej o tej godzinie wyszła dzień i dwa dni wcześniej. Złożyła wachlarz kart i uderzyła nimi o krawędź stolika. Wygrywała, Mary Frances była tego pewna. Rozsunęła palcem karty Gigi, żeby je obejrzyć.

– Remik – powiedziała Mary Frances. – Wygrałaś.

Gigi się uśmiechnęła. Z kieszeni spódnicy wyciągnęła kopertę.

– Nie czekajcie na mnie – rzuciła.

List był od Tima, wysłany z Delaware i zaadresowany tylko do Mary Frances. Przyszedł zwykłą pocztą, ale Gigi postanowiła przekazać go własnoręcznie, grając przedstawienie pełne niedomówień i dramatycznych gestów. Pokój skurczył się, jakby uciekło z niego powietrze. Mary Frances złożyła kopertę na pół.

Na kanapie Al pochylił się nad książką. Włożyła list za pasek spódnicy i przeszła za Alem na korytarz. Zatrzymała się. Tam, w jego książce, jej twarz – portret wykonany na zlecenie ojca w jej szesnaste urodziny.

– Och, Al – powiedziała. – Tylko nie to. Gdzie to znalazłeś?

Nie odpowiedział.

– Byłaś prześliczna. Oczywiście nadal jesteś. Tylko wtedy jeszcze o tym nie wiedziałaś.

- Byłam dzieckiem.
- Cóż. To akurat się zmieniło.

Nie odrywał wzroku od książki, jakby prowadzili tylko nudną, salonową konwersację. Na moment położyła dłonie na oparciu kanapy, jej paznokcie wpiły się w obicie z grubej, szorstkiej tkaniny.

Żałował, że zobaczyła u niego ten portret, ale prędzej czy później i tak by się to stało. Przeniósł go z tomiku Keatsa do zbioru wierszy Milтона, czasem bezwiednie wpatrywał się w pasmo loczków na jej czole, z taką otwartością patrzyła w obiektyw. Chciał, by ktoś i na niego tak spojrział. Może kiedyś zresztą mu się to przydarzyło. Nie potrafił sobie tego jednak przypomnieć.

Od tak dawna błąkał się po domach należących do obcych osób. Jako dziecko, potem jako mężczyzna i mąż. Internaty, Ranczo, domek letniskowy w Lagunie. A teraz ta willa. Tkwił w układzie, którego idiotyzm coraz bardziej go mierzył. W głębi holu kobiety otwierały i zamykały drzwi, odkręcały kran, przesuwały wieszaki w szafie. Siedział nieruchomo, wyobrażając sobie, co robią. Jakie znaczenie miało to, czy dobrze sprawuje nad nimi pieczę?

Zawsze lubił Gigi, ale nie był w stanie jej wybaczyć tego, co zrobiła Timowi. Wcale nie szła do Pantages z koleżanką o imieniu Doris i nawet nie dbała o to, czy Al uwierzy w jej kłamstwo. Z naturalną wręcz swobodą opuszczała ten dom. Jeszcze raz spojrział na portret, zastanawiając się, jak wyglądała szesnastoletnia Gigi. Od tamtej pory nie minęło dużo czasu.

Miarowym krokiem wyszła z holu, sprawdziła, czy palą się boczne światła przy frontowych drzwiach i dopiła martini. Zagrała na fortepianie kilka akordów piosenki, nucąc wysokim głosem.

- Co to za rola? – zapytał Al.

Gigi oparła dłonie na kolanach.

- Nie sądzę, bym ją dostała.

Al nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie wypadało mu dodawać jej otuchy, a poza tym nie miał pojęcia, na jakich zasadach rozdawane są role. Nagle poczuł dojmujący smutek. Wrócił do otwartego zbioru wierszy Milтона.

- Nie skończyłeś jeszcze zajęć? – spytała Gigi.

- Czytam dla przyjemności.

– Oczywiście. Timmy też tak mawiał. Gdybym mogła grać sama dla siebie, przestałabym chodzić na te przekłete zdjęcia próbne.

Mówiła o Timie z taką swobodą, jakby umarł wiele lat wcześniej albo zaginął na morzu, jakby jego zniknięcie było tragedią, z którą musiała się pogodzić, a nie wydarzeniem sprowokowanym wyłącznie przez nią samą.

- Praca uprzykrza życie. – Usłyszał lodowaty ton swojego głosu.

Gigi westchnęła i odwróciła wzrok. Jej profil był tak subtelny, posągowy – uniesiony w górę podbródek, ukośna linia nosa. Wrócił do Milтона, licząc na to, że

Gigi sobie wreszcie pójdzie.

– Śliczna piosenka – dodała. – Śpiewać można się nauczyć. – Opuściła pokrywę klawiatury. – Martwią mnie jednak moje nogi.

Stała przed nim i uniosła spódnicę, odsłaniając górną część ud i wysoki łuk pasa do pończoch nad ogolonym kroczem. Przyjrzała się sobie, odchylając się w tył na piętach, oświetliła ją lampa. Al poczuł przyływ mdłości i uniół wzrok, spoglądając jej prosto w oczy.

Na podjeździe rozległ się odgłos silnika na biegu jałowym. Na ten samochód czekała. Usłyszeli, jak Mary Frances zakręca wodę w łazience. Gigi wciąż jednak stała z zadartą spódnicą i obnażonym łonem, a Al ani drgnął. Mijały sekundy. Kierowca nacisnął klakson, Gigi się uśmiechnęła i puściła materiał.

Przysłał tylko kartkę, a nie list. Otóż kilka dni wcześniej przeczytał w czasopiśmie artykuł, który przywiódł mu ją na myśl, tekścik o piasku i morzu, jakiejś kolonii artystycznej. Znalazł „Westways” w bibliotece niedaleko domu matki. Pod jej piórem powstał znakomity esej. Powinna być z siebie dumna. Odwróciła kartkę. Jedno zdanie:

„Napisz do mnie”.

To było bardziej haiku niż zaproszenie do rozmowy. Te trzy słowa nie zawierały w sobie niczego ponad to, czego sama mogłaby się domyślić. Pofatygował się jednak do biblioteki. Przeczytał jej artykuł i zadał sobie trud, by ją o tym poinformować.

Zdjęła ubranie i weszła do wanny. Słyszała, jak Gigi wychodzi, trzaskając drzwiami, i wybiega na spotkanie temu, kto czekał na nią na podjeździe. Mary Frances zanurzyła się w wodzie, z kartką od Tima w dłoni. „Napisz do mnie”. Przecież właśnie to robiła. W głowie nieustannie układała dla niego listy o tym, co się stało i co znowu mogłoby się stać, o wszystkim, co przywodziło jej go na myśl, o jego brzytwie w szafce w łazience, o tym, jak przesuwa otwartym ostrzem po miękkich włoskach na wierzchu dłoni, jak wtula twarz w jego wypraną, suszącą się, białą koszulę, by poczuć jego zapach – chlor, mokry chodnik i trawę. Atrament rozmazał się na papierze, a to, co się z niej wyłaniało, ustąpiło miejsca kalkulacjom – ile czasu potrzebuje i jak wiele mogłaby mu dać, skoro o to poprosił, a Al zamierzał zostawić ją tu samą.

Wyjeżdżał wcześniej, ubrali się w ciemności. Al wyszeptał, że mogą wypić razem kawę na dworcu.

Dopiero kiedy zaczęli wycofywać samochód, zauważyli niebieskiego hudsona blokującego podjazd.

Al spojrzął na zegarek. Odwrócił się, rozważając, jakie ma możliwości, a potem usiadł prosto za kierownicą. Mary Frances nie wiedziała, jak zareagować. Położyła ręce na udach, jakby czekali na zielone światło.

– Nie mogę wyjechać w ten sposób – rzekł Al. – Nie zostawię cię tu samej.

Spojrzała na hudsona, jakby próbowała się upewnić, że nie zostanie sama.

– Twój pociąg, Al.

– Nie mogę.

– Kochają się, prawda? – powiedziała. – Zakochani nie widzą poza sobą świata. Przecież i tak ich nie powstrzymasz. Nikomu się to nie uda.

On wciąż wpatrywał się w kierownicę. Nagle naszło ją uczucie, że mogą tak siedzieć jeszcze przez wiele dni, a ta chwila nigdy nie minie. Poklepała Ala po ramieniu jak konia po zadzie.

– Przejeźdź przez trawnik – poradziła. – Nie możesz się spóźnić na dworzec.

Kiedy wróciła do domu, hudsona już nie było. Drzwi do pokoju Gigi stały otwarte na oścież. Na nocnym stoliku filiżanka kawy i gazeta przyniesiona z ganku. Kołdra zsunęła się z pleców Gigi, zakrywała tak niewiele, odsłaniała wysklepione żebra oraz długą i cienką bliznę w kształcie sopła, czerwoną jak landrynka, sięgającą aż do łuku biodra. Mary Frances widziała Gigi w kostiumie kąpielowym i stroju odaliski, ale wcześniej nie zauważyła tej szramy. Zastanawiała się, ile wysiłku musiało kosztować ukrywanie czegoś takiego.

Oczywiście Tim znał na pamięć ten ślad na ciele żony. Nagle czas i przestrzeń zapętlily się, Mary Frances uświadomiła sobie, że atencja, jaką obdarzył jej ciało tamtej nocy, była dla niego czymś zupełnie zwyczajnym – tak samo traktował Gigi. Mary Frances stała w drzwiach nieruchomo jak mechanizm, który się zaciął. Gdyby tak codziennie tego doświadczać. Jak można z tego zrezygnować na rzecz czegoś innego. A co, jeśli każda relacja kształtowała się wedle siebie tylko właściwych zasad, a to, co zaszło między nią i Timem, nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Zdziwiła się, że tak niewiele ją to obchodzi.

W pracowni manuskrypt Ala wciąż leżał obok maszyny do pisania, na czystych kartkach zebrała się warstewka kurzu, obrazy stały oparte o ścianę jak dzieci postawione do kąta. Przesunęła palcem po umazanych czerwieni i ochrą górnych krawędziach płócien, odchyliła jeden z obrazów, opierając go o nogę: płatanina kształtów i kolorów. Obejrzała kilka kolejnych: wszystkie jasne, niepokojące, stały odwrócone, więc niewiele widziała.

Tim nigdy nie pokazywał jej tych prac. W całym domu wisiały jego obrazy, pejzaże, portrety, studia niewielkich przedmiotów, namalowane przez jego kuzyna wizerunki małego Tima i jego siostry, które teraz można było kupić jako pocztówki, ale żaden z nich nie przypominał tych z pracowni. Wyciągnęła jedno z płócien i zawiesiła na siedmiocentymetrowym gwoździu naprzeciw stołu roboczego.

Obraz przedstawiał chyba falującą wodę oglądaną zza kotary. Oczy Mary Frances przyzwyczały się do światła, sama nie wiedziała, czy do tego w pracowni Tima czy tego w namalowanym pomieszczeniu. Dopiero po chwili dostrzegła mężczyznę o wyrazistych, ostrych rysach twarzy, z jasną plamą różu albo

czerwieni na policzku, jakby próbował zetrzeć ślad po pocałunku albo jakby ktoś go uderzył.

Usiadła na krześle, umieściła czystą kartkę w maszynie i otworzyła swój notatnik.

Lukullus przed każdym ze współbiesiadników umieszczał szklany słój z żywą rybą. Im lepsza śmierć, tym smaczniejszy posiłek.

Katarzyna Medycejska po zaślubinach przywiozła ze sobą do Francji kucharzy, a oni wprowadzili na tamtejsze stoły sorbet, krem waniliowy, profiterolki, karczochy, zupę cebulową i drób pieczony w pomarańczach. Francuzi zawdzięczają jej nie tylko gastronomię, ale i hafciarstwo, chusteczki, perfumy, kobiecą bieliznę, srebrną zastawę, szkło stołowe, a także przekonanie, że biesiadę należy pieczołowicie zaplanować. Zasadniczo nauczyła Francuzów, jak być Francuzami.

Wszystko zaczynało się gdzieś daleko. Przypomniała jej się kartka od Tima: „Napisz do mnie”. Nie pytał o Lukullusa ani o Katarzynę Medycejską. Tymczasem ona kochała swoje stare tomiszczą i to, co z nich wygrzebywała, traktowała jak swoją kotwicę – wiedza dawała jej poczucie bezpieczeństwa. Rozłożyła pootwierane notatniki na całym stole. Na jednej stronie znajdował się staroegipski przepis na pieczoną szarańczę, a na przeciwległej wspomnienie pierwszego ugotowanego przez nią dania, sosu curry, i czekolady Anne. Nawiązywała się między nimi rozmowa, na pierwszy plan wybijał się głos Mary Frances.

Dopiero kilka godzin później Gigi zapukała do drzwi pracowni.

– Jestem już spóźniona – oznajmiła. – Al wyjechał bez problemów?

Mary Frances odwróciła się na krześle. Gigi miała na sobie płaszcz w kolorze kości słoniowej, zebrany w pasie i zapinany na guziki oraz kapelusz zawadiacko nasunięty na lśniące loki. Mary Frances nieomal ją przeprosiła za swój strój – białą bluzkę, niebieską spódnicę i trzewiki. Gigi przyglądała się jednak obrazowi Tima.

– Nie wiedziałam, że go zachował. – Jej wzrok przeskakiwał po płótnie jak igła po zaciętej płycie.

– Są ich tu całe stosy.

Gigi kilkakrotnie próbowała się odezwać, ale odrzucała kolejne zdania, zanim wypowiedziały jej jej śliczne usteczka. Wreszcie popatrzyła na Mary Frances.

– Wiesz, że to jego autoportret?

Mary Frances jeszcze raz przyjrzała się płótnu.

– Miał kolekcję luster, starych, rtęciowych, popękanych, zniszczonych ze starości. Używał ich. Niekiedy musieliśmy przerywać...

– Dobrze jest czasem rzucić okiem na coś ładnego.

Gigi przyszpiliła Mary Frances wzrokiem.

– Czasem mu pomagałam, wykonywałam dla niego drobne prace –
oznajmiła. – Potrafił sprawić, że czułam się ważna.

– Pewnie wciąż tak jest.

Gigi się zaśmiała.

– Oczywiście. Nie o to mi chodziło. Chciałam tylko powiedzieć, że dobrze
znam jego metody. – Pokazała na maszynę do pisania.

Mary Frances odwróciła się i popatrzyła na zapisaną kartkę. Miała wrażenie,
że została zdemaskowana jak w trakcie gry w karty, kiedy Gigi chyłkiem
przekazała jej list od Tima niczym kontrabandę. Słuchając kroków odchodzącej
Gigi, poczuła się jak ryba krążąca w słoju.

Pod nieobecność męża Mary Frances odkryła kilka plusów samotnego życia.
Lubiła gotować dla siebie, komponować posiłek z elementów, których nigdy nie
włączyłaby do głównego dania – ikra aloy na grzance, jajka na miękko, seler
naciowy i serca palm z półpłynnym, żółtym majonezem, kieliszek wina, na
kolanach otwarta książka i włączone radio. Stawiała na prostotę: masło, sól, gruby
talerz z białej porcelany, delikatne szkło, ledwie słyszalna muzyka, dotyk papieru
w dłoni, świadomość, że jest więcej, zawsze więcej książek do przeczytania, więcej
wina, gdyby tylko zechciała, w lodówce schłodzone owoce, gdyby znowu
zgłodniała, tyle czasu, by sobie dogadzać.

Pisała. Zaraz po przebudzeniu natychmiast siadała przed maszyną
z notatnikiem na kolanach, zapalonym papierosem, którym ani razu się nie
zaciągała, i stygnącą w filizance kawą. Układała zdania, myjąc naczynia po
śniadaniu, zamiatając kuchenną podłogę, rozwieszając pranie, kiedy wyciągała
produkty z lodówki i owijała je mokrą gazetą, żeby zachowały niską temperaturę,
podczas gdy woda skapywała z zamrażalnika do wiaderka ustawionego po
wewnętrznej stronie drzwi. Tworzyła głównie wtedy, kiedy nie pisała, na pozór
robiąc coś innego, a potem w pracowni Tima siedziała przy maszynie do późnej
nocy, by móc wysłać mu kolejny maszynopis, by podtrzymać ich rozmowę.

Nie wchodziła Gigi w drogę. Odwiedzały ją przyjaciółki, chórzystki
i aktorki, wszystkie w jej wieku, smukłe jak pejcz, z włosami we wszystkich
możliwych odcieniach blond. Podawały sobie zalotki, szminki, zwężane w talii,
wyszywane koralikami sukienki, rozkładały ubrania w salonie, jakby to była ich
garderoba: któraś szła na randkę i potrzebowała swetra, spódnicy i pary pończoch
bez dziur, zdjęła je z siebie inna dziewczyna, jakby wszystkie nosiły ten sam
rozmiar. Mary Frances krzątała się w kuchni, podsłuchując ich rozmowy.

Nie zamykały im się usta, nie szczędziły sobie docinków i niedomówień.
Z tym reżyserem pracowało się łatwo, a z tym trudno, kodeks Haysa uśmierci je
wszystkie. Z jego powodu cenzurowano scenariusze: objęcia trwały za długo,
biodra kołysały się za mocno, biada tej nierządnicy, która nie zapaliła diabłu
ogarka, w każdej chwili mogło się okazać, że film, w którym miały zagrać, przejął

ktoś, kogo interesowały tylko niewinne sceny. Jedna z dziewczyn, Nan, martwiła się, co to będzie, jak zakażą całowania.

– Przynajmniej nie takiego jak kiedyś. Takiego całowania, po którym można liczyć na randkę.

– Skończyły się dobre czasy dla niedobrych dziewczyn. – Doris, z lubością oddająca się czarnowidztwu, mówiła głosem przepalonym od whisky. – Zemsta odejdzie do lamusa. Wyobraźcie to sobie. Jak można opowiedzieć historię bez zemsty?

– Takie czasy, Doris – skwitowała Gigi. – Moim zdaniem zemsta jest staroświecka.

– To część ludzkiej natury.

– A co nie jest jej częścią? – Zaśmiały się.

Tim miał rację. One uwielbiały skandale. Która była za gruba, a która za chuda, jak to świadczyło o ich nawykach i co by się stało, gdyby wytwórnia się dowiedziała. Kiedy już raz poruszyły jakiś temat, na zawsze pozostawał otwarty. Nan miała romans z kimś sławnym. Nazywały go Królem, szepcząc i chichocząc. Wszystkie myślały, że Tim wyjechał z miasta.

Niedługo potem Gloria dowiedziała się, że Fisherowie przeprowadzili się do Laurel Canyon.

Pewnego razu przysłała późnym popołudniem prosto z planu zdjęciowego, w koronkowej sukni z odsłoniętymi plecami i dołem w kształcie rybiego ogona, który włókł się po posadzce. Wyglądała oszałamiająco. Jedna z dziewczyn w salonie westchnęła, kiedy Mary Frances otworzyła drzwi.

Gloria chwyciła Mary Frances za ręce i ucałowała ją w oba policzki. W ciemnym filmowym makijażu jej rysy były wyraziste jak nigdy wcześniej.

– Chciałabym, żebyś się do mnie wprowadziła – wyjęczała. – Co mam zrobić? Uwieść Ala?

– Al pojechał odwiedzić ojca w Palo Alto. – Mary Frances wsunęła dłoń pod jej ramię i skierowała ją do salonu.

– Same dziewczyny? – Gloria posłała promienny uśmiech przez ramię, a z Gigi nagle uszło powietrze.

Aktoreczki poderwały się, kiedy weszła. Rozsiadła się na dwuosobowej kanapie, dół sukienki się rozpostarł. Wyjęła papierosa z pudełka na stole. Czekala, aż któraś poda jej ogień. Wreszcie Nan zaczęła grzebać w torebce.

– Może kawy? – zaproponowała Mary Frances. – Właśnie zamierzałam zaparzyć. Kawy?

Gloria już nabrała podejrzeń. Jej wyobraźnia poruszała się w tylko jednym kierunku, wydeptaną ścieżką w dobrze jej znanej okolicy. Kiedy Mary Frances wróciła z kuchni, Gloria maglowała Gigi, a Doris i Nan spijały słowa z ich ust.

– Pojechał do domu do Delaware bez ciebie? – wypytywała. – Pracujesz?

Nigdy wcześniej nie pracowałaś przez tak długi czas.

– Al potraktował mnie tak samo – poskarżyła się Mary Frances. – W zeszłym tygodniu sam pojechał pociągiem na północ, stwierdziwszy, że mogę dotrzymać Gigi towarzystwa.

– Toż to istna epidemia!

– Nie zdziwiłabym się, gdyby wspólnie to zaplanowali. Al ani razu się nie odezwał, ale Tim i Gigi rozmawiają codziennie. Nigdy nie widziałam tak zakochanego mężczyzny.

– Oni są uroczy – zaszczebiotała Gloria.

– Och, powiedziałabym więcej. – Mary Frances spojrzała na Gigi, której twarz nad filiżanką się zaczerwieniła. – Jestem zazdrosna.

– A która z nas nie jest – powiedziała Gloria. – Słyszałam, że wczoraj ochrona wywlekła czyjąś żonę z House of Francis.

Nan spojrzała na nią nerwowo.

– Czyją żonę?

I już przeskoczyły na inne tematy: falowane włosy, jak zrzucić trzy kilo w trzy dni, jakaś kobieta w centrum szyje takie gorsety, które idealnie modelują figurę. Gigi się uśmiechnęła, rozchichotała i skomplementowała Glorię, a kiedy Mary Frances wyszła do kuchni z dzbankiem do kawy, ruszyła za nią.

– Ta Gloria – zaczęła. – Nigdy bym...

– Przyjaźnię się z Glorią od dawien dawna – przerwała jej Mary Frances.

Nagle Gigi zrobiła się taka malutka i słaba, makijaż nie zakrył do końca cieni pod jej oczami. Każdy prowadził jedno życie na zewnątrz, a drugie w środku, w ukryciu.

– Przepraszam – wyszeptała Gigi.

Mary Frances przemknęło przez myśl, że ich konflikt został zażegnany, a długi wyrównane.

– Ja też przepraszam – powiedziała.

– Pokaż mi, jak to się robi. Nawet ja potrafię się nauczyć, jak się parzy kawę.

Mary Frances odmierzyła ziarenka do młynka i zaczęła obracać korbką. Gigi napełniła dzbanek. Najwyraźniej obie nie miały ochoty na powrót do salonu, gdzie perlisty śmiech Glorii nadawał ton reszcie towarzystwa.

Mary Frances wysłała Timowi artykuł o Katarzynie Medycejskiej i czekała. Już nie udawała, że wie, co robi. Jej rozsądek ulatniał się z każdą kolejną wiadomością. Listonosz przychodził rano i wracał w niemal każde popołudnie. Znała na pamięć jego rozkład dnia, jeszcze nie zamknęły się za nim drzwi, a ona już przeglądała koperty. Chciała natychmiast dzielić się z Timem każdą myślą, tymczasem mijał tydzień, a nawet dziesięć dni, zanim mogła otrzymać odpowiedź na swój list, a jej nie pozostało nic innego, jak wyobrazić sobie kolejne możliwe wersje tego, co mógłby jej odpisać.

„Pięknie piszesz, Mary Frances, twoje teksty rezonują we mnie jeszcze długo po tym, jak odkładałam je na bok. Założyłam niewielki warzywnik w inspekcje i rano się nim zajmowałam. Sadzonki są jeszcze bardzo wątłe, ale późną wiosną powinienem mieć już sałatę, groszek i kilka rzodkiewek. Cały czas myślałam o twoim artykule, o tym, że był we Francji taki czas, kiedy dla kobiety takim samym komplementem jak bukiet róż był bukiet sałat. Przeczytałem twój tekst drugi raz i wydaje mi się, że mogłabyś”...

Dołączony był jej artykuł z wyważonymi i precyzyjnymi komentarzami Tima, naniesionymi niebieskim atramentem i świadczącymi o tym, ile czasu i uwagi jej poświęcił. Przeczytał drugi raz – pomyślała. Na końcu listu dziękował jej za przysłanie eseju i prosił o więcej, na Boga, więcej.

Zastała Gigi na tarasie. Opałała się. Miała na sobie turkusowy przewiązany w taliu szlafrok z organzy spływający na kamienną posadzkę i wyglądała jak istota, której przetrącono skrzydła. Na oczach położyła plasterki ogórka. Mary Frances zapytała, czy przynieść jej drinka.

– Jak miło, że pytasz – odparła. – Jestem zmęczona. Siedziałam do późna z Nan. Jak się okazuje, zupełnie niespodziewanie przenosi się do San Francisco.

– Kręci tam film?

– Dziewięćmiesięczne zdjęcia. Tak bym to ujęła.

– Och.

Gigi, nie podnosząc głowy z oparcia, przechyliła się na bok, łapiąc plasterki ogórka w otwartą dłoń. Spojrzała na Mary Frances spod bardzo długich rzęs.

– To katoliczka. A on jest żonaty, być może z dwiema kobietami, trudno powiedzieć. Tak naprawdę Nan to szczęściara. Ochrona interweniuje tylko wtedy, gdy wytwórnia uważa dziewczynę za wartościowy nabytek. W przeciwnym razie sama musi zatroszczyć się o swoje sprawy.

Dziewczyny z wytwórni były bardzo zaradne. Wiedziały, gdzie i jak załatwić pewne sprawy, nie zawsze mogły liczyć na ochronę i wtedy musiały pomagać sobie nawzajem, zbierać pieniądze, szukać mieszkania albo zdobyć nazwisko lekarza z innego miasta. To były wąskie kręgi. Z kilkunastu ślicznych długonogich dziewczyn o pięknych głosach tylko jedna zostawała gwiazdą, jak Jean Harlow albo Joan Crawford, a reszta kończyła jak Nan. Więc kiedy już ktoś wybrał którąś z nich, wziął ją na bok i powiedział, że jest śliczniejsza, ma dłuższe nogi i większy talent niż reszta, to trudno było nie połączyć tej przynęty.

Mary Frances myślała o liście od Tima, który nazwał ją piękną pisarką. Łatwo się przesyła takie słowa z drugiego końca kraju. Łatwo je wypowiadać, łatwo się je pisze.

– Moim zdaniem Tim nie byłby dobrym ojcem – powiedziała Gigi. – Rozmawiamy o takich sprawach z dziewczynami w pociągach, późną nocą, dzieląc się problemami. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek założyli rodzinę. A już na pewno

jestem wdzięczna losowi, że teraz jej nie mam.

– To dlatego od niego odeszłaś? Chcesz mieć dzieci?

Gigi się zawahała, choć próbowała to ukryć. Mary Frances widziała, jak dziewczyna nakłada maskę powagi, ukrywa twarz pod kolejną zasłoną.

– Niełatwo było mi podjąć decyzję o odejściu od Dillwyna – oznajmiła.

Nigdy nie nazywała go tym imieniem. Mary Frances przycisnęła palce do skroni, a Gigi ciągnęła:

– John był chyba zdziwiony, że to zrobiłam. Oczywiście chcieliśmy być razem, ale wydawało nam się to niewykonalne. Póki nie stało się możliwe.

Gloria była taka sama: co w sercu, to na języku, ani krzty instynktu samozachowawczego. Pewnie dlatego kamera kochała takie kobiety. Zawsze znają kolejną kwestię i potrafią ją odpowiednio wygłosić.

– Trudno to zrozumieć, jeśli się tego nie przeżyło – dodała Gigi.

„Wciąż – pisał Tim – wciąż kocham te chwile, kiedy się odsłaniasz. Uwielbiam dowiadywać się, czego oczekujesz od współbiedniaka, od kuchni, drewnianych łyżek i miedzianych garnków. (W domu zostawiłem piękny komplet, pewnie teraz śniedzieje. Proszę, zrób z nich dobry użytek, weź je. Są twoje). Stanowisz centrum tych historii. Wszystko, co ciebie dotyczy, twoja inteligencja i entuzjazm, twoja zmysłowość, pięknie ukształtowany łuk brwi rysują się wyraźnie na kartach twoich tekstów. Gdybym teraz zamknął oczy, zobaczyłbym ciebie”.

W szafkach znalazła garnki, francuskie, z grubym dnem i warstwą patyny świadcząca o tym, że ich nie używano. Wyszorowała je cytryną zanurzoną w soli, wypolerowała parafiną i ustawiła na kuchni: garnek z pokrywką, patelnia i rondel. Zachowa je na resztę życia.

W Ostatnim Domu tylko ich potrzebuje. Odwiedzają ją ludzie z gazet, reporterzy z czasopism, wkrótce zjawi się ktoś z biblioteki na Harvardzie po kartony z jej papierami, co jest trochę dziwne, bo przecież jeszcze nie umarła, ale chętnie pozbędzie się tego kramu. Przychodzą, oczekując, że zjedzą z nią posiłek, chcą zakosztować przyjemności, jakie opisuje od pięćdziesięciu lat. W zeszłym roku przyrządziła prawie trzysta dań dla gości rozmaitych profesji. Za namową Norah prowadzi rejestr dla poborcy podatkowego. Każdy czeka na smakowity kąsek.

Norah pojechała na weekend do domu. Spodziewała się kolejnego wnuka. Członków jej rodziny wciąż przybywało, a ona miała przez to ręce pełne roboty. Mary Frances mogła równie dobrze sama podejmować gości. Zresztą ostatnimi czasy znacznie bardziej odpowiadały jej kameralne spotkania. Nie starcza jej sił, by swoje dawne życie dostosowywać do oczekiwań odwiedzających. Teraz pozwala im wykonywać całą czarną robotę. Od niej wymagają tylko uniesienia brwi, francuskich przekleństw i porządnego, pożywnego posiłku.

Na głębokiej patelni udusiła bakłażana, pomidory, cebulę i żółtą cukinię, przyrządziła coś w rodzaju ratatouille, tielli, samfainy, pisto, co kraj, to inne określenie, już dawno przestała dbać o właściwe nazewnictwo. Ugotowała potrawkę, a na deser poda dojrzałe brzoskwinie z bitą śmietaną. Ma kilka butelek wina do wyboru. Nie wie, kiedy zjawi się bibliotekarz. Rudy kot ociera się o jej kostki, też jest głodny. Nalewa mu śmietany na spodeczek, wychodzi na balkon z widokiem na góry i z lampką wermutu siada w wiklinowym fotelu z rozłożystym oparciem. Wkrótce nadejdzie noc. Skóra Mary Frances jest zbyt cienka na takie chłody. Na razie jednak popatrzy sobie na winnice. Gęsty aromat duszonych warzyw wydobywa się z kuchni, a ona zadowolona czeka.

Mary Frances ledwie poznała Ala, kiedy wysiadł z pociągu. Podróż i smutek odciskają się na człowieku piętnem. Przeraziła ją jego poszarzała, niewyraźna twarz. W jego ubranie wbił się zapach domu matki.

Pocałował ją oschle w policzek.

– Długo czekałaś?

Pokręciła głową. Przeciskając się przez napierający tłum, dotarli do samochodu. Wokół stali ludzie, wyciągając ręce. Pozwolił jej prowadzić, odchylił głowę na oparcie fotela. Wyglądał tak, jakby w największym skupieniu próbował utrzymać coś w równowadze i nie wystarczyło mu już sił na rozmowę, odpowiadanie na jej pytania i robienie dobrej miny do złej gry. Mary Frances z trudem to wytrzymała. Po tak długiej rozłące odbierała jego milczenie jako kolejny zarzut.

– Jak sobie radzi twoja mama? – zapytała. Wydawało jej się, że Al jej nie usłyszał, więc powtórzyła pytanie.

– Wczoraj wieczorem zastałem ją przy zlewie w pralni. Szorowała pościel ojca. Oparła głowę o półkę z przetworami nad kranem i spała w najlepsze.

– Och, Al.

Mary Frances chwyciła go za rękę. Pomyślała o Rexie, o jego brudnych od atramentu palcach rozdzielających cząstki pomarańczy, jego chropawym śmiechu wypełniającym cały gabinet. Ojciec, mocno stąpający po ziemi, był dla niej bezpieczną przystanią, podczas gdy Edith z byle powodu wpadała w panikę. Poczuli, jak poci jej się dłoń i wysunęła ją z ręki Ala.

Zawiozła go do domu w Laurel Canyon. Poszedł do sypialni i położył się na przykrytym narzutą łóżku w płaszczu i butach. Stała przy nim, bezwiednie ściskając fałdy spódnicy.

– Przynieść ci coś? – zapytała.

– Jestem zbyt zmęczony. To była długa podróż.

– Szklankę soku? Filiżankę herbaty.

– Nie, dziękuję.

Tkwiała przy łóżku, a on nie miał pojęcia, czego ona od niego chce.

Ojciec Ala był już w tak złym stanie, że śmierć wydawała się błogosławieństwem. Spał z otwartymi ustami, budził się tylko na chwilę, a wtedy wpadał w przerażenie i sytuacja robiła się jeszcze trudniejsza. Przez tyle lat to on dodawał otuchy innym, wygłaszał kazania o krainach mlekiem i miodem płynących, a teraz w jego bladej twarzy i pustych, półprzymkniętych oczach na stałe zamieszkał lęk. Bał się, bo nie wiedział, co się stanie. A jeśli ojciec Ala tego nie wiedział, to kto miał wiedzieć.

W całym domu unosiła się woń zgnilizny i strachu, pewnie zagnieździła się tam na zawsze. Matka snuła się po pokojach. Spała na stojąco. Po odjeździe Ala jeszcze tego samego popołudnia Herbert wsiadł na statek do Chin. Pozostało im tylko czekać na nieuniknione.

Kiedy Al się obudził, Mary Frances siedziała na skraju łóżka, rzucając na niego cień.. Na zewnątrz zapadał zmrok.

– Och. – Poderwał się. – Która godzina?

Wyjrzała przez okno, jakby i ona właśnie zdała sobie sprawę, ile minęło czasu.

– Jeszcze nie tak późno – uspokoiła go. – Możemy zjeść kolację.

Al wyobraził sobie, jak siedzą naprzeciw siebie przy dużym stole w jadalni, przed nimi jakieś wykwintne, choć proste danie i kieliszki pełne wina, do tego muzyka: przeciwieństwo jego domu rodzinnego. Ona na pewno zacznie wypytywać. Przypomniał sobie, jak się czuł, kiedy pod koniec dnia wychodził ze swojego gabinetu, z trudem przemierzał drogę powrotną do niej. Teraz ten ciężar zdawał mu się dziesięciokrotnie większy.

– Chodźmy do kina, dobrze? Kupimy sobie cukierki i będziemy się śmiać.

Przez jej twarz też przemknął wyraz ulgi.

– Bracia Marx?

Ale *Nocy w operze* nie grano w pobliżu, dlatego zawędrowali na film, o którym nic nie wiedzieli. Młodą kobietę z idyllicznej, pełnej stokrotek rodzinnej miejscowości porwał do wielkiego miasta przystojny, zamożny dobroczyńca. Z czasem się w sobie zakochali, co ona okazała, kładąc dłoń na jego piersi i śpiewając. Mnóstwo piosenek, kilka gagów z terierem wabiącym się Milo i bardzo szczęśliwe zakończenie. Mary Frances rzuciła okiem na Ala, który odchylił głowę na oparcie fotela, a w poświacie z ekranu jego profil nabrał wyrazistości. Śmiał się w odpowiednich momentach, a resztą zajęła się ciemność.

Niedzielne popołudnie, Gigi zniknęła na cały weekend. Mary Frances pracowała w ogródku, za jej plecami Al na tarasie przerzucał strony gazety. Od kiedy wyszli przed dom, zdążył przeczytać pierwszą stronę i połowę lokalnych wiadomości. W tym czasie przy jej kolanie nabierał się okazały pęk liści irysów. Al tak naprawdę nie czytał. Odmierzał tylko czas, słuchając, jak gazeta targana wiatrem raz po raz uderza o jego ciało.

– Al – zwróciła się do niego Mary Frances. – Możesz to zabrać? – Jej kosz był pełen obciętych gałązek i liści.

– Kolejny sposób na spłatę naszych zobowiązań?

– Lubię to.

Lubiła wszystko. Za rogiem domu opróżnił kosz, a gdzieś w oddali zamajaczył długi, błękitny hudson. Podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć Gigi i jej kaskaderowi. Ona stała przy drzwiach jego samochodu z jasną dłonią na szyi, nagle wydało mu się to czystą pornografią, to, że wciąż tu tkwiła, w swoim dawnym życiu, w tym domu, z nim i Mary Frances, a oni musieli na to patrzeć, najwyraźniej desperacja kazała jej tam stać i się tak gapić.

Zrób to – pomyślał Al – błagam, zrób to, pocałuj ją, zrób coś. Tymczasem oni przez dobre kilka minut tylko na siebie patrzyli.

Gdyby wszyscy to zobaczyli, to czy on i Mary Frances mogliby już wrócić do domu?

Poszedł na taras. Mary Frances wciąż klęczała przy rabatce. Potrafiła tak trwać całymi godzinami.

– Gigi już tu jest – powiedział, a ona poderwała głowę spłoszona. Wytarła ręce w spódnice, zostawiając na niej ledwie widoczne zielone smugi.

– Ugotuję coś – zaproponowała Mary Frances. – Przyprowadziła przyjaciela?

Al nie był sobą, chciał sprowokować awanturę, a może jej zapobiec, dlatego różnym krokiem obszedł dom i z drugiego końca podwórka zawołał:

– Gigi, moja droga. Zaproś swojego przyjaciela na kolację.

John Weld okazał się sympatycznym człowiekiem. Wysoki, opalony, wygrywał w zawodach pływackich, kiedy mieszkał w Kansas City. Miał białe proste zęby. Pochodził z dziennikarskiej rodziny, po wojnie pracował w Paryżu, pisał scenariusze i powieści. Mary Frances i Al mieli z nim mnóstwo wspólnych tematów.

A jednak nie rozmawiali. John Weld założył nogę na nogę, Al pobrzękiwał drobnymi w kieszeni, a Gigi się uśmiechała, nieomal duszkiem pijąc wermut. To nie przez Johna Welda wpakowali się w tę kabałę. Byli dorośli i samodzielnie podejmowali decyzje. A jednak się tu zjawił, emanując siłą. Mógł być o połowę młodszy od Tima.

– Masz prześliczny dom, Gigi – powiedział wreszcie.

Al przystanął.

– Jeszcze go nie obejrzałeś.

– Jeszcze nie.

– W takim razie pozwól, że przedstawię ci jego historię. Interesujesz się architekturą?

Dom miał najwyżej pięć lat i tak naprawdę architektonicznie nie wyróżniał

się na tle sąsiednich budynków, lecz Al zaczął od historii zasiedlania Laurel Canyon, a potem wspomniał o Wonderland Park i dawnej linii trolejbusowej. Prowadził wykład. Kazał Johnowi Weldowi stać przy drzwiach prowadzących na taras i patrzeć na ogród, skąd okolicę było widać jak na dłoni. Gigi, znudzona, a może zrozpaczona, wpatrywała się w wiszący nad fortepianem portret przedstawiający Tima i jego siostrę.

– John nie chce chyba kupić tego domu, Al – wtrąciła się Mary Frances.

– Wszystko można kupić, to tylko kwestia ceny. Prawda, John?

Mary Frances przeprosiła i wyszła do kuchni.

Kolacja dla dwojga zamieniła się w kolację dla czworga. Wyciągnęła królika z marynaty, rozgrzała kawałek słoniny na miedzianej patelni Tima. Zatkaną zlew, żeby napęlić go wodą. Po chwili zjawił się Al.

– Tylko żartowałam. – Mówiła cicho i bez emocji, nie patrzyła na niego ani się nie zaśmiała. – Co w ciebie wstąpiło?

– Nie wiem. – Potarł twarz dłońmi, wbijając wzrok w podłogę. – Byłem wściekły. Chciałem ją zawstydzić.

– Ona nie jest zawstydzona, Al. Co ty wygadujesz?

Nie odpowiedział.

Mary Frances odwróciła się do kuchenki. Prędzej utopiłby rybę, niż zawstydził Gigi. Słyszając jej śmiech dochodzący z pokoju, grzechotanie lodu w szklankach i ściszoną rozmowę, Mary Frances uświadomiła sobie, jak dawno nie była na eleganckiej kolacji. Zateśniła już za gwarnymi, wieczornymi spotkaniami.

Zwiększyła ogień pod królikiem i dodała brandy, sobie też naląła szklaneczkę. Trochę bulionu, przyprawy. Przykryła garnek, żeby mięso się dusiło, i wróciła do salonu.

Gigi i John siedzieli blisko siebie na dwuosobowej sofie obitej szorstką tkaniną, w gramofonie zacięła się płyta.

Mary Frances wzięła swój koktajl, czując, że opuszcza ją determinacja.

– Gdzie Al? – zapytała.

Al się położył. Chciał tylko dać odpocząć oczom, słabe popołudniowe światło już płowiało, zaczął myśleć o ostatniej rozmowie z ojcem, która odbyła się w pogrążonej w półmroku sypialni, na plebanii w Palo Alto. Chciał usłyszeć coś głębokiego, ale leki przeciwbólowe wysuszają usta i otępiają. Mówienie przychodziło ojcu z trudem, nie mógł utrzymać głowy w jednej pozycji, w dusznym pokoju unosiła się woń stęchlizny, a krawędź łóżka zapadła się pod ciężarem ciała Ala. Wreszcie ręka chorego podniosła się z prześcieradła w jego kierunku, jakby do błogosławieństwa. Zanim Al wyszedł, usłyszał prośbę o szklankę wody.

W drugim pokoju Mary Frances brylowała, opowiadając jedną ze swoich historyjek. Słyszał tylko galop niezrozumiałych słów. Życzeniem ojca było, by

ożenił się z jedną z sióstr Lassiter z jego parafii, Alice czy Annie, dziewczyną o aksamitnej cerze i zaokrąglonych ramionach, która nigdy nie skończyła szkoły, nigdy nie wyjechała z Kalifornii i przed spotkaniem z Alem nie miała chłopaka.

Nie żałował, że ożenił się z Mary Frances. Niemniej jednak teraz wypełniał go żal, wciągał go niczym silny nurt i nie było sensu z nim walczyć, mógł tylko dać mu się ponieść.

– Co ty wyprawiasz? – Mary Frances stanęła przed łóżkiem. – Al?

– Jestem zmęczony, Mary Frances.

– Nie możesz ot tak sobie wyjść. Kolacja prawie gotowa, za chwilę usiądziemy i niby co im powiem?

Nie otworzył oczu, tylko przewrócił się na bok i przytulił do poduszki. Mary Frances wciąż do niego mówiła, podnosząc głos, ale to nie miało już znaczenia. Nie zamierzał wstać. Nie zamierzał stąd wychodzić, a ona nie mogła go zastraszyć. Miał czyste sumienie. Pozwolił, by sen uprowadził go daleko stąd.

W salonie Mary Frances usiadła na taborecie przy fortepianie i ułożyła kartki na pulpicie, ale zamiast grać, zaczęła cicho czytać. Kiedy tylko zauważyła, że da się wyciąć wers z akapitu, słowo z wersu, uprościć gramatykę, podać bardziej klarowny przykład, stawiała znaczek i wracała do czytania. Wkrótce strony pokryły się dopiskami, a ona mogłaby recytować tekst z pamięci. Przestała rozumieć jego sens, wsłuchiwała się tylko w rytm słów, póki całkowicie go nie wygładziła.

Weszła do pracowni Tima. Wyglądało na to, że Al od powrotu jeszcze tam nie zawitał, a tego dnia przez całe popołudnie udzielał korepetycji. Włożyła czystą kartkę do maszyny i zaczęła pisać. Nie zamierzała się kryć z tym, co robi, ale nie miała najmniejszej ochoty na kolejną dyskusję na temat ich wzajemnych powinności.

Drzwi frontowe otworzyły się i zamknęły. Zostały jej do zapisania trzy strony i zaczęła uderzać w klawisze tak szybko, jak tylko potrafiła, jakby mogło to cokolwiek zmienić.

– Co robisz? – zapytał Al.

Wstała i zebrała kartki. Zachowywała się, jakby przyłapał ją na przestępstwie, ale nie potrafiła nad sobą zapanować. Al przeszedł przez pokój i stanął przed swoim manuskrypcem, który leżał ułożony w równy stos obok maszyny, od momentu gdy się tu wprowadzili.

– Przepraszam – powiedziała. – Musiałam coś napisać.

– Nie chcę, żebyś to czytała, Mary Frances.

– Nie czytałam. Nie zrobiłabym tego.

Kierował słowa w przestrzeń, a może do siebie.

– Oczywiście, że nie, moja droga. Nie powinienem był go tak zostawiać. Nie można go czytać. Nikt nie może.

– Przepraszam – powiedziała.

Nic nie odpowiedział, rozglądając się w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby schować maszynopis. Po raz tysięczny od powrotu Ala z Palo Alto Mary Frances zauważyła, jak wyczerpany jest jej mąż, jakby coś w jego wnętrzu przygasało. Powinna postępować z nim ostrożniej. Włożyła swój tekst do teczki i wyszła z pracowni, zamykając za sobą drzwi.

Al usiadł na krześle, wciąż ściskając plik stron. Zrobiło mu się nieswojo na widok Mary Frances przy jego maszynie, bo w kościach czuł, że jakaś granica została naruszona. Tak poważną pracę wykonuje się w samotności, nie pisał przecież byle dziennika z podróży czy książki kucharskiej. Musiał to jakoś wytłumaczyć Mary Frances.

Naprzeciw stołu roboczego powiesiła namalowany przez Tima obraz, w którym Al nie potrafił dostrzec żadnego sensu. Kolory były okropne, zgniłe, niegustowne. Co Mary Frances w nim widziała?

Wkręcił czystą kartkę do maszyny, zajrzał na końcową stronę manuskryptu, żeby sprawdzić, o czym wcześniej pisał, przerzucił kilka kolejnych. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem pracował nad poematem. Delikatnie opuścił głowę na klawiaturę i zamknął oczy, wyczerpany. Zapomniał powiedzieć Mary Frances o biletach na koncert, które dostał od Klemperera.

Al położył dłoń na plecach Mary Frances i poprowadził ją na miejsce. Noc i kanion górowały nad nimi, misa nieba była pełna gwiazd. Tłum już się gromadził, jego pomruk zastępował im rozmowę, a Mary Frances z ulgą przyjęła to, że nie musi się odzywać. Uśmiechnęła się, kiedy puścił jej dłoń, i oboje skierowali uwagę na podświetlony od środka, podobny do ula amfiteatr na wolnym powietrzu.

Na scenę wyszła kobieta w długiej czarnej sukni, nie spuszczać wzroku z dyrygenta. Miała jasną cerę, rude włosy i lekko odchyłała się w tył, jakby muzyka już w niej wzbierała. Nawet z tej odległości widać było jej urodę. Klemperer uniósł batutę, a orkiestra zagrała pierwsze dźwięki, lekkie niczym piórka. Rudowłosa piękność otworzyła usta i zaczęła śpiewać.

Mary Frances od dzieciństwa uwielbiała operę, a tej nocy muzyka rozpostarła się aż po same ściany kanionu, dźwięki wznosiły się i opadały, potykały, koziółkowały, a potem szybko i niespodziewanie żeglowały w dal. Jej oddech też przyspieszył. W domu często puszczała płyty, ale takich brzmień nigdy wcześniej nie słyszała.

Al nachylił się do niej i szepnął jej coś do ucha. Z trudem wytrzymała jego bliskość.

– Tak – zgodziła się z wymuszonym uśmiechem. – Pięknie.

Kiedy pierwsza aria się skończyła, Mary Frances zorientowała się, że Al gdzieś zniknął.

Może nie chodziło mu o muzykę, może powiedział coś innego. Nie słuchała go. Wzięła sweter i torebkę i wymknęła się z rzędu, a potem po topornych

schodach wyszła na parking. Postanowiła wrócić po własnych śladach i w ten sposób go znaleźć. Chyba by jej tu nie zostawił.

Na parkingu Al stał oparty o chryslera, paląc papierosa. Głos sopranistki unosił się wokół nich, jasne światła z muszli koncertowej różowiły niebo. Mary Frances nagle straciła pewność siebie.

– Al?

– Mówiłem, że zaraz wrócę.

– Wszystko w porządku?

Nic nie odpowiedział, wypuszczając nosem kłęby dymu.

– Chcesz wracać do domu?

– Do domu? – Zaśmiał się. – Gigi myśli, że wrócimy późno. Bóg raczy wiedzieć, co byśmy zastali po powrocie. Właśnie to jest takie ciekawe w życiu, które prowadzimy, droga żono. Nie możemy ot tak zmienić planów. Musimy dotrzymać warunków umowy.

Oparła się o błotnik samochodu. Al był spięty i kruchy, wiedziała, jak wiele go teraz przytłacza, ale nie potrafiła wydobyć z siebie słów „ojciec”, „praca”, „poemat” ani nawet pomyśleć o pozostałych problemach. Zbliżyła się do niego i czekała, aż on zacznie mówić.

– Czuję się jak w potrzasku – wyznał.

Orkiestra zaczęła nowy utwór, ale Mary Frances już była pewna, że nie wróci na miejsca. Zresztą jego wyznanie czekało na reakcję. Al chciał, by teraz Mary Frances coś powiedziała.

– Chodź. Jeśli jesteś gotowa, to jedźmy.

Wsiadła do samochodu, a Al odwrócił się, obserwując ją i gasząc papierosa o obcas buta. W takich chwilach potrzebował jej zadziorności, chciał, by w przeciwieństwie do niego nie liczyła się z konwenansami, zasadami i dobrymi manierami. To ona miała działać, on czuł się znakomicie, robiąc to, co wypada.

Podjazd był pusty, w domu paliły się światła. W jadalni na stole stała nietknięta kolacja, świece, serwetki ułożone w równe stożki, a pośrodku misa pełna cytrynowych róż. Dobry Boże, Gigi coś ugotowała, ale nietknięte potrawy na talerzach wyglądały tak, jakby wciąż czekały na modlitwę. Z jagnięcego kotleta, z którego sterczały cieniutkie żeberka, ubył tylko kęs, równo wykrojony nożem i widelcem, obok leżały młode ziemniaki o różowej skórce, suto oblane masłem. Mary Frances wzięła jeden i ugryzła. Kochankowie marnowali całkiem dobre jedzenie.

Zabrała talerze do kuchni, wytarła oszronioną lodówkę i zaczęła sprzątać, byle tylko nie stać beczynnie.

– Nie przejmuj się tym – powstrzymywał ją Al. – Gigi się tym zajmie. Wkrótce wróci do domu.

Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

– Pamiętasz – powiedziała Mary Frances – jak z byle okazji wychodziliśmy na kolację? Każdą miesięcznicę świętowaliśmy w Aux Trois Faisans, a co czwartek dawałeś mi prezent.

Al spojrział na nią z cierpiętniczym, melancholijnym wyrazem twarzy.

– Oczywiście.

Aux Trois Faisans była pierwszą prawdziwie francuską restauracją, którą pokochali. Tam, w Dijon, wiele lat temu, nauczyli się, co najlepiej zamawiać, jak wspólnie cieszyć się posiłkiem. Mary Frances wyciągnęła z torebki notes i pióro.

– Co robisz? – zapytał Al.

Mary Frances podniosła wzrok.

– Słucham?

– Zapisujesz to?

– Tak.

Al pokręcił głową.

– Coś takiego – obruszył się. – Jak możesz wykorzystywać takie rzeczy.

Mary Frances dokończyła myśl. Wykorzystywać to ciekawe słowo, odnosi się do narzędzi, talentu i dziwek. Chciała odpowiedzieć: Przynajmniej ja umiem zrobić z czegoś użytek, ale jego mina sprawiła, że zmilczała.

– Al, to tylko mój notes. Nie chcę zapomnieć.

– Ach – westchnął. – To ci akurat nie grozi.

W łóżku każde czytało swoją powieść, Al z ołówkiem w rękę i własnym notesem otwartym na kolanach. Mary Frances nie mogła się skupić i kątem oka przyglądała się mężowi, jego zmierzwionym, piaskowym włosom i wciąż chłopięcym rysom twarzy.

– Przykro mi, że jesteś nieszczęśliwy – powiedziała.

On mruknął coś na odczepnego, nawet nie odrywając wzroku od strony. Męczył się z jakąś przygnębiającą publikacją, a do poprzedniej linijki wracał już trzy razy. Zatrzasnął książkę. Może z czytania też powinien zrezygnować.

Nie zapoznał się jeszcze z artykułami Mary Frances. Wiedział tylko tyle, że opowiadają o gotowaniu, jedzeniu i przyjęciach i że wysłała maszynopisy Timowi. Obserwował ją, jak sprawdza pocztę, wędruje wzrokiem w stronę drzwi, zrywa się z krzesła. Najwyraźniej czekała na werdykt. Zdawał sobie też sprawę z tego, że o jego opinię by nie zabiegała.

– Al, śpisz? Pomyślałam, że jutro moglibyśmy pójść popływać w jeziorze. Chyba będzie ładna pogoda. Al?

– Tak, kochanie?

– Może jutro popływamy?

Czuł się tak, jakby wręczyła mu łyżeczkę i puszkę po kawie, każąc mu w pojedynkę wykopać zbiornik na wodę. Umościł się głębiej w łóżku, wydając przy tym ten sam dźwięk, który słyszał od ojca przez całe życie.

– Jak chcesz – odparł.

Wiatr Santa Ana smagał kanion, pędząc od pustyni jak na rączym rumaku, niosąc woń ognia i kurzu i pozostawiając za sobą ołowiane gorąco. Jego ciężar przytłaczał trzy, a czasem cztery osoby w białym domku na wzgórzach. Al pojechał do Klemperera w lustrzanych okularach znalezionych w szufladzie Tima, wrócił po kilku godzinach spalony przez słońce, z plamą potu w kształcie paproci na plecach. Na lunch jadal zupę z grzankami, szynkę z serem, od czasu do czasu Al obierał nad zlewem pomarańczę, a Mary Frances siedziała przy stole z filiżanką herbaty. Myjąc potem podłogę i ścieląc łóżka, dopasowywała zdanie do zdania, układała kolejne akapity. W miarę możliwości unikała używania maszyny do pisania, kiedy on był w domu.

Gazeta donosiła, że wiatr popycha ludzi do szalonych czynów, wywołuje agresję, podenerwowanie, bezsenność i przygnębienie. Al czytał rano na głos artykuły z pierwszej strony: mieszkanka Racine udusiła kota, ojciec rodziny przepadł jak kamień w wodę, jakąś dziewczynę pobito i wypchnięto z jadącego samochodu, inna skoczyła do morza. W kanionie po drugiej stronie jeziora wybuchł pożar. Kiedy Al wyszedł na całe popołudnie, Mary Frances miała już głowę pełną akapitów zapamiętanych tak dokładnie, że mogłaby je podyktować z pamięci.

– Pokłóciliście się? – zapytała Gigi.

Mary Frances robiła na drutach, uważnie liczyła oczka.

– Nie pokłóciliśmy się – zapewniła.

– Okej. Chodzi o to, że...

– Tak, wiem. To minie.

– Może powinnaś wzbudzić w nim zazdrość.

– Ten pomysł zawsze wydawał mi się nedorzeczny. Czy oni nie robią się zazdrośni sami z siebie?

– Ja lubię ich szturchnąć od czasu do czasu.

Gigi miała włosy gładko zaczesane do tyłu, układały się równo na karku. Wcześniej nosiła perukę – widać było pasemko kleju na jej czole, wciąż miała na twarzy lśniąca, ciemną sceniczną charakterystykę.

– Wyglądasz jak Clara Bow – powiedziała Mary Frances.

Gigi z westchnieniem usiadła przy stole.

– Dziś każdy kogoś przypomina.

– Mówisz, jakbyś miała dość.

– Te głupie reguły i zakazy przestały mnie bawić, każdy siedzi jak na szpilkach. Za dziewczynami na planie zawsze chodzi ktoś ze szlafrokiem, jakbyśmy mogły trafić za kratki nawet za to, co się dzieje w trakcie zdjęć. Zresztą mam dość bycia aktorką.

– Chyba żartujesz.

– Najwyższy czas na zmianę. Nie sądzisz?

Wcale tak nie uważała. Zawsze koła ją myśl o tym, co się już nie odstanie, co musi biec swoim torem. Poświęcili lato na ratowanie tego, na czym tak zależało Gigi – chciała zachować dobrą pozycję w wytwórni. Cała ta szamotanina psu na budę. Mary Frances zakręciło się w głowie.

– Co zrobisz? – zapytała.

– Pobierzemy się. Wyjedziemy stąd. Zmienię nazwisko.

– Wrócisz do pierwszego imienia. Katherine, prawda?

– John mówi na mnie Katy. Katy Weld.

Mary Frances ułożyła usta, by wypowiedzieć to nazwisko, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Znowu przypomniała sobie noc spędzoną z Timem, kiedy przyniósł jej szpulkę nici, żeby mogła zszyć halkę, i różową satynową poduszeczkę na igły z wyhaftowanymi inicjałami, które nie pasowały do imienia Gigi.

– Tak naprawdę ma na imię Katherine – wyjaśnił. – Brat mówił na nią Gigi. Zresztą to nie był jej rodzony brat, tylko przyrodni.

Obserwował, jak Mary Frances szybko szyje na okrętkę, siedząc na podwiniętej nodze, i tylko ciemniejąca plama między jej udami świadczyła o tym, co przed chwilą zrobili. Słońce jeszcze nie wstało, to była najdłuższa noc w jej życiu, przepełniały ją jednocześnie wdzięczność i niepokój.

– Co powiesz? – zapytał.

– Całkiem niezła ze mnie szwaczka.

– Nie o to mi chodziło.

Nie odpowiedziała, przegryzając nitkę.

– Jadę do Laguny na weekend. Od miesięcy nie widziałam oceanu. Chcesz się ze mną wybrać?

Odmówił, było mu przykro, nie mógł ruszyć się z domu, wyjął z jej dłoni poduszeczkę na igły i po raz kolejny położył Mary Frances na plecach.

Nawet teraz, po tylu miesiącach, na samą myśl o tamtej chwili powietrze otulało ją niczym peleryna. Ledwie zdążyła się otrząsnąć, już musiała wrócić tutaj i usiąść przy stole naprzeciw Gigi. Jak mogła tamtej letniej nocy pozwolić sobie na taki krok?

– Jezu – powiedziała Gigi. – Muszę wziąć prysznic.

Kiedy wstawała, podparła się na rękach, lekko odepchnęła od stołu, powoli uniosła podbródek i odchyliła głowę. Układała ciało niczym talię kart. Czuła na sobie wzrok Mary Frances. Czy potrafi zrezygnować z aktorstwa? Czy Mary Frances rzuciłaby pisanie? Chyba równie trudno przestać być czyjąś żoną? Ona z pewnością nie potrafiłaby zerwać takich więzów.

Tim przeczytał jej opowiadanie o pięćdziesięciu milionach ślimaków. „Pamiętam lato na południu Francji. Całe wybrzeże umęczone upałem, zakurzone i wypalone. Można było jedynie położyć się w zaciemnionym pokoju albo

próbować zmierzyć się z żywiołem. Pewnego popołudnia, kiedy spacerowałam na obrzeżach Hyères, by poczuć chociaż drobny ruch powietrza, zobaczyłam zbierających winogrona wieśniaków z koszami na plecach. Podpalili stos siana, a może suche źdźbła same zapaliły się od słońca, ale kiedy zbliżyłam się do tych nisko pochylonych ludzi o ogorzałej skórze, okazało się, że wyciągali z popiołu upieczone ślimaki, by zjeść je na obiad”.

Wkrótce miał wyruszyć z siostrą do Anglii. Być może stamtąd pojechaliby do Francji. Czy to przez nią ostatnio często myślał o tym kraju? Zamierzał przekazać pełen zestaw jej tekstów Claire, żeby przeczytała je w czasie podróży. „Trudniej będzie nam się komunikować na taką odległość, ale wiesz, że moje myśli bezustannie krążą wokół tego, co piszesz. Gdybyśmy tylko mogli rozmawiać tak, by nasze czaszki i palce nie stały nam na przeszkodzie”.

Wyszła na taras i wyciągnęła się na leżaku, żeby jeszcze raz przeczytać list. Zapragnęła razem z Timem iść wzdłuż drogi, skosztować obsypanych popiołem ślimaków. Jej umysłu nic nie rozpraszało. Zastanawiała się, czy zdołałaby utrzymać ten stan, gdyby stanęła z Timem twarzą w twarz.

„Moglibyśmy spędzić ten dzień w Hyères razem, popołudnie w twoich pokojach, przy zamkniętych okiennicach” – napisała. Rozluźniła bluzkę, która nagle wydała jej się za ciasna. W fantazji, którą snuła, on obserwował, jak ona wyswobadza się z ubrań. Z powodu upału pokój staje się zielony, istna dżungla, na podłodze równe pasma światła. Tylko pokój i łóżko. Powoli stworzyła ten obraz, choć jeszcze nie widziała spalonego słońcem pola ani pobocza w ogniu. „Ten obraz stanął mi przed oczami – kontynuowała – wystarczy mi te kilka słów od ciebie. Ostatnio uświadomiłam sobie, że umiem odmalować w wyobraźni wszystko, o czym piszesz, a nawet to, o czym milczysz”.

Już snuła w głowie scenariusz ich ponownego spotkania, widziała kolejne wspólne dni wypełnione pisaniem, rozmowami i bliskością. Ich życie, choć przepełnione, układało się w spójną przejrzystą całość, ogarniała je jednym spojrzeniem. Potrafiła przeżyć je całe w ciągu popołudnia, w ciągu godziny czy dwóch, w snach, w samotności. I nie pragnęła niczego więcej. Ta odrobina jej wystarczała. A może bała się sięgnąć po więcej.

Z samego rana przyszedł telegram. Rosa wciąż jeszcze układała się w arabeski na kamiennej ścieżce przed domem. W progu stanął chłopiec w czapce, z rowerem – tyle jaskrawej czerwieni. Wręczył Mary Frances atramentową kopertę, tak intensywnie wpatrując się w jej buty, że ona też im się przyjrzała. Sznurówka była postrzępiona. Trzęsły jej się ręce. Telegram. Struchlała, kiedy okazało się, że na kopercie nie widnieje jej nazwisko, tylko Ala.

Zawołała do wnętrza domu i poszła po pięciocentówkę, by dać chłopcu napiwek.

Al, widząc ją z telegramem, odwrócił się i poszedł przez hol do sypialni.

Mary Frances ruszyła za nim. Już pakował walizkę.

– Al – zwróciła się do niego. Nie przerwał jednak swojego zajęcia. – Tak mi przykro.

Położyła telegram na łóżku obok walizki, on jednak go nie otworzył, nawet go nie dotknął. Jego twarz była tak krucha, a Mary Frances poczuła zawstydzienie.

– Mam zadzwonić na dworzec?

– Nie.

– W takim razie zrobię ci coś do jedzenia.

– Jezus, Mary Frances.

– Już dobrze.

Wyszła do kuchni, zostawiając go samego. Pokroiła żytni chleb, ponacinała kiełbasę, wrzuciła ją na patelnię i rozbiła jajko, które zaskwierczało na gorącym tłuszczu. Z chleba zrobiła tosty, posmarowała je grubo musztardą od Glorii, dobrą musztardą z Dijon, Mary Frances wiedziała, że Gloria zapłaciła za nią fortunę, jakie to dziwne, że w takiej chwili właśnie to przyszło jej do głowy.

Za jej plecami zaszurało krzesło. Czowała obecność Ala, nie chciał jej, a jednocześnie jej pragnął. Stał, zapinając koszulę, wygładzając przód, jego palce automatycznie poruszały się po klatce piersiowej. Rozcięła grejpfruta i wycisnęła z niego sok do szklanki na rubinowej nóżce, naląła kawy i postawiła wszystko przed nim na stole.

– Okej – powiedziała.

Al nachylił się nad talerzem. Miał źle wyprasowany kołnierzyk, wyciągnęła rękę, by wygładzić fałdę. Ale takiego zagniecenia nie dało się rozprostować bez wody i żelazka, trzeba by od nowa zacząć prasowanie. Rozpląkała się.

– Sprawdź, o której odchodzi pociąg – zaproponowała.

– Pojedziemy samochodem – odparł.

– Oczywiście.

Otarła twarz dłonią. Nie utrzymywała bliskich kontaktów z ojcem Ala, teraz analizowała raczej swoją rozpacz, zastanawiając się, dlaczego w ogóle płacze: z powodu bólu Ala, to oczywiste, ale również dlatego, że ją od siebie odsunął, a to jednocześnie wiązało się i nie wiązało z tym, co teraz przechodził. W kuchni zrobiło się gorąco i duszno. Mary Frances wyłączyła piekarnik. Nie mieli innego wyjścia, jak tylko spakować się i ruszyć w drogę.

Na podjeździe przed domem Fisherów stał sznur samochodów, a ganek obstały kobiety w uroczystrych szarościach i granatach, te starsze miały duże doświadczenie w ostatniej posłudze, a Mary Frances przez krótką chwilę pozazdrościła im swobody i taktu. Wzdłuż podjazdu rosły hodowane przez Clarę róże, jedna z kobiet trzymała kosz i sekatorem ostrożnie odcinała jeden kwiat po drugim na wiązankę. Al skinieniem przywitał ją i pozostałych czekających przed domem, a do Mary Frances dotarło, że on jest u siebie w domu. Tu był synem

przewielebnego, a teraz jako syn przewielebnego przyjechał, by złożyć ojcu hołd.

Otworzył drzwi domu. Mary Frances dobiegły ze środka dźwięki pianina. Pani Fisher grała przez całe życie, pięknie, nawet teraz.

Nagle Mary Frances przypomniała sobie swoje zaloty. Powiedziała Alowi, że mogłaby zamieszkać w pudle fortepianu, gdyby tylko jej mężczyzna ją kochał. Pewnie pomyślał wtedy o fortepianie matki, o Brahmsie i Mozarcie, a nie o siedzącej przed nim trzpiotowatej, postrzelonej dziewczynie. Pudło fortepianu – te słowa wciąż dźwięczały jej w uszach.

Al znowu wziął ją za rękę i przedstawił kobietom stojącym w niekończącym się rzędzie. Posługiwały się wyłącznie imionami mężów. Podziwiała jego pamięć. Fisherowie przeprowadzili się do Palo Alto dopiero po ślubie Ala i Mary Frances. On nie dorastał wśród tych kobiet, ale zapewne w rodzinnym mieście otaczały go ich sobowtóry.

W salonie matka Ala wstała od fortepianu i pocałowała Mary Frances w oba policzki. Miała chłodną i suchą twarz, jakby biegła na wietrze.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś, moja droga – powiedziała. – Al bardzo cię teraz potrzebuje.

Spojrzała na syna z takim bólem, jakiego Mary Frances nigdy wcześniej nie widziała. Al stał ze zwieszoną głową, jakby ktoś spuścił z niego powietrze, i po raz pierwszy od przyjazdu Mary Frances poczuła jego obecność. To było straszne stać tak obok niego, nie wiedząc, jak powinna się zachować.

Rozplakała się.

Clara poklepała ją po plecach i zaczęła uspokajać, kilka innych kobiet dołączyło, by też ją pocieszać, a Mary Frances czuła się taka głupiutka, nazbyt zachłanna.

– Idźcie do pokoju na końcu korytarza – wyszeptała Clara. – Al przyniesie wasze bagaże, możesz się odświeżyć. Tu jest tylu ludzi.

Powiedziała to tak, jakby powinni się zorganizować, wziąć w garść, podczas gdy wokół nich kobiety krzątały się, wykonując dyskretnie swoje zadania, nadziejąc, nakrywając i zamiatając. Była miła, nawet w takiej chwili starała się dać Mary Frances poczucie, że jest potrzebna.

Mary Frances wyszła za Alem z salonu na korytarz, zdawało jej się, że jego sylwetka wypełnia całą przestrzeń. Przy każdych drzwiach stała gromadka żalobnic, a gdzieś w głębi domu, gdzie Mary Frances nie chciała zaglądać, spoczywał nieboszczyk.

Al zamknął drzwi i usiadł na krawędzi łóżka z wysoką, żelazną ramą, u jego stóp leżał dywanik upleciony przez Clarę ze ścinków. Mary Frances stała nieruchomo. Chwycił ją za nadgarstek, lecz nie przyciągnął jej do siebie ani nie odepchnął. Chciała coś powiedzieć, ale w głowie miała pustkę.

Al westchnął.

– Pachniesz dymem.

– Bo palę.

– Nie tutaj.

Odchylił głowę i taksował ją chłodnym badawczym wzrokiem. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i starł jej z ust czerwoną szminkę, a potem z jednakową koncentracją przyjrzał się plamie na materiale. Złożył chusteczkę w czysty biały kwadrat i schował ją do kieszeni.

– Nie dzisiaj.

To, co w innych okolicznościach potraktowałyby jako dobry żart, teraz wstrząsnęło nią tak, jakby ją spoliczkował. Zakołysała się na piętach.

– Al – powiedziała.

Niewyraźnie się uśmiechając, próbował załagodzić sytuację, a Mary Frances nie chciała zaognić konfliktu. Takie umieranie, taki koniec niczym lampa studyjna wyostrza wszystkie kontury.

W drodze powrotnej do Los Angeles Al oznajmił, że nie chce już uczyć w Occidental. Oczywiście nie mieli wyboru, musieli z czegoś żyć, ale on miał tego powyżej uszu i zamierzał z tym skończyć przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Rozumiem – odparła. – Potrzebujesz teraz trochę czasu.

– Nie chodzi o czas.

– No to o żalobę, Al. Rozumiem.

– Którego ze swoich obowiązków wołałabyś nie wykonywać? – zapytał.

Zawisło między nimi milczenie pełne gorzkości. Mary Frances nawet nie wiedziała, jakie szczęście ją spotkało – do tej pory nie zaznała w życiu trosk. W tej chwili nie mógł jej tego darować.

– Gigi wyznała mi, że i tak zamierza odejść z wytwórni – powiedziała. – Twierdzi, że wyjdzie za Johna Welda i że nie wróci do aktorstwa.

Gigi z niezaspokojoną potrzebą poklasku była kolejnym problemem, z którym on nie miał ochoty się już borykać. Z tą dziewczyną coś było nie tak, Tim na szczęście już się wywikłał z tego związku. Właśnie w tej chwili Al sobie to uświadomił. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu. Może nic nie dzieje się bez powodu.

– Mógłbyś wrócić do swojego gabinetu w Eagle Rock – zasugerowała.

– Tak – odrzekł. – Gabinet.

– Nasze życie mogłoby wyglądać tak jak kiedyś – dodała. – Nie sądzisz?

On spojrział na nią i wyciągnął rękę, by chwycić jej dłoń.

– Och, zatrzymajmy się w mieście na kolację – zaproponowała. – Chodźmy do Dona. Gdzieś tu mam zachomikowane trochę pieniędzy.

Zaczęła grzebać w torebce. Chciała się czegoś napić. Chciała znaleźć się w tłumie, byle nie zostać sam na sam z mężem, nie rozmawiać z nim. Chciała zatrzymać samochód i zadzwonić po inną parę, by do nich dołączyła. Niegdyś

w takie dni jak ten w pierwszej kolejności wykręciłaby numer Tima i Gigi.

– Znajdziemy inne rozwiązanie – zapewniła. – Znowu wyjedziemy. W tym jesteśmy dobrzy.

– Powinniśmy rozważyć adopcję.

Mary Frances przestała grzebać w torebce i spojrzała na niego. Nigdy wcześniej nie był tak bliski stwierdzenia, że być może nie są w stanie począć naturalnie.

– Myślę, że powinniśmy coś zmienić i założyć rodzinę, własną. Najwyższa pora, Mary Frances. Nadszedł czas, byśmy odłożyli na bok rozrywki i zaczęli żyć na serio.

Mówił pewnym, spokojnym głosem, patrząc przed siebie. To było czyste szaleństwo. Dopiero co zawiadomił ją, że chce rzucić jedyną stałą pracę, jaką wykonywał w trakcie ich małżeństwa, a już był gotów na dziecko. Ból odebrał mu zdolność racjonalnego myślenia. Powiedziałyby cokolwiek, byle tylko zamknąć temat.

– Zastanowię się nad tym, Al. Może masz rację.

– Zrobisz to?

– Oczywiście.

– To świetnie – odparł. – Ulżyło mi.

Położył dłonie z powrotem na kierownicy i wyruszyli do Los Angeles. Temat wciąż wisiał w powietrzu, zbyt bolesny, by znowu go podjąć i kontynuować rozmowę.

U Dona zamówiony przez Ala tuzin ostryg przywiódł im na myśl siwowłosych klientów restauracji Crespin w Dijon, którzy odrapanymi dłońmi otwierali zielone muszle, by dostać się do bladoperłowego wnętrza. Mary Frances wiele kosztowało zachowanie swobodnego wyrazu twarzy. Była jak przegniła ściana, w której wnętrzu gips zmienił się w burą maź.

Postanowiła po południu spakować ich rzeczy.

Domu w Eagle Rock nie wynajęto na lato i jesień, więc mogli do niego wrócić. Wyglądał tak jak przed ich wyjazdem – metalowe łóżko z muślinowym baldachimem, kuchnia pokryta lepłą warstewką brudu. Mary Frances wyciągnęła szmaty i miotły i wykonała kawał dobrej, satysfakcjonującej roboty, Al całymi dniami błakał się po pokojach, przypominał silnik, który nie może zaskoczyć.

Na stoliku przed kominkiem zostawiła otwarty atlas, ale nie zauważyła, by Al przewrócił choć jedną stronę. Podsuwała mu książki i filmy, zaproponowała przejażdżkę wzdłuż wybrzeża, a on tylko kiwał głową, kazał jej się przygotować, a pół godziny później drzemał w fotelu. Zapytała go, czy rozmawiał z Larrym, Gordonem albo kimś z uczelni, ale on zawsze kręcił głową. Tak często obserwowała go, jak pograżał się w rozmyślaniach, a potem, kiedy zostawała sama, do późna zajmowała się pisaniem.

Na wakacje wyjechali na Ranczo. Anne była tajemnicza i oschła. Co najmniej raz na osobności, w gabinecie Rexa odbyła rozmowę telefoniczną i wróciła na dół tak zaczerwieniona, jakby biegała pędem po schodach tam i z powrotem. Mary Frances podejrzewała, że siostra się z kimś spotyka, ale z pewnością miała swoje powody, by zachowywać to w tajemnicy. Przypomniała jej się Nan, przyjaciółka Gigi, rzekomo realizująca dziewięćmiesięczny kontrakt gdzieś w San Francisco. Samotne życie wydawało się Mary Frances takie męczące, a wychowywania dziecka w pojedynkę nawet nie umiała sobie wyobrazić.

Mały Sean, gaworząc, dreptał w tę i w tę między domowymi sprzętami, a Edith wciąż pytała, kiedy może się spodziewać kolejnego wnuka. Mary Frances i Al patrzyli na siebie z kurtuazyjnymi uśmiechami, prosili Edith o jeszcze jeden kawałek ciasta albo zachęcali Rexa, by powiedział, co sądzi o wyborach gubernatorów. Wszyscy na wszelki wypadek robili uniki, ale kiedy Mary Frances została sama z Rexem w jego gabinecie, wyjaśniła mu, co się dzieje.

– Al chce adoptować dziecko.

– Adoptować?

Skinęła głową, nie potrafiąc spojrzeć ojcu prosto w oczy, ale zawsze dzieliła się z nim wszystkim, taki był przywilej bycia najstarszą córką.

– Matka nie urodziła cię tuż po naszym ślubie. Nie należy postępować pochopnie.

– Nie postępuję pochopnie. – Usiadła na krawędzi biurka Rexa ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Nie miałem na myśli ciebie.

Mary Frances wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Nie wiem, ile mogę powiedzieć tobie, a ile jemu.

Rex się zaśmiał.

– Za dużo czasu spędzacie w szkole.

– Tatusiu.

– Jeśli naprawdę chcesz dziecka, Mary Frances, to bez wątpienia będziesz je miała.

– Al nie ma pracy ani... wigoru.

– No już. Mamy sezon cudów, Dote.

Pozwoliła, by powiódł ją ku innemu tematowi, ale po raz pierwszy rozmowa z ojcem nie przyniosła jej pocieszenia, i to z jej winy. Nie potrafiła zdobyć się wobec niego na szczerość. Zobaczyłby ją w świetle jej relacji z Timem i wszystkich sekretów, jakie jeszcze w sobie tajiła, dlatego poszła na łatwiznę. Zmyśliła inną historyjkę, tak samo prawdopodobną jak ta rzeczywistość. Jej uczucia dla Tima niczym się nie różniły od jej marzenia, by zostać pisarką albo aktorką. Były fantazją opartą na nikłym doświadczeniu i wątplych przesłankach, mrzonką, która miała zapełnić ziejącą w jej głowie pustkę.

Nie pisał od tygodni. Podróżował po Europie. Nie wiedziała, jak go poinformować, że wyjechali z Laurel Canyon, nie znała jego aktualnego adresu. Wydawało jej się, że tylko przelewając słowa na papier zwróci na siebie uwagę Tima, a zapełniając notatnik za notatnikiem, pamiętnik za pamiętnikiem uświadomiła sobie, że nawet tego nie ma prawa oczekiwać.

Jeśli miało to trwać, musiała wymyślić rozwiązanie równie drastyczne jak pomysł, by założyć z Alem rodzinę i tak ratować ich związek. Dotarła do punktu, w którym obie te perspektywy wydawały jej się tyleż niedorzeczne, co niezwykle istotne, wręcz niezbędne. Chciała się odrodzić.

Po Nowym Roku przyszedł list od Tima. Dziękował im za przyjaźń i czas, jaki spędzili z Gigi. Z jej listów wywnioskował, że wszystko jest w porządku i wrócili do Eagle Rock. Chciał jednak odwdziżyć się za ich szczodrość, choć na dobrą sprawę prosił ich, by wyświadczyli mu kolejną przysługę – byli tak dobrymi przyjaciółmi, że postanowił sobie darować zbędne ceremonie. Czy Mary Frances mogłaby towarzyszyć jemu i jego matce w podróży po Francji? Przydałby im się ktoś, kto w towarzystwie czuje się jak ryba w wodzie i potrafi prowadzić rozmowę zarówno po angielsku, jak i po francusku. Pani Parrish chciała odwiedzić miejsca, które zauroczyły ją w młodości, i wszystko wskazywało na to, że zdecydują się na podróż w lutym...

– Co o tym sądzisz? – zapytała Mary Frances.

Al upuścił list na stół.

– A ty? – odparował.

Al nie usiadł na krawędzi łóżka, by obserwować, jak Mary Frances zapełnia walizkę. Włożyła do niej ubrania na statek, jedwabie i satyny, należące do Anne szpilki z brokatu, które tak spodobały jej się w Boże Narodzenie, i pożyczone od Edith futro z kołnierzem z lisa. Zabrała słownik francuski, druty i przędzę. Na wypadek chłódów spakowała rękawiczki i szaliki, w Paryżu zamierzała kupić perfumy. Na jaką wyprawę powinna się przygotować? Domyślała się, o jaki rodzaj towarzyskiej asysty chodziło Timowi, wyobraziła sobie długie podwieczorki przy kartach, muzea i kościoły, ale musiała też liczyć się z jego nieprzerwaną współobecnością, i to przez wiele tygodni. Nie potrafiła skłonić swojej wyobraźni do przekroczenia tej granicy. Może nawet nie powinna.

Z sąsiedniego pokoju dochodziło do niej szuranie szuflad otwieranych i zamykanych przez Alę, maszyna do pisania milczała. Każdy pretekst ułatwiał jej wyjazd, dlatego wmawiała sobie, że rozłąka zrobi dobrze jej mężowi, wreszcie znajdzie czas na poemat.

Al stał teraz w drzwiach wpatrzony w wir jaskrawych kolorów, wylewający się spod wieka walizki.

– Twoje pióra – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

Jej ręce wydawały się grube i niezdarne. Schowała do szafy puste wieszaki

grzechoczące jak kości.

– Pamiętasz tamto lato, kiedy wysłałem cię z Edith do Londynu? – zapytał Al. – Nie chciałaś jechać, ale ja uznałem, że dobrze ci to zrobi.

Pamiętała. Jej matka uważała, że sekret długiego małżeństwa to długie wakacje, ale Mary Frances z ciężkim sercem zostawiała Ala samego w Dijon, przede wszystkim dlatego, że perspektywa samotnych dni go przytłaczała. Wtedy zaczął pisać poemat. Wróciła we wrześniu, a ich miesiąc miodowy dobiegł końca.

– Niepotrzebnie to zrobiłeś – powiedziała Mary Frances.

Dotknął framugi i przyglądał jej się tak, jakby zamierzał wyrwać ją ze ściany. Wezbrał w nim gniew, ale Mary Frances nie była pewna, czy to na nią się złości.

– Wciąż sobie to powtarzam – odparł. – Wiem.

A potem włożył jej bagaże do chryslera i zawiózł ją na dworzec. To tylko wycieczka – mówił sobie – ostatni wyskok, po którym poczynimy poważne plany. Nie wspomniał ponownie o dziecku, ale pod jej nieobecność zamierzał zacząć wypytywać ludzi w swoim otoczeniu o to, jakie kroki powinien przedsięwziąć. Był wdzięczny Timowi: taka okazja nie nadarzyłaby im się po raz drugi.

– Będiesz pisała? – zapytał. – Chętnie ci to ułatwię. Przyślę ci znaczki i koperty. – Zaśmiał się głucho. Zapadł się w siebie.

Sięgnęła do torby leżącej na podłodze i wyciągnęła z niej papeterię przewiązaną wstążką. Przesunęła kciukiem po kopertach niczym po talii kart.

– Po jednej na każdy dzień, Al. Już zaadresowane do ciebie.

Na dworcu przekazał walizki bagażowemu, sprawdził bilety i odprowadził ją na peron, by tam z nią poczekać. Stała z dumnie uniesioną głową, delikatnie trzymając go pod ramię, tak wyraźnie odcinała się na tle jego płaszcza. Skoncentrował się na jej ręce, jasnych, smukłych palcach, cienkiej złotej bransoletce. Potem wjechał pociąg, on powierzył jej dłoń bagażowemu i przez jakiś czas obserwował cielsko maszyny, wyobrażając sobie, jak Mary Frances przechodzi do swojego przedziału, wyciąga rękę, by złapać równowagę, a potem znajduje swoje miejsce i odjeżdża.

Kiedy pociąg ruszył, już zapamiętała pisała, byle tylko nie patrzeć na twarz Ala, choć przecież ten list przeznaczony był dla niego. Nie potrafiła się powstrzymać. On był dla niej jedynym stałym punktem odniesienia, dlatego od razu wyznała mu, że czuje się tak, jakby grali w filmie, a cały spędzony razem czas odbiera jak wspomnienia wydarzeń, które jeszcze nie miały miejsca. Teraz rozplynie się jak dym z lokomotywy, ale kiedy wróci za miesiąc, wszystko będzie po staremu. Na większą szczerłość nie potrafiła się zdobyć. Wciąż go kochała, dlatego nie umiała opowiedzieć nic więcej o przekroczeniu, którego zamierzała się dopuścić. Teraz wyjeżdża i niedługo wróci.

W ten sposób rozpoczął się drugi miesiąc miodowy we Francji. Dopiero

kiedy będzie stara i za słaba, by podróżować, zrezygnuje z ucieczek, dzięki którym zyskiwała szansę, by spojrzeć na pozostawione na drugim brzegu życie z szerokiej perspektywy i zorientować się, które węzły należy rozciąć, by pozbyć się kłopotu. Czasem wystarczy się oddalić, by problemy nie do pokonania same się rozwiązały.

Dziś zawsze trzyma pod łóżkiem spakowaną walizkę, a szczegóły załatwia za nią Norah.

Ani tu, ani tam nie czeka na nią żaden mężczyzna. Od lat nie miała nikogo, dlatego tak silne emocje wywołują w niej porządkowane listy i pamiętniki. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nagle wszyscy istotni dla niej mężczyźni jednocześnie do niej powrócili. Z pewnością poczuje ulgę, kiedy zrobi sobie od nich przerwę. Nawet w chwilach spokoju w jej głowie kołaczą się nieskładne myśli.

Rdzawy kot wcześniej niż ona słyszy pukanie, pędzi do kuchni, do misek z jedzeniem, tam czuje się bezpiecznie. Mary Frances wstaje, wsuwa grzebień w srebrne włosy, przed lustrem przy drzwiach maluje usta i otwiera.

Stoi przed nią mężczyzna w samej koszuli, z walizką, z twarzą zasłoniętą przez szerokie rondo kapelusza. Zarys jego ramion, wzniesienie klatki piersiowej i delikatna, kwadratowa dłoń głaszcząca rudego kota wydają się znajome, ale Mary Frances nigdy wcześniej go nie spotkała. Kot staje na tylnych łapach, by obwąchać trzymane przez nieznanego przepiórki.

– We wsi zapytałem o drogę – powiedział. – Kiedy tylko wspomniałem pani nazwisko, każdy prosił, bym coś pani przekazał.

Ona się śmieje – zna myśliwego, który zawsze zachowuje dla niej przepiórki. Z bocznej kieszeni w walizce jej gość wyciąga słoik dżemu z jeżyn, papierową torebkę z przyprószonym bielą salami i pelurową kopertę z jakąś sproszkowaną przyprawą. Mary Frances wpatruje się w wiszące bezwładnie ptaki związane przez myśliwego zgodnie z jej instrukcjami, dokładnie tak, jak robi się to we Francji.

– W czym mogę panu pomóc? – pyta, odbierając przepiórki.

To pracownik biblioteki. Przejechał vanem przez cały kraj po pudła, zamiast ubraniami wypełnił walizkę jej książkami, by mogła złożyć w nich autografy.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – dodaje. – Potem zabiorę paczkę i wyruszę w powrotną drogę.

– Och nie – protestuje Mary Frances. – Musi pan zostać na kolacji. Kto mi pomoże zjeść te przepiórki?

– To naprawdę niekonieczne, pani Fisher. W mieście wynająłem pokój, a potem czeka mnie długa podróż do domu.

– Nie chcę, by przeze mnie pracował pan do późna, ale mamy mnóstwo jedzenia.

Widać, że on się zastanawia. Ma oczy w ciepłym, brązowym kolorze, one nie wyglądają znajomo, nie za takimi oczami tęskniła, ale mają jakiś związek z porządkowaniem przeszłości, którym ostatnio się zajmowała. Teraz ten

mężczyzna wydaje jej się prezentem od losu.

– Będę zaszczycony – mówi.

Ona się odwraca i wprowadza go do domu.

* *Mon cocotte, mon chouchou, ma petit lapin, Madame, s'il vous plaît*
(franc.) – Moja kurka, moja ukochana, mój króliczek, ależ proszę, proszę pani.

Rejs

Wiosna 1936

Po trzech dniach podróży do Chicago przesiadła się na pociąg do Nowego Jorku. Siedzenia w jej przedziale były obite pluszem, okno szerokie, co wieczór bagażowy opuszczał z sufitu leżankę, w rogu za kotarą niewielki sedes, umywalka przytwierdzona do ściany na zawiasach. Zadbano tu o wszystkie ludzkie potrzeby, w każdym wagonie dwanaście przedziałów, co najmniej sześć wagonów ze śpiącymi pasażerami. Ta malutka samowystarczalna kolonia żwawo przemierzała cały kraj.

Atmosfera podróży otoczyła ją cienką warstwą. Pociąg turkotał i kołysał się, w środku panował hałas i przeciąg na przemian z gorącymi podmuchami, okrywała się płaszczem, by po chwili zsuwać go z ramion. Pasażerowie prowadzili niekończące się rozmowy o niczym. Kiedy szła do wagonu restauracyjnego, nie miała ochoty na żadne danie z karty. Za oknem czerwona pustynia zmieniała się w niezmierzone, ponure równiny, pola ustępowały pod naporem napuchniętego nieba, a potem wszystko szarzało i zapadała ciemność.

Mary Frances słyszała matkę i dziecko z sąsiedniego przedziału. Maluch na przemian gaworzył i płakał, rozrabiał i hałasował uspokajany przez matkę. Mary Frances nie rozumiała, co mówią. Nadal podglądała macierzyństwo z ukrycia, jak szpieg.

Usiadła na skraju leżanki, otuliła się szlafrokiem, kołysząc stopami nad podłogą. Podczas antraktu spędzonego z Timem wszystko powinno wydarzyć się chyłkiem – życie w miniaturze. Położyła otwarte dłonie na udach, żałując, że nie ma się do kogo pomodlić ani komu złożyć obietnicy, była sama. Przyrzeczeń składanych samej sobie tak trudno dotrzymać.

Za oknem galopował równinny krajobraz.

W wagonie restauracyjnym jadła śniadanie naprzeciwko matki z sąsiedniego przedziału, która szeptała do chłopca tak, jakby byli sami. Nachyliła się, by nakarmić go jajecznicą, podtykając widelec pod jego różowe usteczka. Nie towarzyszył im żaden mężczyzna, a kobieta nie miała obrączki. Mary Frances pomyślała o Anne, która podróżując z Seanem, pewnie byłaby wyczerpana, wręcz wykończona. Chłopczyk uderzył rączkami w stół, aż podskoczyły łyżki. Jego matka się zaśmiała, a potem kelner przyniósł dodatkowe sztućce.

– Pani syn przypomina mi mojego siostrzeńca – odezwała się Mary Frances.

Kobieta uśmiechnęła się, strząsając okruchy z kolan. Mówiła z tak mocnym akcentem, że Mary Frances dopiero po chwili zrozumiała jej słowa.

– Oj, psze pani, to nie moje. Jego rodzice już od tygodnia są w Nowym Jorku.

Mary Frances westchnęła.

– Przepraszam.

Teraz nie potrafiła dostrzec między nimi podobieństwa. Kobieta wpatrywała się jednak w chłopca z matczyną czułością. Była nieziemsko cierpliwa i opieka nad nim wyraźnie sprawiała jej radość.

– Zawsze była pani jego nianią? – zapytała Mary Frances.

To było zbyt osobiste pytanie, ale kto tutaj, w tym pociągu, mógł jej dyktować, co powinna robić? Nagle ta informacja wydała jej się bardzo istotna.

– Od kiedy przyszedł na świat.

Kobieta uśmiechnęła się do Mary Frances, a potem zajęła się chłopcem, który ściskając w rączkach jedzenie, właśnie usiadł na podłodze. Ostatecznie wszystko ciąży ku ziemi – pomyślała Mary Frances. Chłopczyk i jego niania się zaśmiali.

Bagażowy nie zdążył złożyć leżanki przed powrotem Mary Frances, która teraz wdrapała się na nią i z rękami założonymi za głowę wpatrywała się w lśniący kopułkowaty sufit. Pomyślała o tym, jak wiele istnień kryje w sobie ten jeden pociąg, który pędem unosi ją daleko od domu.

Tim czekał na nią na peronie na Pennsylvania Station.

Ubrany ze swobodną elegancją, od stóp do głów na granatowo, w płaszczu ze szlachetnego kaszmiru i szalu w jodełkę, z gładko zaczesanymi siwymi włosami. Wyglądał jak nóż, jastrząb albo skrawek bezchmurnego atramentowego nieba. Mary Frances chwyciła jego dłoń w rękawiczce i próbowała poruszyć ustami, by coś powiedzieć. Przychodziły jej do głowy same banalne powitania: „Cześć, jak miło cię widzieć, tak się cieszę”.

On ujął jej rękę i złożył delikatny pocałunek po wewnętrznej stronie nadgarstka, w miejscu, w którym tętniła jej krew. I tyle.

Pokazał bagażowemu, gdzie leżą jej walizki, które potem trafiły do kufra taksówki. Ona i Tim byli prawie tego samego wzrostu. Czowała na skroni jego oddech. Tim ją prowadził, trzymając początkowo dłoń na jej plecach, rychło jednak zaczął nią wodzić po całym jej ciele. Mary Frances nie wiedziała, co powiedzieć, nic innego do niej nie docierało.

Taksówka ruszyła na północ, do hotelu Warwick, gdzie na Mary Frances czekał zarezerwowany przez Tima pokój. Obserwując profil mężczyzny na tle migającego za oknem miasta, uświadomiła sobie, że tutaj, w centrum biznesu, gdzie życie toczy się szybko i głośno, on czy raczej człowiek, którym się stał, jest u siebie. Ta myśl przeszła ją na wskroś. Czego jeszcze powinna się o nim dowiedzieć? Jaką inną zmyśloną historyjką karmiła się w czasie ich rozłąki, podsycając swoje złudzenia?

– Gdzie twoja matka? – zapytała.

– Po południu lubi uciąć sobie drzemkę. Jesteś zmęczona?

Jego słowa zabrzmiały tak, jakby pierwsza myśl skojarzyła mu się

z następną. Mary Frances pokręciła głową i odwróciła się do okna. A co, jeśli właśnie popełniła straszliwy błąd?

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku, Tim zapłacił i otoczyła ich armia boyów hotelowych. Walizy i torby Mary Frances były pełne książek. Stała tam, gdzie ją odeskortowano, i przyglądała się, jak rośnie sterta jej bagaży. Po co tyle zabrała? Była przez to zdana na łaskę tylu osób.

W hotelu: gońcy i windziarz, oględziny pokoju, napiwki wędrujące z ręki do ręki. Tim poprosił, by przysłano na górę herbatę, i wreszcie zostali sami. Usiadła przy oknie z torebką w ręce. Tim przyglądał się Mary Frances, której nie wystarczyło śmiałości, by na niego popatrzeć. Od wielu miesięcy w kółko wyobrażała sobie ten moment, różne jego wersje. Do cna wyeksploatowała tę chwilę. Zaśmiała się.

– Co się stało? – zapytał Tim.

– Och. Po prostu jestem zmęczona. Padam z nóg.

– To zrozumiałe. Naprawdę. – Nie podszedł do niej. – Moja siostra zaplanowała dziś przyjęcie na cześć twoją i naszej matki. Nie może się doczekać spotkania z tobą.

Wciąż błędziła wzrokiem, byle tylko nie spojrzeć na Tima.

– Mary Frances?

– Oczywiście.

Czuła się tak, jakby oczekiwała, że coś między nimi osiągnie kulminację, ale Tim był taki łagodny, taki spokojny. Nic nie mogło się wydarzyć. Zaczepnęła powietrza.

– Oczywiście – powtórzyła. – Przed wyjściem chętnie spotkam się z tobą i twoją matką w lobby na drinka albo dwa. Och, Tim.

Rzuciła torebkę na biurko, ale nie trafiła, i Tim się zaśmiał. Już zapomniała, jaki jest silny. Położył klucze do pokoju na toaletce.

– Dobrze. Teraz odpocznij – powiedział i wyszedł.

Przygotowała kąpiel. Tymczasem przyniesiono herbatę, którą zabrała do wanny razem z pysznym ciastem, położyła tacę na pokrywie sedesu. Żółty olejek wlany do strumienia wody wydał fiołkowy zapach. Przed nią rozciągały się tygodnie dzielące ją od Francji.

Na innym piętrze hotelu Tim wyjął z kieszeni pudełeczko i położył na sekretarzyku w swoim pokoju. Zapalił papierosa i usiadł przed oknem, popołudniowe niebo zasłaniały budynki otaczające hotel, w dole na ulicy terkotały wózki. Miał tyle energii, a nie wiedział, co z nią zrobić, mógłby biegać w kółko po ulicach albo po schodach. Chciał jakoś ją spożytkować, na litość boską, w pełni wykorzystać pieniądze, czas, twardego penisa niecierpliwącego się w spodniach. Rok, który minął od ich ostatniego spotkania, wystawił powściągliwość Tima na poważną próbę.

Otworzyły się drzwi do pokoju jego matki.

– No i? – zapytała.

– Odpoczywa. Ma za sobą długą podróż.

– Cieszę się, że przyjechała. Taki szmat drogi z Kalifornii. Nie wiem, co wy sobie wyobrażaliście.

– Mamo, ona dużo podróżowała. Jeszcze się przekonasz, że potrafi wybrnąć z najtrudniejszej sytuacji.

– I co z tego? – odparła matka.

Zauważyła leżące na sekretarzyku pudełeczko i zorientowała się, że zawiera biżuterię. Wpatrywała się w nie, nie zadając żadnych pytań. Tim poczuł się tak, jakby połknął zapaloną zapałkę. Jego matka, domorosły detektyw, zawsze miała dobre oko do detali. Wszystko wydawało jej się podejrzanym, póki nie zweryfikowała każdej z hipotez.

– Mamo. – Tim zgasił papierosa, chwycił ją za rękę, wsunął jej dłoń między ramię i policzek. – Masz ochotę na spacer czy jest za zimno? Na przejażdżkę dorożką? Herbatę?

Pani Parrish poklepała go po ramieniu.

– Nic mi nie trzeba – odparła. – Chciałabym wysłać kilka listów, zanim odpłyniemy.

Zaczęła wyliczać, co i komu ma przekazać, jakby procesu pisania listu nie uważała za czynność wykonywaną w milczeniu, tylko za monolog, który należy przećwiczyć, nim się go utrwali na papierze. Tim wstał, ustępując jej miejsca przy sekretarzyku, i chyłkiem schował pudełeczko z powrotem do wewnętrznej kieszeni marynarki, zanim matka zdążyła znaleźć odpowiednie słowa, by o nie zapytać.

Chciał coś dać Mary Frances.

W trakcie rozstania z Gigi przypominał sobie wszystko, co sprawiało mu taką przyjemność, kiedy uganiał się za kobietami: drobiazgowo planowane randki, listy pełne niedomówień, powolne rozplatanie upiętych włosów, niekończące się rzędy guzików, rozpinanie zapięcia na karku. Tak wiele zależało od przygotowań i odpowiedniego tempa. Potrafił spędzić całe popołudnie na szukaniu jedwabnych pończoch. Pewnego dnia w dzielnicy teatralnej siedł za jakąś kobietą przez dwie przecznice, obserwując ciemniejsze trójkąty materiału nad napiętkami jej bucików, kreski szwów na wrzecionach jej łydek. Pończochy z kubańską piętą – czegoś takiego nie kupuje się mężatce. Zdecydował się na bransoletkę, szeroki, płaski, karbowany łańcuszek zapinany na karabińczyk, ale Mary Frances była taka nieobecna, że nie wręczył jej podarunku. Mógł się spodziewać, że nie będzie łatwo.

– Napisałybyś dla mnie list? – poprosił. – Do Alfreda Fishera. – Słyszał, jak pióro matki już sunie po papierze. – „Drogi Alu! Nawet nie wiesz, jaką radość sprawił mi przyjazd Mary Frances. Tęsknię za wami obojgiem, a obecność twojej żony z pewnością umili mojej matce czas na pokładzie statku. Dziś w drodze na

stację kupiłem prezent dla twojej żony. Nie mogłem się oprzeć temu drobiazgowi, by uczcić wspólnie spędzony czas. Jestem ci wdzięczny i bardzo podekscytowany, staruszkę”. To wszystko. Sam podpiszę.

Matka podała mu list nad swoim ramieniem, a Tim poruszał nim przez chwilę w powietrzu, by wysuszyć atrament. Pani Parrish spojrzała na niego łagodnie, jej twarz z wiekiem nabrała miękkich rysów. Nie było powodu, by ją martwić, jeśli potrafił temu zapobiec. Nie było powodu, by kogokolwiek martwić.

Z lobby Mary Frances zadzwoniła do Ala.

– Jesteś już na miejscu.

– Przynajmniej ciałem. Co za podróż! Która u ciebie godzina? Czuję się, jakbym była cała z waty.

– Druga. – Al chrząknął. – Jem kanapkę.

– Do niedzieli przywykniesz do kawalerskiego życia. – Nastąpiła długa cisza i rozległy się trzaski na linii, a może jakieś inne dźwięki. – Al?

– Jestem.

– Z pociągu nadałam pięć listów. Zepsuję ci przyjemność czytania, jeśli teraz je streszczę. Chciałam się tylko przywitać. Szkoda, że z nami nie jedziesz. Bez ciebie to nie to samo.

– Na pewno będziesz się świetnie bawić.

– Myślałam o tym, co powiedziałeś, że czas skończyć z rozrywkami i zacząć żyć na serio. Uważam, że bylibyśmy dobrymi rodzicami, Al. Zawsze byłam tego zdania.

– Naprawdę tak sądzisz?

Powiedziała to, by zrekompensować mu trud rozłąki, a entuzjazm w jego głosie potraktowała jako znak, że on się zgadza, chce dodać jej otuchy i odpuszcza jej winy. Przypomniała sobie, jak w pociągu przez ścianę dochodził do niej kojący szept, a później, kiedy niania karmiła chłopca, on pogłaskał ją po policzku.

– Al, chcemy się starać o chłopca czy dziewczynkę?

– Nie wiem – odparł. – Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– W takim razie zrób to. Proszę. Najwyższa pora.

Powiedział, że ją kocha, i życzył jej *bon voyage*, a potem rozłączył się pierwszy i w słuchawce rozległ się ciągły sygnał. Równie dobrze mogłaby mu obiecać gwiazdkę z nieba, a jednak złożyłaby każde przyrzeczenie, o jakie by ją poprosił. Spojrzała na swoje uda okryte miedzianym jedwabiem. Miała na sobie sukienkę, którą Edith kupiła jej na Boże Narodzenie. Ubranie stało się częścią tej wyprawy, kostiumem.

Na drugim końcu lobby z windy wysiadła drobna i przygarbiona pani Parrish, trzymając Tima pod rękę. W falbaniastej aksamitnej pelerynie wyglądała jak pszczoła pracująca przy kwiecie. Mary Frances wyszła z kabiny, by się przywitać.

– To cudownie, że udało ci się przyjechać, moja droga. – Pani Parrish zbliżyła się tak, że musnęły się policzkami.

– Przed chwilą zadzwoniłam do Ala. Żałuje, że go tu nie ma. Obiecałam mu dokładne relacje z wszystkiego, co zrobimy i zwiedzimy, jeden list dziennie.

– Dobry Boże! – Pani Parrish z zachwytem spojrzała na Tima. – Kiedy Dillwyn był chłopcem, razem z siostrą zabierałyśmy dzieci nad morze na całe lato. Mąż był najszcześniejszy, kiedy nie dostawał od nas żadnych wiadomości.

Mary Frances wyczuła jednak, że sprawiła radość pani Parrish, może nawet ją uspokoiła. Jej uczucia do Ala powinny być jednoznaczne. Myślała o tym, kiedy podchodzili do baru, jedno obok drugiego, kiedy Tim zamawiał drinki, wermut dla matki i gibsona dla niej, a potem przypomniawszy sobie to jeszcze raz w taksówce, w drodze do mieszkania Claire na północy miasta.

Pani Parrish miała gdzieś wieczór wśród przyjaciół Claire.

– Przecież jutro odpływamy! Czeka nas tyle uprzejmych konwersacji w pensjonatach, przy kolacji. Przyjaciele Claire wycisną mnie jak cytrynę. W trakcie rejsu nie będę miała już nic mądrego do powiedzenia.

– Mamo, nigdy nie widziałem, byś skapitulowała.

– Zestarzałam się. Mary Frances, jak sobie dasz radę?

– Jak sobie dam radę? Och, z zasady nie odzywam się, póki nie skończy się rozmowa o pogodzie.

Pani Parrish się zaśmiała.

– Co za urocza dziewczyna, Timmy. Gdzie ty znajdujesz takie czarujące osobki?

Mary Frances zauważyła, jak ostrożnie wsiadali do samochodu, w drodze w błyskających światłach twarz Tima straciła wyrazistość. Pani Parrish nie zamykały się usta. Charles, mąż Claire, trafił do szpitala, a oni jak gdyby nigdy nie jechali do niej na przyjęcie. Pani Parrish uprzedziła Mary Frances, kto może się tam zjawić: koledzy Claire po piórze i bankierzy, jak Charles – wszyscy przestrzegali jakiegoś arystokratycznego kodeksu, którego główne zasady pozostawały dla Mary Frances zupełnie nieprzejryste. To był Nowy Jork, znacznie bardziej zhierarchizowany i oficjalny niż Kalifornia, tu nawet ktoś z pozycją Rexa niewiele by znaczył. Obserwowała spokojny profil Tima. Skąd wzięła odwagę, by go dotknąć?

W kamienicy Claire winda w rozmiarze klatki dla ptaków, w holu posadzka w szachownicę i ściany o głębokim turkusowym odcieniu. Jakiś mężczyzna odebrał od nich okrycia, za nim stała Claire. Mary Frances rozpoznała ją z portretów wiszących w domu w Laurel Canyon.

Przez twarz Tima przemknął cień zażenowania, a Mary Frances pomyślała o pustej białej willi, ona i Al wyjechali, Gigi odeszła, ale historia, która tam się zaczęła, toczyła się dalej.

– Wszystko w porządku, moja droga? – zapytała Claire, kładąc dłoń na plecach Mary Frances. – Nie przeziębiałaś się aby? Timmy, nigdy się nie nauczysz, jak należy zatroszczyć się o kobietę podczas podróży.

Z rozradowaniem pocałowała go siarczyście w policzek i starła kciukiem ślady szminki. Była tak smukła i miała tak ostre rysy jak Tim, z burzą włosów obciętych za ucho, w długim jedwabnym kaftanie z rozcięciami tu i ówdzie odsłaniającymi ciało.

– Zawsze przyjeżdżają tu, ledwie trzymając się na nogach po długim spacerze, jeździe konnej i godzinach rozmów. Potem on karmi je jakimś egzotycznym daniem, na przykład rzodkwią japońską z przegrzebkami morskimi. Gigi nie mogła tego przełknąć! – Jej długie palce, wciąż dotykające ramienia Mary Frances, napięły się i rozluźniły. – Cóż – powiedziała, pijąc szampana, by zatuszować nietakt. – Pewnie na tobie nie zrobiłoby to wrażenia, prawda? Mama tak się cieszy na waszą wspólną wyprawę.

Czym prędzej zmienili temat, by jak najszybciej oddalić się od wzmianki o Gigi. Mary Frances nie była pewna, czy Claire próbuje chronić uczucia Tima czy swoje. Tyle uroczych dziewczyn – powiedziała jego matka – a Gigi była z nich najcudowniejsza. Nagle zastanowiło ją, czy pani Parrish i jej córka podejrzewają, co ona tu robi, czy Tim wyznał prawdę tylko swojej żonie.

Claire odwróciła się, by powitać kolejnego gościa, a Mary Frances ściszym głosem odezwała się do Tima:

– Jak wiele powiedziałaś Claire? – Nie mogła spojrzeć mu w oczy. – O naszym wspólnym wyjeździe.

– Zdaje sobie sprawę z tego, że sam nie dałbym sobie z mamą rady.

– Wygląda mi na to, że sporo wie.

– To moja siostra. Wydaje jej się, że wie wszystko. – Wziął ją pod rękę i zaprowadził na bok. – Co za różnica?

– Różnica.

– Czemu się gniewasz?

– Nie gniewam się.

Tim wziął z niesionej przez kelnera tacy dwa kieliszki i jeden podał Mary Frances. Martini najwyraźniej było przeznaczone dla kogoś innego, ale kelner bez słowa wrócił do baru. Tim pił łączywie, znad kieliszka obserwując gości.

– Moja droga – zaczął – kluczyłem, mówiłem ogródkami i knułem. Zapytany wprost o intencje kłamałem. Kierowałem się podszeptami instynktu i udało mi się doprowadzić nas tutaj bez narażenia reputacji. Innymi słowy: odegrałem swoją rolę. Jaki ty masz plan?

– Plan? Nie wiem...

– W Hollywood wiedziałaś.

Zaśmiała się. Dzwoneczek w ręce Claire wzywał na kolację.

- Byłam przerażona, Tim. To było wiele miesięcy temu.
- Przyjechałaś do mnie – powiedział. – Co teraz zamierzasz?

Po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl, że mogłaby odpowiedzieć, co tylko zechce.

Ściany jadalni pokrywała tapeta w olbrzymie kamelie w odcieniu arbuza, z miedzianymi, wyprężonymi kosmatymi pręcikami. Kwiaty były tak wysokie jak Mary Frances. Zastawa lśniła w świetle świec. Przesunęła palcem po oparciach krzeseł, przyglądając się winietkom. Wśród zapisanych drukiem nazwisk znalazła swoje: M.F.K. Fisher.

Poczuła przypływ wdzięczności dla Claire, która teraz wchodziła do jadalni pod rękę z jednym z gości. Siostra Tima dobrze wiedziała, jak wiele znaczy ten drobny gest, pewnie sama pamiętała to uczucie. Może dla tych ludzi Mary Frances różniła się od Gigi, nie była przecież drobną, delikatną i śliczną żoną Tima. Okazano jej jednak zrozumienie.

- Claire twierdzi, że wyprawiacie się za wielką wodę.

Spojrzała na siedzącego po prawej stronie śniadego mężczyznę o posturze hydrantu i intrygującej, zmęczonej twarzy. Jednym haustem dopił resztkę drinka.

- Tak – odparła. – Do Paryża i Szwajcarii.

Claire nachyliła się nad stołem.

- Davis, bądź miły.

- Jeszcze nic nie powiedziałem.

– Wiedziałam, że to pomyłka, Mary Frances. Masz moje pozwolenie, żeby całkowicie go ignorować. – Claire posłała Davisowi promienny uśmiech. – E. Pearson Davis, korespondent „Heralda”, uwielbia mieć rację.

- Ja też cię kocham – odparł Davis.

- Hulaka.

- Sekutnica.

Davis zwrócił się do Mary Frances:

- Właśnie wróciłem z Hiszpanii.

Czuła, że Tim obserwuje ją z drugiego końca stołu. Odkąd rankiem wysiadła z pociągu, nie było sekundy, by nie wiedziała, gdzie on jest, nie czuła jego uwagi lub jej braku. Co powinna teraz zrobić? Zamknęła oczy i napiła się wody.

- Piekło na ziemi – powiedział Davis.

- Hiszpania? – zapytała.

– Davis. – Claire dotknęła dłoni Mary Frances, w jej głosie pobrzmiwały ostrzegawcze tony. – Obiecałeś.

- W takim razie opowiem jakąś bajeczkę na dobranoc, moja droga.

– Mama, Tim i Mary Frances wyjeżdżają na wielką wyprawę. Mama ma już swoje lata. Nie pomogą rebeliantom i nie będą musieli odpierać ich ataków. Jadą do Szwajcarii, na litość boską.

– Szwajcaria to piekło na ziemi – skwitował Davis.

Claire go zignorowała.

– Timmy chce ci pokazać Le Paquis, posiadłość, którą kupiliśmy nad Jeziorem Genewskim. Uważa, że moglibyśmy otworzyć tam ośrodek pracy twórczej. Przepiękna okolica. Inspirująca. Pisarze, malarze. Mary Frances też pisze.

Davis uśmiechnął się do niej, jakby właśnie znalazł w jej torebce piersiówkę.

– O czym? – zapytał. – Powieści, jak nasza śliczna księżniczka?

– Nie. Ja...

– Ale z ciebie świnia, Davis.

Davis zacisnął zęby i odwrócił wzrok.

Co za różnica? Obok siedział mężczyzna, który skłonny był uznać ją za głuptasa. Nad jego ramieniem zobaczyła wyrzeźbiony policzek Tima, jego śnieżne włosy. Znowu się odwrócił. Nie mówił jej o Le Paquis, była pewna, że ma jakiś powód, może taki, że któregoś dnia zamierzał wyjechać na zawsze do Szwajcarii. Tak boleśnie odczuwała granice tego, co wiedzieli o sobie nawzajem. Miała do niego tak niewiele praw. Co powinna zrobić?

– O apetycie – odparła. – Piszę o rozmaitych rodzajach apetytu.

Davis zaśmiał się i uniósł kieliszek.

Podano kolację, małe krewetki w śmietanie na holenderskim sucharku, potem cienko krojony rostbef, ziemniaki i buraki krwawiące na cały talerz. Wino było starsze niż ona, francuskie.

Davis nie tknął jedzenia, ale kończył czwartego drinka, kiedy nachylił się do niej.

– Właśnie na to miałaś apetyt?

Spojrzała mu prosto w oczy. Chyba odczytał jej pogardę, ale nie dał tego po sobie poznać.

– Claire już nie słucha – powiedział. – Najlepsza taktyka to siedzieć cicho, a ona znajdzie kogoś innego, bardziej gadatliwego. Rozmawia o operze z dżentelmenem siedzącym naprzeciwko ciebie. Zna się na wszystkim po trochu.

Mary Frances otarła usta serwetką, zostawiając na niej równy czerwony ślad szminki.

– A więc pracujesz dla „Heralda”?

– „Herald Tribune”. Mam klucz do biur. Chciałabyś może zobaczyć, jak powstaje wielka prasa?

– Panie Davis, od kiedy skończyłam sześć lat, mój ojciec redagował gazetę w Whittier, naszym rodzinnym miasteczku w Kalifornii. Wątpię, by zdołał pan pokazać mi coś, czego jeszcze nie widziałam.

– No nie wiem, laleczko.

– Laleczko?

Nachylił się do niej.

– Patrzę na ciebie, patrzę na to – potoczył ręką po pięknym pokoju i dystyngowanych gościach – i wątpię, by życie zaspokoiło twój apetyt.

Udowadnianie mu, że się myli, wydało jej się niedorzeczne.

Nachyliła się nad jego talerzem z nietkniętą kolacją i wyciągnęła malutki goździk z jego butonierki. Odgryzła płatki od łydźki i żuła je przez chwilę.

Tim znalazł ją na balkonie, w dole rozświetlił się lutowy Manhattan. Chciała, by ją odnalazł. Tak się ucieszyła.

– Coś sobie przypomniałam – powiedziała. – Kiedy po raz pierwszy jadłam ostrygi, byłam zakochana w dziewczynie.

– Wyobrażam sobie, że większość z nas powiedziałyby to samo.

– Byłam w szkole z internatem. Dziewczyna nazywała się Eda Lord. W Boże Narodzenie urządzano dla nas potańcówki i podawano w szkole wykwintne potrawy. Pewnego razu nawet ostrygi.

Tim okrył jej ramiona swoim granatowym płaszczem.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Davis to grubianin.

– To prawda. Wróć do środka i wyzwę go na pojedynek na pięści.

– Co miałam mu powiedzieć? Że jestem mężatką?

– On to widzi. Waży chyba dwa razy tyle co ja.

– Tim.

– Poza tym prowadzi jakieś szemrane interesy, pojedynki bokserskie albo walki byków, skoczył ze spadochronem za linię wroga. Kiedyś miał chyba tygrysa i tyle już wypił, że pewnie wydaje mu się, że jest Hemingwayem, ale jeśli poczujesz się dzięki temu lepiej, moja droga, to jestem do twojej dyspozycji.

– Tylko na chwilę.

Schylił głowę, spoglądając na miasto, teraz stali ramię w ramię, przyjęcie rozbrzmiewało gdzieś daleko w tle.

– Opowiedz mi coś – poprosił Tim.

– Co?

– Coś, czego o tobie nie wiem, jak ta historia o ostrygach. Jak byłaś zakochana. Od tygodni nie dostałem od ciebie listu, a uzależniłem się od nich.

Daleko w dole w chłodnym powietrzu dźwięki miasta nabrały wyrazu. Mary Frances wtuliła policzek w kołnierz płaszcza Tima.

– Nie będę naciskał – obiecał. – Wszystko zależy tylko od ciebie. Dostaniesz tyle, ile zechcesz.

Spojrzała na niego.

– Tyle, ile zechcę?

Tim nie odwrócił wzroku, ale nie rozmawiali więcej. Oddała mu płaszcz i wrócili do domu. Davis już poszedł, a Tim zajął jego miejsce. Claire, przerywając rozmowę o tym, jak ujarzmić trudnego konia, sięgnęła przez stół i uściśnęła bratu

dłoń, wpatrując się w niego z czułością.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– W najlepszym.

Tamtego wieczoru pani Parrish nalegała, by odeskortowali Mary Frances do pokoju.

– Tak trzeba, moja droga. To Nowy Jork.

– Na pewno nic mi nie grozi – orzekła Mary Frances, przyglądając się wykładanej żłobionym mahoniem ścianie windy. Istniało specjalne, francuskie określenie na ten typ okładziny. *Boiserie*. Miała wrażenie, że jej myśli kapią jak krople z kranu.

– Teraz my też mamy pewność. – Pani Parrish przy drzwiach pocałowała Mary Frances w policzki i wzięła Tima pod ramię.

– Dobranoc, moja droga – pożegnał się Tim, a ona patrzyła, jak oboje idą korytarzem.

Drzwi windy się zamknęły, Tim powiedział:

– Mamo, nie próbujesz chyba być moją przyzwoitką?

– Nawet nie przyszłoby mi to do głowy. A powinno?

– Jestem dorosły. Zakładam, że chcesz, żebym stosownie się zachowywał, nawet wtedy, kiedy ciebie nie ma w pobliżu.

– Cokolwiek to znaczy.

Tim się zaśmiał.

– Tak, cokolwiek to znaczy.

Gdyby tylko potrafił wyrazić w słowach, co tak naprawdę czuje teraz do Mary Frances, zrobiłby to bez względu na konsternację, jaką by wywołał. Nie zamierzał się kryć. Chciał ją rozebrać, poczuć pod sobą jej ciało, pomóc jej w pracy, a to sprawiło, że znowu zapragnął ją rozebrać, wolniej, do naga. Kiedy tylko coś mówiła, kiedy się śmiała, kiedy obserwował ją tego wieczoru w przyćmionym świetle w jadalni, przemknęło mu przez myśl, że kiedy matka uda się już na spoczynek, mógłby przekupić portiera, by dał mu klucz do pokoju Mary Frances i tym razem to on by do niej przyszedł.

Zostawił jednak sprawy w jej rękach. Owszem, bardzo chciał ją teraz zobaczyć, ale jeszcze bardziej ciekawiło go to, jak ona wykorzysta tę sytuację, jak spożytkuje czas na morzu i czy jemu starczy cierpliwości, by czekać.

– Czuję się jak dwunastoletni chłopiec – wyznał.

Jego matka się zaśmiała.

– To nie moja wina.

– Nie.

Tim przysunął zapalną do przygotowanych przez służbę polan w kominku. Matka otworzyła książkę. Tim zaproponował jej brandy, ale odparła, że dość już wypła.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, Claire całkiem nieźle sobie radzi – powiedziała.

Tim usiadł naprzeciwko niej. Brandy nie uśmierzyła świdrującego bólu w koniuszkach palców i między kośćmi udowymi.

– Wspominała o Charlesie?

– Nie wiedziałam, że dopiero dziś rano wyszedł ze szpitala.

– Zachowywał się, jakby wrócił z wycieczki za miasto.

– Charles choruje już od jakiegoś czasu. Ma swoje lata. Na pewno Claire jest na to przygotowana psychicznie, być może nawet od samego początku ich związku.

Nieustannie zadziwiała go typowo kobiece pragmatyczne podejście do rzeczy. Zastanawiał się, czy Mary Frances przygotowała się psychicznie na nadchodzące miesiące, czy właśnie o tym teraz myślała.

– Mamo, na pewno nie masz ochoty na brandy? Pomoże ci zasnąć.

– Nie, nie. Właściwie już zasypiam.

Wstała niepewnie, życzyła mu dobrej nocy, a on został przed kominkiem. Słyszał matkę w łazience, w szparze pod drzwiami widział, jak gaśnie światło w jej pokoju. Patrząc na zegar policzył, ile minut upłynęło, od kiedy zostawili Mary Frances, zastanawiał się, czy nie jest za późno, by ją obudzić, czy w ogóle o to mu chodzi i co by zastał w jej pokoju, gdyby się tam udał. Boże, ostatni raz tak dobrze czuł się przed wieloma laty. Nawet nie pamiętał kiedy.

Następnego ranka Tim odebrał pocztę z recepcji. Do Mary Frances przyszedł list. Zaniósł go do sali restauracyjnej, gdzie ona już czekała przy stoliku, w pąsowej jedwabnej bluzce skromnie wpuszczonej w spódnicę z paskiem. Położył kopertę przy jej talerzu.

– Dziękuję.

– Bardzo chętnie dowiem się, co słyhać u Ala – powiedział.

Rozerwała kopertę. Czytając, zasłoniła usta dłonią. Pismo Ala było drobne i zwarte. Jej wzrok przesuwiał się szybko po kartce w poszukiwaniu informacji, którą mogłaby się podzielić. Westchnęła.

– Wszystko w porządku? – zapytał Tim.

– Chyba jest niezadowolony. Góra prac do poprawienia, nedorzeczne pytania studentów. – Złożyła list i schowała go do koperty. – Nie pisze.

– Nie wiedziałem.

– Przestał, kiedy odszedł jego ojciec, a może nawet wcześniej. Nie rozmawiamy o tym. – Wbiła wzrok w talerz.

Przypomniał sobie, że to ona oceniała prace jego studentów. Czy Al próbował wzbudzić w niej wyrzuty sumienia, żaląc się, że teraz sam musi się tym zająć? To byłoby takie małostkowe, Tim zawstydził się, że w ogóle przyszło mu to do głowy.

– Może samotność dobrze mu zrobi – rozważał. – A może wymyślimy inne

rozwiązanie.

Zaśmiała się.

– Mnie nic nie przychodzi do głowy.

– Sekretarka.

– Której jego wdzięczność wystarczy za zapłatę? On potrzebuje tej pracy, ale jej nie chce. Pragnie pisać, ale nie może. Tymczasem... – Pokazała na siebie, a Tim spuścił wzrok. – Gdzie twoja matka?

– Rano jest w stanie zjeść najwyżej jedną grzankę. Mary Frances, jeśli ty będziesz się martwić o Ala, to ja też.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego, marszcząc wspaniałe brwi.

– Ja też nie mam nic prócz wdzięczności, doktorze Parrish. Jest pan pewien, że to wystarczy?

Właśnie taką ją zapamiętał.

Przed rozpoczęciem rejsu musieli załatwić jeszcze jedną rzecz – odwiedzić wydawcę Claire. Po południu przysłała po nich kierowcę z wiadomością, że niestety, z powodu przyjęcia i Charlesa, nie będzie mogła im towarzyszyć.

Mary Frances, obserwując, jak miasto formuje się za oknem niczym kryształ, starała się pamiętać o oddychaniu.

– Czego mogę się spodziewać? – zapytała.

– Niczego nadzwyczajnego, moja droga. Wejdiesz do gabinetu pełnego starców. Jak tylko ich zobaczysz, będziesz wiedziała, co z nimi zrobić.

– Czy oni to czytali? Powiedzą mi o... Sama nie wiem. Powiedzą mi, co o tym myślą?

– To biznes jak każdy inny, Mary Frances. Nie poświęciliby ci czasu, gdyby się nie spodziewali, że coś zyskają w zamian.

Jej rzucona od niechcienia przy śniadaniu uwaga teraz do niej wróciła, było w niej więcej prawdy, niżby sobie tego życzyła. Nie mogłaby odpłacić Timowi za czas, który jej poświęcił. Co miałyby mu dać? Powinna raczej zapytać, co jej zostało do dyspozycji.

Samochód zatrzymał się przy chodniku, Tim podał jej ramię i weszli do grafitowych biur Harper & Bros. Ostatnia opublikowana przez nich książka, jaką przeczytała Mary Frances, była napisana przez Ednę St. Vincent Millay.

Tim szepnął coś do sekretarki, usiedli i po chwili wstali. Otworzyły się drzwi do gabinetu podobnego do tego, w którym rezydował Rex, dwóch starszych mężczyzn podniosło wzrok znad stron rozłożonych na biurku z orzechowego drewna.

– Mój Boże, Hamish. Spójrz, kto przyszedł.

– M.F.K. Fisher. Trzeba było nas uprzedzić, że jest pani młoda i piękna. Nasze serca nie są już tak mocne jak niegdyś.

– Panie Saxton – Mary Frances uściśnęła mu rękę – co by ze mnie była za

pisarka, gdybym od razu wyjawiała wszystkie tajemnice?

Mężczyźni się zaśmiali. Tim odsunął dłoń od jej biodra.

– Panowie – powiedział i wyszedł.

Uwielbiali ją. Za to, że podróżowała, czytała i z niejednego pieca chleb jadła. Za to, że nie była strażniczką domowego ogniska, panią Takatoataką, a czegoś takiego jak jej manuskrypt nigdy nie czytali, nic podobnego nie wyszło spod pióra żadnego pisarza ani żadnej pisarki. Historia kulinariów i jedzenia opowiedziana z osobistej perspektywy. Chcieli czterdziestu pięciu tysięcy słów tak szybko, jak to tylko możliwe. Zamierzali opublikować książkę tutaj i w Londynie, w wydawnictwie Hamisha Hamiltona. Zaproponowali jej kontrakt, jeśli tylko ona przystanie na ich warunki.

– No i? – Tim się zaśmiał. – Co ty na to?

– Och, tak. Tak!

W ciemnym barze na parterze hotelu Warwick wznosił za nią toast szampanem. Mówił jej, jak bardzo jest szczęśliwy i dumny, od początku wiedział, że jej się uda.

– Muszę napisać do Claire z podziękowaniami – powiedziała. – I do Ala.

– Zadzwoń do niego. Możesz skorzystać z telefonu na górze.

Nie zrobiła tego.

– Oczywiście, że chciałabym powiedzieć mu o tym wszystkim.

– Ale?

– Wiem od pana Hamiltona, że przysłano do mnie list. Pewnie przyszedł po moim wyjeździe, tymczasem Al o tym nie wspomniał ani w trakcie naszej rozmowy telefonicznej, ani w liście. Przecież widział adres nadawcy. Harper to znane wydawnictwo.

– Twój sukces nie jest jego porażką, moja droga.

– Nie. Oczywiście, że nie.

Wiedziała, że to prawda. Czy jednak wydawcy zwróciliby uwagę na jej twórczość, gdyby Tim ich o to nie poprosił? Czy on wyświadczyłby jej tę przysługę, gdyby wciąż mieszkała w Lagunie, zapraszała jego i Gigi na potrawkę i kalifornijskie wino?

– No cóż. – Tim odchylił się od baru. – To pewnie może poczekać.

– Chyba tak. – Mary Frances dopiła drinka. – Chyba tak.

Przyglądała się temu, co się wydarzyło, niczym ptakowi, który przysiadł na palcu, i czuła się jak we śnie. O północy biała Hansa odcinała się od przystani, powietrze było lodowate, zbyt zimne, by mógł spaść śnieg i by dało się myśleć. W ciemności rozlegał się tylko przenikliwy głos pani Parrish, której nie zamykały się usta, a Tim zdawał się wszędobylski.

Spośród wszystkich wchodzących na pokład pasażerów ich grupka była najbardziej trzeźwa. Wypili po jednym drinku do kolacji, a potem uczcili początek

wyprawy za ocean butelką chambertina. Nie znali też żadnych biesiadnych przyspiewek z ogródków piwnych.

– Nigdy nie wiadomo, z kim przyjdzie nam jeść lunch – zawyrokowała pani Parrish.

– Mam złe przeczucia – powiedziała Mary Frances.

– Na pewno cię nie mylą.

Steward o twarzy tak czerwonej i kostropatej, że przypominał ugotowaną krewetkę, zaprowadził ich najpierw do apartamentu pani Parrish. W saloniku stał stolik do gry i sekretarzyk, zza którego rozciągał się widok na czarną otchłań morza. Przestrzeń nie została podzielona na tak lubiane przez Mary Frances przedziały, jak w pociągu, który przewiózł ją przez cały kraj. Wiedziała, że przyjdzie jej spędzić podróż w znacznie mniejszej kabinie pod pokładem. Liczyła na odrobinę prywatności. Kiedy jeszcze w Kalifornii wyobrażała sobie tę wyprawę, samotne chwile jawiły jej się jako momenty wytchnienia i tylko na tym się koncentrowała. A teraz, w obecności Tima, musiała podjąć decyzję, czy spędzać czas z nim czy bez niego. Co miało stać się potem? To natrętne pytanie narzucało rytm jej myślom.

Słyszała śpiew i śmiech niosące się nad pokładami, trajkotanie kobiet, które już zaczęły sobie folgować. Ten statek kojarzył jej się z bardzo porządnym, czystym burdelem.

– Z Alem wracaliśmy do domu z Dijon niemieckim liniowcem – oznajmiła. – Pełno było na nim Amerykanów.

– Inne czasy – powiedziała pani Parrish.

– Pamiętam jednak pewną kobietę, która dosiadła się do nas podczas lunchu. Niedługo po ślubie uciekła z Włochem i matka wiozła ją z powrotem do domu. Opowiadała swoją historię z takim dziwnym światłem w oczach, razem z matką raz po raz chwytaly się za ręce, jakby były w operze.

– Właśnie tego najbardziej się obawiam – przyznała pani Parrish. – Jeśli nie zachowuje się ostrożności, na morzu można dowiedzieć się najdziwniejszych rzeczy o współpasażerach.

Tim siedział na brzegu łóżka z grubą mięsistą narzutą, z nogą założoną na nogę. Obserwował Mary Frances, podczas gdy jego matka komenderowała stewardem.

– Wiozła ją – powtórzył. – Do męża?

Mary Frances skinęła głową. Nagle zachciało jej się płakać. Wpakowała się w tarapaty i spaliła za sobą wszystkie mosty. Na litość boską, wyrusza w rejs. Tim ma rację. Co chce zrobić dalej? Jaki ma wybór?

Przycisnęła dłonie do oczu i szybko wstała. Nie zamierzała zachowywać się melodramatycznie, bez względu na okoliczności. Nie chciała wyjść na ostatnią naiwną.

– Jesteś zmęczona – powiedział Tim. – Mamo, pozwól jej odejść.

Steward zaprowadził Mary Frances korytarzem do jej kajuty. Odwróciła się, Tim stał w holu.

– Wiesz – powiedział jak gdyby nigdy nic – nie każdy problem da się rozwiązać jak za pstryknięciem palców.

– Wiem – odparła.

– Spędzimy tydzień na morzu – oznajmił.

– Tak.

– Ach, Mary Frances. Dobranoc.

Odesłał stewarda i zamknął za sobą drzwi. Była idiotką, pruderyjną, tchórzliwą pensjonarką. Osunęła się na różaną wykładzinę. Wydawało jej się, że jakoś sobie da radę, przejdzie nad tym do porządku dziennego, ruszy dalej, wyjdzie z tego bez szwanku, tymczasem teraz jej apetyty wydawały się bezbrzeżne i nieposkromione. Może jest na zawsze skazana na to, by czegoś pragnąć – po Timie przyjdzie jej ochota na coś innego. Może nigdy nie zaspokoi głodu.

Później, tej samej nocy, kiedy wpatrywała się w sufit, usłyszała ciche pukanie do drzwi. Może do jej kajuty, może do sąsiedniej albo którejś w tym samym korytarzu. Chciała, by to był Tim. Tak bardzo tego pragnęła, żeby do niej przyszedł, że nie dała rady wstać i sprawdzić. Pukanie ucichło, statek odbił od brzegu, ale ona nie machała, nie wiwatowała wśród tłumu, wzlatujących wstęg i serpentyn oraz wznoszonych w górę kieliszków.

Następnego ranka stała na pokładzie w mroźnym lutowym wietrze, by wymierzyć sobie samej karę. Wokół niej bezkresny ocean o barwie i fakturze nieba – ustawione naprzeciw siebie lustra odbijające się nawzajem w nieskończoność. Zapięła płaszcz pod samą szyję, zakryła uszy szalikiem i otuliła się rękami. Znalazła się w próżni, w wielkim nigdzie, bez kraju, rodziny, męża i domu. Jak długo może jeszcze udawać, że dwa życia, które prowadziła, jedno w środku, a drugie na zewnątrz, liczą się jednakowo, skoro dzielącej je granicy już nie podtrzymuje?

Odwróciła się od balustrady i zauważyła, że z baru obserwuje ją jakiś młody mężczyzna, popijając kawę. Poczwała, że wraz z ruchem statku jej wnętrzości przemieszczają się delikatnie w stronę kręgosłupa, a ich ruch, choć nieznacznym, przyprawił ją o mdłości. Mężczyzna uniósł filiżankę w jej kierunku. Najpierw musiała się czegoś napić.

Kiedy zapukała, Tim otworzył, a ona przestępując przez próg, zaczęła ściągać ubranie. Zamknęła oczy, by nie widzieć jego dżentelmeńskiego uśmiechu, pod palcami czuła guziki bluzki, jeden za drugim. On objął jej twarz, jego pocałunek przypomniał jej o tych, którymi obdarowywano ją po każdej potańcówce w szkole z internatem. Były delikatne, ciepłe, przyjemne i o wiele za krótkie

– Tak się cieszę, że tu jesteś – powiedział.

– Och, mam nadzieję. Zgaś światło.

Jej słowa zabrzmiały wyzywająco, wciąż czuła w gardle ostry smak whisky wypitej w barze. Zsunęła z bioder spódnicę, zdjęła halkę przez głowę. Jej zachowanie nie wydawało jej się ani subtelne, ani właściwe, po prostu parla naprzód. Kiedy rozdygotanie przyprawiło ją o łzy, Tim zgasił lampkę przy łóżku i oboje runęli w przepaść.

Dopiero później, gdy pod byle pretekstem odrzucili zaproszenie jego matki na lunch, zdarli adamaszkowe prześcieradło z materaca, rozrzučili poduszki na podłodze, Mary Frances stuknęła nadgarstek o wezgłowie, rozbiła szklankę, otarła skórę na kości ogonowej, a pokój wypełnił się wszystkim, co wydobyli z siebie nawzajem, dopiero dużo, dużo później opuścili ich rozpacz.

Leżeli obok siebie w poprzek gołego materaca, Mary Frances z twarzą wtuloną w zgięcie łokcia, podobna do śpiącego ptaka. Jej ciemne włosy spływały na podłogę. Wokół nich wsuwki wałały się wśród odłamków rozbitej szklanki i drobin pierza, wszystko to przypominało szczątki jakiegoś żyjątko. Tim żałował, że nie ma przy sobie szkicownika. Miał pustkę w głowie, nie wystarczyłoby mu siły na kolejny raz, był zmęczony i głodny, wyczerpał wszystkie zasoby.

Otworzył usta, by znowu powiedzieć jej, jak pięknie wygląda. Ona odsłoniła twarz, spojrzała na niego kokieteryjnie i kusicielsko spod swoich wspaniałych brwi i dopiero po chwili uświadomiła sobie, co on zamierza powiedzieć.

Błyskawicznie zasłoniła mu usta dłonią.

– Ani mi się waż, Dillwynie Parrish. Nie po to przejechałam taki kawał drogi, żeby być protekcyjnie traktowana.

Chwycił jej dłoń i pocałował ją w nadgarstek. Mięśnie jej klatki piersiowej naprężyły się i uwypukliły, by podtrzymać ramiona, by nie dopuścić go do głosu, tyle w nich było cudownych zagłębień. Wsunął rękę pod jej ramię. Przed przyjściem nie wzięła kąpieli, szorstkie włoski były śladem po długiej podróży. Zmierzała prosto do niego, a teraz jego dłoń idealnie dopasowała się do jej ciała, palce objęły łopatkę, odczuł taką pełnię, że nieomal westchnął.

Ułożył ją na plecach. Przesunął dłonią między jej nogami i w poprzek ud śliskich jak farba. Pieścił ustami jej biodra, schodząc coraz niżej. Powstrzymywała go, ale on ją uciszył, przypomniawszy, że nie po to przejechała taki kawał drogi, by być protekcyjnie traktowana.

Nigdy wcześniej nie uświadamiała sobie, ile delikatnych doznań można wyzwolić ustami, nigdy o to nie prosiła, teraz wszystko nabierało sensu, jakby nawlekła igłę, wilżąc nitkę w wargach i wsuwając ją przez dziurkę. Zostali kochankami z gorącej krwi i kości, nie pozostało im nic innego, jak skoczyć na główkę i zniknąć pod wodą.

Wschód słońca na morzu był jak puszczanie krwi. By go obejrzeć, Mary Frances nie spała całą noc. Była cała obolała. Tim spał obok, jej biodro przylegało

do jego pleców. To, że był nagi, dziwiło ją równie mocno jak jej własne reakcje na jego ciało. Za szybą pulsowało niebo.

Jej dłoń wsunęła się w jego siwe włosy, poruszył się i odwrócił do niej.

– Jak twoim zdaniem mam stąd wyjść?

– Lepiej ci idzie włamywanie się, prawda?

– Jest ranek. Wszędzie kręcą się stewardzi.

– Ci, którym daję sowite napiwki?

– Tak czy inaczej, za chwilę się tu zjawią. Muszę iść.

Tim chwycił ją za piętę, wciskając jej plecy w wezłowie.

– Nie muszę im otwierać. – Jego usta odnalazły zagłębienie pod jej kolanem. – Nic nie musisz robić.

Oczywiście nie zamierzała go słuchać.

Co rano pisała do Ala, siedząc przy biurku w swojej kabinie. Dopiero po jakimś czasie się zdomowiła, horyzont był tak daleko, wokół jak okiem sięgnąć tylko ocean. Czuła, jak się rozdwa, wszystko wydarza się dwukrotnie, wypełniała stronę za stroną, jakby chciała mu udowodnić, jak pilnie pracuje.

„Kwiaty są wszędzie – pisała – w ogródkach i terrariach, jest ich tyle, że co rusz wydaje mi się, iż przedzieram się przez ścianę aromatów, lilie wielkie jak pięść, chryzantemy, orchidee. Nigdy nie więdną. Na pewno chyłkiem opiekuje się nimi sztab stewardów zatrudnionych tylko w tym celu”.

Którejś nocy, kiedy Tim stanął w progu jej kajuty, ukradziony przez niego bukiet zmiażdżony między ich ciałami wydzielał ostrą, roślinną woń. Lilie orientalne – wyjaśnił. – Casablanca, największa lilia na świecie. Później obsypał jej biodro żółtym pyłkiem, kwiaty nie były przeznaczone do wazonu.

„Posiłki wydawane są bez przerwy – pisała. – Zachwyciłbyś się dziwnym, popołudniowym szwedzkim bufetem z przekąskami, marynowanymi warzywami, wędlinami i twardymi kielbaskami, które pachną jak podłoga spiżarni, gdzie dojrzewały. Szef kuchni potrafi przygotować krystalicznie klarowny bulion”. Pewnego słonecznego dnia, kiedy na pokładzie zrobiło się cieplej, razem z Timem usiedli obok siebie z kubkami na leżakach, opatuleni kocami, jej ciało wciąż pamiętało poprzednią noc, poranek już się rozpromienił na myśl o tej, która nadejdzie, bulion z kubków ogrzewał jej dłonie, a potem jej wnętrze, kiedy zmierzał do żołądka, woda i wiatr tłumiły głos Tima, który sporządzał bilans przyjemności i wydatkowanych sił, z taką czułością planował zajmowanie się zaniedbanymi częściami jej ciała: A co z twoimi kostkami, Mary Frances? A co z twoim małym palcem u nogi?

Jeśli akurat nie towarzyszyła im pani Parrish, zostawali sam na sam, wtedy mogli zachowywać się, jak chcieli, i mówić bez ogródek. Ich bez troska była wspaniała i przerażająca. Pasażerowie gapili się na nich, kiedy w kawiarni Tim kładł głowę na jej kolanach, albo w barze, późną nocą, w otoczeniu wstawionych

Niemców, wsuwał dłoń za głębokie wycięcie na plecach jej wieczorowej sukienki.

„Panią Parrish niezwykle bawi to, że co chwila coś dla ciebie zachowuję, ale wiem, jak bardzo jej się to podoba. Co rusz coś przypomina mi o naszych rejsach, holenderskich stateczkach i frachtowcach, o dziwnej, magicznej atmosferze, która towarzyszy mi do dziś i będzie towarzyszyć w przyszłości. Ciekawe, co teraz robisz, kiedy u nas jest ranek, a u ciebie jeszcze noc, a ja wspominam, co robiliśmy wtedy, rano, o świcie, pośrodku oceanu, płynąc po raz pierwszy do Francji. Tak wyraźnie dostrzegam te paralele, Al. Na morzu przypominam sobie poprzednie rejsy, one wszystkie nakładają się teraz na siebie.

Tim chyba się otrząsnął. Wygląda dobrze i zdrowo, trzyma się prosto tak jak dawniej i najwyraźniej dobrze mu robi podróż w towarzystwie matki. Rzadko wspomina o Gigi, a jeśli mu się to zdarzy, to mówi o niej jak o zwierzątku, które uciekło mu, kiedy był dzieckiem. To chwile ulotnej, ale jakże prawdziwej melancholii. Wiem, że zawsze będzie ją kochał”.

Tak naprawdę Tim ani razu o Gigi nie wspomniał. To Mary Frances jeden raz zapytała go, czy dostał od niej jakieś wieści. Wypowiedzenie nagłos jej imienia było zupełnie czymś innym niż pisanie o niej w liście. Widziała, jak jej imię przemyka po jego twarzy niczym fala wywołana przez kamyczek wrzucony do spokojnego stawu.

– Nie – odparł. – Nie dostałem. Na pewno już wyszła za męża. Zamierzała to zrobić tak szybko, jak tylko się da.

Chciała zapytać, czy wciąż go to smuci, ale nie chciała tego od niego usłyszeć. „Masz od niej jakieś wieści, Al? Może wpadłeś na nią w mieście? Czy razem z Johnem wyjechali do Laguny?”

Powinieneś przenieść się do ich domu, jak zrobi się cieplej. Albo jedź już teraz, rozpal ogień, wyjrzyj przez okno i patrz na morze. Tam jest tak spokojnie, jak w pierwszych dniach po naszym ślubie.

Wciąż zastanawiam się nad naszymi planami. Może nie jest mi dane, bym nosiła pod sercem dziecko, i musimy pogodzić się z losem. Na świecie jest tyle dzieci. Na pewno jedno z nich nas zechce”.

Po płaskiej, wewnętrznej stronie uda Tima wyczuła pod opuszką palca okrągłe zgrubienie. Równowaga została zachwiana.

– Przeszedłem gruźlicę.

– Tutaj?

– No cóż. Tędy ze mnie wyszła. Musieli to wyciąć.

Objęła go ramieniem, a on leniwie wypuścił powietrze z płuc. Jego ciało poruszało się wbrew oddechowi: to, co powolne, przyspieszało, to, co miękkie, naprężało się.

– Ale teraz wszystko gra – powiedziała.

– Nie wszystko.

Potraktowała to jako kolejny znak. Mimo to jak zdyszani sportowcy odrywali się od siebie, jedli przynoszone przez stewardów na tacach do jej pokoju kanapki z krwistym rostbefem wołowym i pili szampana, zamawiali ciemne piwo do jego kajuty, czasem podpierali się o ściany, otulali się sobą jak tkaniną. Prosiła, by choć przez minutę jej nie dotykał, przeciągała smukłe, białe plecy na krześle, on patrzył na jej unoszące się biodra, uznając to za wyzwanie. Zaczynali ponownie, jak akrobaci, dynamicznie, nie po to, by kulminować, ale by przedłużyć sam akt. Niekiedy nie była pewna, czy Tim doszedł, jego ramiona unosiły się, by wyjść jej na spotkanie, mała, gorąca kula, którą razem stworzyli – wciąż ją kształtowali, pracowali nad nią – łączyła ich i należała tylko do nich.

„Wszystko w porządku, Al – pisała. – Wiem, że nie ma pośpiechu, bo po moim powrocie będziemy mieć całą wiosnę i lato, by się nad tym zastanowić. Wbrew temu, jak się czujemy, wciąż jesteśmy młodzi, a przed nami długie, wspaniałe życie. Czuję, że stanęliśmy u progu czegoś ważnego. Kto wie, co jeszcze nas czeka?”. Kto wie?

Nie wspomniała o spotkaniu z redaktorami z Harper. Czekwała, aż on poruszy ten temat.

Po napisaniu listu wstawiała od biurka i robiła sobie kąpiel, ostrożnie gospodarowała buteleczką fiołkowego olejku zabraną z hotelu Warwick, od stóp do głów szorowała się twardą, białą myjką. Ubierała się, a potem w drzwiach stawał Tim i pytał, czy skończyła zajmować się korespondencją, ona pokazywała na list leżący na biurku i wtedy dawała sobie przyzwolenie na to, by wypadki toczyły się dalej. Szła z nim na piwo przed lunchem do baru, w którym już tłoczyli się Niemcy, Tim nie rozstawał się ze szkicownikiem, a ona z notesem, siedzieli w milczeniu, czekając na panią Parrish.

Uwielbiała pisać u boku Tima, notowała wszystkie mądre uwagi, jakie między sobą wymieniali, zamiast prowadzić zwyczajną rozmowę, zapisywała wybrane zdanie albo myśl. On szkicował Mary Frances, czasem patrząc na nią, kiedy siedziała, innym razem z pamięci, wspominając poprzednią noc albo popołudnie, łuk jej pleców nad oparciem krzesła, same jej usta, rozchylone wargi.

W restauracyjce z klatkami dla ptaków w towarzystwie pani Parrish jedli włoskie, szwedzkie i meksykańsko-niemieckie potrawy, ciężkie i tłuste, smaczne i dziwne. Potem zabawiali ją rozmową, grą w karty albo brali ją na koncert, dla niej wymieniali się powieściami ze współpasażerami i wymyślali jakiś pretekst, by zostać sam na sam. Mary Frances często zapomniała okrycia. Tim co chwila sprawdzał prognozę pogody. Jeśli jechali w windzie sami, całował ją. Na pustych schodach wsuwał jej dłoń pod sukienkę. Pokonywali tak dwa, trzy stopnie. Tutaj nikt ich nie znał. Podsuwał jej ramię, a ona wtulała się w niego, jej głowa odchylała się jak kwiat na łodydze, jak cudownie, jak doskonale do siebie pasowali, jak klucz do zamka.

Nie rozmawiali, jakby nie mieli o czym, a może liczyli na to, że czas na rozmowy przyjdzie później, mimo to przepływał między nimi żywy, wartki nurt.

Zaczęli traktować statek jak swoją prywatną własność, miejsce, w którym wszelkie zasady tracą moc. Po lunchu przechadzali się po pokładzie smagani przez bezwzględny morski wiatr, a potem grali w cribbage w kajucie pani Parrish. Mary Frances brakowało cierpliwości do tej gry, dlatego przynosiła ze sobą notatnik i pisała. Ze zdumieniem zauważyła, jak trudno ludziom znaleźć jakiś przyjemny temat do rozmowy, choć wytrwale próbowali nawet wtedy, kiedy wszelki wysiłek zdawał się próżny. Potraktowała to spostrzeżenie jako lekcję – staramy się nawiązać kontakt z miejscem i otaczającymi nas ludźmi, choć powinniśmy dać za wygraną. Ale kto ją otaczał? W pustej kajucie czuła obecność Tima, coś w niej iskrzyło i wznosiła się ku niemu, a kiedy jej dotykał, jej umysł był jednocześnie wszędzie i nigdzie. Ale tutaj, by być tutaj, by móc tu być, co rano po przebudzeniu pisała list do Ala.

W noc poprzedzającą przybicie do brzegu w Cherbourgu mała jadalnia przekształciła się w las. Sosnowe gałązki zdobiły framugi, roztaczając wokół świeży zapach, za nimi kryli się chłopcy okrętowi z gwizdkami wydającymi ptasie odgłosy, ich trele rozbrzmiewały z każdego kąta. To miała być uczta na leśnej polanie, jakaś bawarska tradycja, z kuchni wnoszono półmiski z pieczonymi dzikami, bażantami i pstrągami, z ziemniakami, kielbasami i sznyclami.

Pani Parrish klasnęła jak dziewczyna na potańcówce.

– Czy to nie cudowne? – zaszczebotała. – Tylko spójrzcie na te świerkowe gałązki! Gdzie oni je przechowywali?

Mary Frances nie miała pojęcia.

Tim obserwował wszystko w milczeniu. Z baru nadeszli pijani Niemcy z kieliszkami do szampana pełnymi wiśni, prowadząc pod rękę swoje postawne żony z obfitymi biustami, z pieśnią na ustach. Chłopcy okrętowi ćwierkali i świergotali, Niemki śmiały się piskliwie, z kuchni stewardzi w białych marynarkach wnosili na jednej ręce półmisek za półmiskiem. W Kalifornii ustawiały się kolejki po chleb. Las pełen dzikich zwierząt pośrodku Atlantyku wydawał się równie absurdalny.

Oczywiście rozległy się pieśni, wiwaty i toasty, wyłącznie po niemiecku. Wokół narastał hałas, a Mary Frances pałaszowała z takim zapamiętaniem, jakby nie jadła od tygodnia. Kobiety o obfitych kształtach pokazywały na nią ze śmiechem. Niektóre miały na głowach filcowe kapelusiki z piórem. Inne włożyły dirndle i fartuszki. Podszedł steward z tacą pełną pukawek i koszykiem kulek z waty.

– Na ptaki – wyjaśnił. – Do strzelania.

Mary Frances się nachyliła.

– Do chłopców okrętowych czy siebie nawzajem?

Tim pokręcił głową. Nie wiedział. Steward obszedł całą salę, pierwsza kulka wzbija się w powietrze, za nią wzleciały kolejne. Po chwili było ich całe mnóstwo.

Tim mocował się z kurkiem pukawki, próbując ją załadować. Robiło się coraz głośniejsze, śmiech stawał się szorstki, a zabawka przyprawiała Tima o coraz większą frustrację, próbował dostać się do środka za pomocą nożyka do masła, mamrocząc coś pod nosem, kiedy nagle pani Parrish zapiszczała:

– Coś takiego, coś takiego, trafiłam go!

Mary Frances zobaczyła jednego z Niemców w smokingu, który odwrócił się zgięty w pół, trzymając się za kark. Podniósł z podłogi nie wacianą kulkę, lecz okrągłe czerwone winogrono, jedno z tych, które leżały pośrodku stolika pani Parrish.

– Mamo – powiedział Tim – gdybyś poczekała chwilę, rozpracowałbym to.

– Idzie tu, idzie tu. – Pani Parrish wzięła widelec i napchała usta pieczenią z dzika.

Tim odłożył pukawkę.

– *Guten Abend* *. – Mężczyzna miał ziemistą cerę, napiętą skórę. Jego uśmiech wyglądał tak, jakby naciągnięto mu go na twarz. Z gracją uklonił się w pas, a Tim wstał. Mężczyzna wyciągnął rękę, po jego dłoni potoczyło się winogrono.

– *Gehört das Ihnen***?

– Proszę wybaczyć – powiedział Tim. Uniósł głowę i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu stewarda. Wszyscy się odwracali albo byli czymś bardzo zajęci, natomiast pani Parrish zjadła w najlepszym. – Nie rozumiem.

– *Ihre Waffe zu haben scheint Befeuert. Ihre Gun. Diese Gun. Ja****?

– Przepraszam. – Tim spojrzał na Mary Frances zakrywającą dłonią usta. – To był wypadek.

– *Ein Unfall. Ein Spiel* ****. Gra, tak? – Niemiec znowu się uśmiechnął i popchnął winogrono, by potoczyło się na stół obok talerza Tima. – *Kraft durch Freude*.

Jeszcze raz się uklonił, a Tim powtórzył po niemiecku jego ostatnie słowa, „*Kraft durch Freude*”, jakby niniejszym uznał sprawę za załatwioną. Powtórzył je jeszcze raz do siebie, a potem ponownie do mijającego go stewarda, którego złapał za rękaw.

– „Siła przez radość”, proszę pana. Dziś wielu Niemców podziela pogląd, że poprzez radość można odnaleźć siłę.

– Oczywiście – przytaknął Tim.

– Potwornie mi wstyd – wyznała pani Parrish. – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Już dobrze, mamo. Twój Niemiec okazał się wyrozumiały. Poza tym to oni rozdali broń.

Jednak ani Tim, ani jego matka nie dokończyli posiłku. Mary Frances uświadomiła sobie, że ci Niemcy otaczali ich przez cały rejs, a ona nie zamieniła z nimi ani słowa, zaledwie witała ich skinieniem głowy w korytarzu, zauważając ich obecność na pokładzie. Tak naprawdę statek należał do nich.

Powoli dobiegał końca spektakl odgrywany przez ćwierkających chłopców. Ich gwizdy i świsty cichły, Niemcy wstawali od stolików z pucharami pełnymi wiśni, wracali do kawiarni, baru, do lokali na innych pokładach. Mary Frances i Parrishowie zostali na miejscu, a chłopcy okrętowi powoli wychodzili z ukrycia, strząsając igły z włosów.

Tim zamówił kolejną butelkę wina. Chłopcy zaczęli demontować las. Stewardzi wynosili półmiski z resztkami jedzenia do kuchni i nakrywali stoliki czystymi, białymi obrusami, przygotowując je do śniadania. Wszyscy zdawali się spowici całunem. Żadne z nich nie chciało wstać pierwsze i go rozerwać, choć w kieliszkach zostało im już po jednym łyku. Stewardzi skończyli pracę, szpaler młodych mężczyzn w białych marynarkach stał w gotowości przy drzwiach kuchennych, czekając, aż Amerykanie wreszcie sobie pójda.

Leżeli w jej kajucie jeszcze długo po tym, jak powiedzieli sobie dobranoc, pod nimi statek kołysał się w górę i w dół. Mary Frances chciała zapytać Tima, czy się boi, ale po wszystkim, co zrobili, pytanie to wydało jej się zgoła niedorzeczne. Ostatnio tylko takie rzeczy przychodziły jej do głowy.

– Tim?

Oddychał równo i głęboko.

– Co się stanie jutro?

– No cóż. – Przewrócił się na bok, jego usta zbliżyły się do jej ucha. – Przybijemy do brzegu. Drogą lądową pojedziemy do Paryża. Chyba pociągiem. Mają tam wagony sypialne, ale nie sądzę, byśmy zdążyli skorzystać z łóżek.

– Będzie inaczej.

– Skąd ta powaga?

Nic nie odpowiedziała, a on nie próbował spojrzeć jej w twarz.

– Tak – powiedział wreszcie. – Będzie inaczej. Niż tutaj.

– Na morzu wszystko wydaje się możliwe.

Kiedy wysiedli na ląd, przejechali pociągiem z Cherbourga do Paryża przez mokry, szary wiejski krajobraz. Panią Parrish wyraźnie coś niepokoiło. Prowadziła z Timem rozmowy tak prywatne, jakby Mary Frances przy nich nie było.

– Naszły mnie wątpliwości, Timmy. Chyba jestem za stara na taką wyprawę.

– Co za niedorzeczność, mamo.

Pani Parrish westchnęła.

– Dopiero co wysiadłaś ze statku, a już wyruszyliśmy w kolejną podróż. Wciąż dochodzisz do siebie. Wystarczy ci drzemka i posiłek, a wtedy zobaczymy, czy ktoś cię powstrzyma.

Tim skrzyżował nogi, nonszalancko otwierając gazetę, choć jego francuszczyzna nie była aż tak dobra, by mógł swobodnie czytać. Mary Frances z zaciekawieniem mu się przyglądała, kiedy dodawał matce animuszu. Zastanawiała się, gdzie się nauczył tak postępować z ludźmi. Każdego potrafił postawić na nogi.

– Chętnie pójdę z panią do wagonu restauracyjnego – zaproponowała Mary Frances.

– Nie, moja droga, nie trzeba. Bagażowy zaraz tu przyjdzie. Na pewno są tu bagażowi.

– To żaden kłopot. Na statku nabrałam apetytu. Teraz ciągle jestem głodna.

– Istotnie zdrowo wyglądasz, moja droga. Mimo wszystko, Timmy, proszę, wezwij bagażowego.

Tim złożył gazetę.

– Oczywiście.

Rozsunął drzwi przedziału, a przechodząc obok niej, prawie niezauważalnie musnął jej kolana. Pani Parrish miała tak zdecydowane poglądy na to, co jej wypada, co wypada Timowi, co mogła robić sama, a kiedy powinien jej ktoś towarzyszyć. Mary Frances wciąż uczyła się swojej roli i orientowała się w wymaganiach, jakie jej stawiano. Miała ochotę wychylić się za barierkę i sprawdzić, co się stanie, gdy przekroczy granice.

– Czy wolno mi zapytać, o co chodzi?

Pani Parrish wbiła wzrok w Mary Frances, w okamgnieniu młodziej. Wyglądała jak ktoś, kto potrafi znacznie więcej, niż tylko gderać i się zamartwiać.

– Stare dzieje – odparła. Westchnęła, a to, co sobie przypominała, gdzieś przypadło. – Mam już swoje lata, moja droga. Kto chce być stary?

– Przecież od tak dawna czekała pani na tę podróż.

– A teraz nie mam już na co czekać.

Pani Parrish odwróciła się do okna, za którym pędził krajobraz. Mary Frances podążyła za jej spojrzeniem. Pociąg jechał z zawrotną prędkością. Przypominała sobie, że dokładnie tę trasę przemierzyli z Alem podczas miesiąca miodowego, jadąc do Dijon przez Paryż. Poszli do wagonu restauracyjnego, gdzie zamówiła swój pierwszy francuski posiłek, dobry chleb, dobrą szynkę i masło, do tego butelkę szampana, a kiedy jedli, siedząc naprzeciw siebie, wydawało jej się, że zaraz eksploduje ze szczęścia.

Po powrocie Tima obie siedziały, podpierając brody dłońmi, każda w niedosiężonej dali. On znowu otworzył francuską gazetę i wpatrywał się w słowa, aż zaczęły się ze sobą zlewać i rozrastać, tworzyć czarne kłęby, jak chmury w negatywie. Potrafiłby wróżyć z tej gazety, choć nie umiał jej przeczytać, ale nie miał pojęcia, co zaszło w przedziale pod jego nieobecność.

W recepcji hotelu na Mary Frances już czekała poczta, jeden list od Ala

i dwa od Edith. W Whittier było zimno, Anne, Norah i David wyjechali, Mary Frances wyjechała, nowy wydawca dawał się we znaki Rexowi, więc Edith nie miała się czym zająć. „Tęsknię za tobą, Dote – pisała. – Nic nie sprawia mi większej radości niż nasze rozmowy, kiedy zaczynam wyczuwać czekające już w kulisach rozedrgane emocje”.

Mary Frances zabrała pozostałe listy do baru. Zamówiła jedną whisky, potem drugą, wypaliła jednego papierosa, potem drugiego. Choć zjeździła świat i mieszkała z Alem we Francji, po raz pierwszy poczuła się tak daleko od domu rodzinnego. Kiedy sięgnęła po list od Ala, miała już siłę tylko na to, by go pobieżnie przejrzeć.

Tim usiadł na sąsiednim krześle i zamówił piwo.

– Całkiem nowoczesny hotel – pochwalił. – Jak cały Paryż.

– Twoja matka będzie rozczarowana.

– Moja matka ma niespożyte siły. Rozczarowanie Francją nie wchodzi w grę.

Mary Frances schowała listy do torebki, by przeczytać je później, kiedy nabierze sił.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Oczywiście, że nie. Trudno być w dwóch miejscach naraz.

– Mówisz o sobie?

Być może nie chciała usłyszeć odpowiedzi na to pytanie, dowiedzieć się, że ma co do niej mieszane uczucia, bo myśli o kimś innym, ale oni dawno już przywykli do wzajemnej szczerości i słowa wydobyły się z jej ust, zanim zdążyła się nad nimi zastanowić.

Tim bezwiednie bawił się serwetką. Wreszcie podniósł wzrok, a w jego spojrzeniu czały się wszystkie gorączkowe zapewnienia, że Mary Frances nie ma sobie równych i że ich relacja jest jedyna w swoim rodzaju.

– Możemy uciec – powiedział.

– Chyba nie mówisz serio.

– Przekonałem się, że to całkowicie dopuszczalna reakcja na życiowe trudności. Chyba widzisz, że rejterada mi służy. Zwiewam z wrodzoną gracją.

– Próbujesz mnie rozśmieszyć.

– Śmieję się. Czemu nie?

Do jej obowiązków zaczęło należeć spędzanie części każdego dnia na udawaniu, że wie o Francji dużo więcej niż w rzeczywistości. Sprostowała wyzwaniu, służyła pomocą jako tłumaczka, sprawdzała mapy i w trakcie lunchu razem z panią Parrish opracowywała trasy wycieczek, bo teraz, kiedy z Timem nie spali przez pół nocy, żadne z nich nie jadło śniadania, a każdy dzień planowali przy stoliku, zależnie od tego, jakie atrakcje oferował Paryż.

Zwiedzali katedrę za katedrą, wpatrywała się w przewodnika, wsłuchując się w płynącą z jego ust francuszczyznę. Musiała się mocno skoncentrować, by coś

zrozumieć, dwa lata w Dijon poszły w niepamięć, a co gorsza, u jej boku stał Tim w pięknym, błękitnym garniturze i rozpiętym płaszczu. Był tak blisko, że czuła, czym różni się powietrze pod połami jego płaszcza od tego na zewnątrz.

Nachylił się do niej.

– Jaki jest ten kościół?

– Stary – wyjaśniła. – Stary i... ważny.

Przekazał matce, że kościół zbudowano w średniowieczu z marmuru wydobywanego na Hebrydach, pochowano tu wszystkich francuskich królów, a obecnie mnisi zajmują się produkcją pysznego sera. Nie było mnichów ani marmuru z Hebrydów, ale nie pomylił się co do królów. Przewodnik mówił dalej, a Tim się do niej nachylał. Wszystko toczyło się swoim rytmem.

Przewodnik opowiadał o opactwie, które zasłynęło z powodu ślubu Ludwika XIV i jakichś koronek. Tuż obok czuła rękę Tima, pozwoliła, by jej dłoń opadła obok, ten region Francji słynie z jabłek, miodu, owiec i rudy żelaza, niby przez przypadek kostki jego palców musnęły jej dłoń, a wtedy jej ciało poderwało się i pognało ku wspomnieniu poprzedniej nocy.

– Dlaczego mówi o owcach? – dopytywała pani Parrish.

Mary Frances nie wiedziała. W uszach dudnił jej puls.

– Moja droga, czy na pewno słuchasz uważnie?

W Muzeum Oranżerii Tim uświadomił sobie, od jak dawna niczego nie namalował. Przed nim żywiolowe Tahiti przytwierdzone do płótna przez Gaugina, zieleń, złoto, czerwień i niebieskości w świetle, które zdawało się dochodzić zewsząd, eksplozja, ekstaza. Uwielbiał to. Zbyt długą zrobił sobie przerwę od muzeów i własnych wystaw, już zapomniał, jak to jest poddać się testowi i sprawdzić siłę swojego ognia.

Oczywiście myślał o Alu. Tim zawsze robił to, co chciał, bez względu na to, czy chodziło o pisanie czy malowanie. Otwierał restauracje i herbaciarnie, równał domy z ziemią, by je odbudować. Ogarnęła go fala współczucia, w tej sytuacji było to zaskakujące. Nie potrafił jednak zrozumieć, czemu Al nie pogratulował żonie sukcesu. Jak mógł nie cieszyć się szczęściem ukochanej kobiety?

Mary Frances stanęła tuż przy jego ramieniu, a on na nią spojrzał.

Jej wzrok szybko przesunął się po obrazie. Już się zbierała, by oznajmić coś, co jemu nie przyszło do głowy, a co mogło sprawić, że jeszcze bardziej zapragnie malować, byle tylko znowu usłyszeć, co ona ma do powiedzenia. Boże, uwielbiał kobiety: młode, inteligentne i utalentowane, Mary Frances. Skończył czterdzieści dwa lata. Wciąż miał czas, by w jej oczach stać się geniuszem.

– Co o tym sądzisz? – wyszeptał.

– Obraz nie dba o moją opinię – odparła.

Zaśmiał się głośno. Głowy odwróciły się w ich stronę. Jako triumwirat majątnych, posągowych podróżników, którym angielszczyzna służyła za tarczę,

wzbudzali powszechne zainteresowanie. Tim nie uznawał za stosowne, by się z czymkolwiek kryć, ale Mary Frances położyła palec na wargach i odsunęła się od niego. Usiadła obok jego matki na obitej zielonym aksamitem ławce w sąsiedniej sali, wyciągnęła z torebki notes i pochyliła się nad nim.

Tim do nich podszedł.

– Lunch?

– Timmy – obruszyła się pani Parrish. – Jak można myśleć o lunchu o tak wczesnej porze?

– Większość mieszkańców zachodniego świata to robi. Dochodzi druga.

Mary Frances położyła dłoń na jej ramieniu.

– Pani Parrish, wyślijmy Tima przodem. Nie ma pośpiechu. Kiedy uznamy, że pora wyjść, weźmiemy taksówkę.

Matce Tima spodobał się ten pomysł.

– Dasz radę zamówić drinka?

– Potrafię wiele przekazać gestem.

– Proszę, weź. – Pani Parrish wyciągnęła z torebki plik franków.

– Mam pieniądze. Nie trzeba, mam.

Uzgodnili, że spotkają się w barze w Ritzu, a Tim minął *Lilie wodne* Moneta i wyszedł do ogrodu Tuileries roziskrzonego od śniegu. Spędził w Paryżu poprzednią zimę, po odejściu Gigi, a także kilka zim przed ślubem i kilka w czasie wojny. Dość dobrze poznał miasto. Ale dziś, z Mary Frances, podekscytowany pracą i obserwowaniem jej, u progu kilku samotnych godzin, uznał ten wyjazd za kulminację wszystkich poprzednich, za cały ich sens.

Może powinien po prostu upić się w czasie lunchu i wyznać prawdę matce, która i tak pewnie coś podejrzewała, a potem namówić Mary Frances do ucieczki. A może wystarczyłoby się schlać.

Podczas weekendu, kiedy wszyscy zajęci byli swoimi sprawami, Hitler wkroczył do Nadrenii, pukając do drzwi Francji.

„Chodźmy wszędzie, Al, i zwiedzamy wszystko, jemy wszystko, a portfel Parrishów zdaje się nie mieć dna. Suflet! Omlet z karmelem, taki, jaki jadaliśmy w Aux Trois Faisans, z naszymi inicjałami wypalonymi na wierzchu. Tuileries! Wiatr szarpiący nasze płaszcze. Spacerujemy, spacerujemy i spacerujemy”. (Głównie po to, by zmęczyć panią Parrish, żeby po powrocie była wyczerpana i odrzuciła propozycję kolacji. Zaczęła chudnąć. Oni zresztą też, choć jedli na lunch kaczkę, brukselkę w śmietanie z boczkim, terrinę, confit, fromage blanc, tatar z lśniącym jajkiem na miękko i brioszkę. Mijali katedry, dworce, parki i skwery. Widywali kobiety z wózkami, stare kobiety, zmęczone kobiety, każda z nich sprawiała, że Mary Frances jeszcze bardziej pragnęła Tima, jakby on potrafił ją ocalić przed kolejnymi etapami życia).

„Dziś po południu było tak zimno, że przypomniał mi się tamten luty

w Strasburgu, kiedy tak wściekle wiało, a my wynajęliśmy pokoje w Elisa, gdzie kaloryfery grzały jak szalone. Rankiem, siedząc w oknie patrzyłam, jak wychodzisz na uniwersytet, widziałam, jak marzniesz, stawiałeś kołnierz, podczas gdy ja wygrzewałam się w domu jak jaszczurka na słońcu. O ile dobrze pamiętam, urządzałam ci zawsze ciepłe powitanie. Wiele bym dała za to, by teraz ktoś mnie tak powitał.

Z twojego ostatniego listu była tak ogromna melancholia. Wiem, że nie powinnam teraz bawić się w najlepsze za oceanem, odwiedzając nasze stare śmieci i radząc ci, byś się rozchmurzył. Uwierz mi, martwię się”. Jego smutek niczym gruby koc oddzielił go od niej, jakby i on prowadził w Kalifornii drugie życie, jakby oboje dali za wygraną. Wiedziała, że to nieprawda, ale każda myśl o ich wspólnym życiu była zabarwiona sepią i odległa, ich młodość w Dijon, duchy, którymi niegdyś byli.

„We Francji na każdym kroku coś mi o tobie przypomina, tak często przy naszym stoliku czwarte krzesło zdaje się czekać na ciebie, mój drogi, jakbyś zaraz miał do nas dołączyć”.

Przejechali bryczką przez Lasek Buloński, kobiety opatulone w koce i futra, Tim z przodu obok woźnicy, przed nimi ciągnęła się szeroka aleja. Wiatr smagał jezioro, którego brzegów wciąż trzymał się lód, ale pani Parrish opowiadała o tym, jak przed pięćdziesięcioma laty jadła lunch na skąpanym w słońcu balkonie na ostatnim piętrze Chalet des Iles. W drewnianej łódeczce przepłynęła ze swoim towarzyszem przez jezioro, a jej ojciec podążał za nimi.

– Z pewnością każdy ojciec uważał wtedy Paryż za swój najgorszy koszmar – odezwała się Mary Frances. – Kiedy byłam młoda, mój tato był zachwycony szkołami z internatem.

Pani Parrish pokiwała głową.

– Bardzo chciałam zobaczyć Paryż, zanim na dobre zaabsorbuję mnie życie domowe. Paryż pod koniec wieku! Oczywiście dopiero teraz uświadamiam sobie, jak szczególne było to miejsce. Wtedy Paryż mi wystarczył.

Mary Frances wyciągnęła notes.

– Zapisujesz to, moja droga? Wy, pisarze, macie takie irytujące nawyki.

– Przepraszam – powiedziała Mary Frances. – Ta historia o czymś mi przypomniała.

Czuła, że kiedy pisze, pani Parrish zagląda jej przez ramię. Kciukiem zaznaczyła miejsce w notesie.

– Nie mogę się doczekać twojej książki, Mary Frances. Tim wyraża się o twoim talencie w samych superlatywach.

– Jego pomoc to dar od losu.

– Jest pewien, że po publikacji wzbudzisz powszechne uznanie. Moim zdaniem, kiedy człowiek znajdzie się na świeczniku, powinien każdy krok stawiać

z ogromną ostrożnością.

Mary Frances się zaśmiała.

– To tylko książeczka. Nie sądzę, bym musiała obawiać się opinii publicznej.

– Zawsze trzeba uważać na to, jak prezentujemy się innym. Na przykład wiem, że jesteś oddaną żoną najlepszego przyjaciela Tima. Cieszę się, że to wiem, i wyobrażam sobie, że odnalazłabym odzwierciedlenie tego w podjętych przez ciebie tematach. Być może są też rzeczy, których wolałabym o tobie nie wiedzieć, a one zmieniłyby moją opinię o twojej książce.

Mówiła jednostajnym, mentorskim tonem z taką samą swobodą, z jaką opowiadała o przyzwoitkach i damach do towarzystwa, konwersacjach przy stole i korespondencji.

– Nie chcę czytać o tym, czego nie chcę wiedzieć. W ogóle nie chcę wiedzieć, czego nie chcę wiedzieć.

– Rozumiem – odparła Mary Frances, naśladowując ton jej głosu. – Zapamiętam to.

Tim odwrócił się do nich.

– Ciepło wam, moje drogie? Dać wam jeszcze jedno futro? A może łyżeczek brandy? Mamo?

Ale pani Parrish była wpatrzona w jezioro i głos syna jakby do niej nie docierał. Wyciągnęła dłoń w rękawiczce i poklepała woźnicę po plecach.

– Jeszcze raz dookoła, poproszę.

Powiedziała to po angielsku, ale woźnica zrozumiał.

Tamtego wieczoru pani Parrish zaproponowała, by Mary Frances wyruszyła sama do Dijon, a ona z synem dołączy do niej po kilku dniach.

– Pewnie macie tam z Alem znajomych, z którymi chciałabyś się zobaczyć – orzekła pani Parrish. – Jestem pewna, że Tim poradzi sobie sam w pociągu.

– Zresztą nie pierwszy raz – dodał Tim. – Do tej pory nikt nie ucierpiał.

– Nie ma takiej potrzeby, pani Parrish. Z radością zostanę z wami.

– Nalegam.

– No dobrze. – Spojrzała na Tima. – Dziękuję.

– Tak, mamo. – Tim westchnął. – To bardzo miłe z twojej strony.

Mary Frances sięgnęła po kawę. Nagle uświadomiła sobie, że rozmowa w bryczce była bardziej znacząca, niż jej się zdawało, a jednak starsza pani pozostała tak sympatyczna i rozmowna jak dawniej. Pewnie jak każda matka potrafiła jednocześnie grać wiele ról.

– Mam nadzieję, że po naszym powrocie będziecie z Alem nas odwiedzać – powiedziała matka Tima. – Powinnam wreszcie go poznać.

– To prawda. On wciąż o panią wypytuje. I jest bardzo wdzięczny.

Pani Parrish dotknęła jej dłoni, jakby uznała sprawę za załatwioną.

– To dla mnie przyjemność.

Kiedy matka się pożegnała, Tim odprowadził Mary Frances do jej pokoju, otworzył drzwi, przycisnął ją do wytapetowanej ściany, jego dłoń wdarła się pod jej gorset, gruby materiał i paski stawiały opór, jej nogi rozsunęły się przed nim, kochali się na podłodze, wreszcie dotarli do łóżka i dopiero wtedy wyznała mu, co jego matka powiedziała w parku.

Zaśmiał się.

– To nic w porównaniu z tym co powiedziała mnie.

– O, Boże, Tim. Naprawdę?

– Coś o statku, na którym obowiązują inne zasady, bo pasażerowie tłoczą się jak sardynki w puszcze, ale oczekuje, że oprzytomnieją, i to jak najszybciej.

Tim odsunął się od niej, znalazł spodnie na podłodze i wyciągnął z kieszeni papierośnicę. Ich wspólny czas dobiegał końca, a ona nawet sobie nie wyobrażała, co będzie potem, czy cokolwiek może jeszcze nastąpić. Z pewnością już nigdy nie mieliby takiej szansy.

– Nie powinieneś wracać do pokoju? – zapytała, przyglądając się Timowi. Dym sączył się leniwie z jego papierosa.

Przesunął palcem po jej obojczyku.

– Powiniennem, i to jak najszybciej.

Zameldowała się w Hôtel de la Cloche i zostawiła bagaże, dzień był słoneczny, ale chłodny, z kominów na dachach wznosił się ku niebu drzewny dym. Najpierw poszła na ulicę nieopodal Crespin, wciąż był tam stragan z ostrygami o szorstkich muszlach, sprzedawca miał poranione dłonie. Zjadła na lunch pół tuzina ostryg, popijając je małym, zimnym piwem. Wokół niej gwar rozmów niczym odgłos skrzydeł uderzających o klatkę. To nie był Paryż ani Prowansja, tylko ciemna, szara Francja, zatęchła, spowita pajęczynami, błotnista i bogata. Za plecami usłyszała zegar na wieży Notre Dame.

W tym miejscu po raz pierwszy zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, że patrzy na świat inaczej, z osobliwej perspektywy, jak pisarka. Jeśli to były ich ostatnie dni razem, to chciałyby, by Tim poznał to miasto tak jak ona, żeby coś między nimi się dopełniło.

Wąskimi schodami wyszła na piętro w Aux Trois Faisans, wąski korytarzyk prowadził do gabinetu Ribaudota, niskiego, nieustająco łysiejącego, opryskliwego jegomościa, który z zapalonym papierosem między zębami krzyczał do słuchawki, chodząc tam i z powrotem.

Udawał, że ją poznaje.

– Tak, oczywiście. Pani Fisher. Świetnie pani wygląda.

– Dziękuję. Chciałabym zarezerwować stolik na czwartek. Chodzi mi o konkretny stolik, na szczególną kolację. Czy mogę już teraz złożyć zamówienie?

– Oczywiście, proszę pani.

Może jednak ją pamiętał. Niepokój nie chciał jej jednak opuścić, towarzyszył

jej jeszcze na ulicy, kiedy zaglądała do sklepów i pustych pokoi domu na Petit Potet, gdzie niegdyś mieszkali z Alem, a teraz gospodyni żyła sama, w biedzie. Wszystko się zmieniło. Na odchodne wcisnęła madame w dłoń trochę pieniędzy, potem włączyła się po dzielnicy zażenowana, smutna. W powietrzu unosił się zapach pierników.

Po przyjeździe Parrishów do Dijon matka Tima na każdym kroku go potrzebowała. Miała listy do napisania, prezenty do kupienia, raz było jej za zimno, innym razem za gorąco, szybko się męczyła – czy Tim mógłby jej poczytać w jej pokoju? Mary Frances z pewnością ma lepsze rzeczy do roboty.

W jedyny wieczór, jaki spędziła z Timem, zjedli kolację w Aux Trois Faisans.

Zasiedli przy jej stoliku, a ułożone przez nią menu widniało na śnieżnobiałej kartce, napisane na maszynie. Sąsiednie stoliki zajmowali starszy mężczyzna z psem, cztery wdowy w czerni i młodzi turyści, tak podobni do niej i Ala. Zobaczyła Charles'a, kelnera, z cieniutkim, nawoskowanym wąsikiem. Postarzał się, skurczył, jego niezdarne, roztrzęsione dłonie błędziły po całym blacie w poszukiwaniu odpowiednich przyborów. Dubonnet zostawił purpurową plamę na białym obrusie. Najwyraźniej kelner za dużo wypił. Mary Frances spojrzała na Tima, czując na swoich barkach odpowiedzialność, ale on wpatrywał się w wirujący w kieliszku alkohol o wspaniałej, głębokiej barwie, a potem popatrzył na nią.

– Tak mi przykro – powiedziała. – I trochę wstyd.

Tim się zaśmiał.

– Wstyd?

– Tyle ci naopowiadałam o tej restauracji. – Pokazała na purpurową plamę i kałużę zupy pod głębokim talerzem.

– Moja droga, czy to ważne, gdzie jesteśmy? – pocieszył ją.

Dopiero wtedy sprawy nabrały rozpędu. Z każdym kolejnym daniem wymyślny, subtelny, przepyszny, niekończący się posiłek dorastał do jej oczekiwań, ale nie miało to nic wspólnego z tym lokalem z innej epoki ani z jedzeniem przygotowanym ściśle wedle jej wskazówek, ani z obsługą, która poprawiała się, im większe wymagania stawiali Charles'owi, aż wreszcie pokazał, na ile naprawdę go stać. Sprawił to Tim. Rozśmieszał ją, prowokował do myślenia, zasiedzieli się w restauracji, minęła pora zamknięcia. Chłopiec z mopem zbliżył się do granicy kręgu światła otaczającego ich stolik, zamiatał długi korytarz aż do samych schodów.

Dopili wino, uregulowali rachunek i Charles zniknął.

Chyłkiem przeszli obok krzątającego się chłopca. Mary Frances wiedziała, gdzie wiszą ich płaszcze, ale kiedy mijali gabinet Ribaudota, ten zawołał:

– Madame, jak pani smakowała kolacja?

- Wspaniała, wprost niezrównana. Dziękuję.
- Tak się cieszę, że pani o nas pamiętała.
- Wszyscy pamiętają Ribaudota. I Charles’a. Spisał się na medal.

Ribaudot pokręcił głową.

– W dzisiejszych czasach trudno orzec, kto ile pamięta. Cieszę się, że Charles mógł dziś przyjść. Obsługiwał tutaj po raz ostatni.

- Jak to?
- Pewnie już wyruszył na południe.
- Dlaczego?

To było okropnie wścibskie pytanie, nie powinno jej to obchodzić, ale nie zdążyła ugryźć się w język.

Ribaudot uśmiechnął się uprzejmie.

– Madame, jego rodzina pochodzi z południa. Tamtejsza pogoda... – Urwał. – Charles ma już swoje lata i humory, dlatego odszedł.

– Przykro mi.

Ribaudot wzruszył ramionami.

– Mnie też.

Tim wziął ją za rękę i sprowadził na dół po wąskich schodach, a kiedy znaleźli się na podwórzu pod rozgwieżdżonym niebem, Ribaudot zgasił światło i Aux Trois Faisans pogrążyło się w mroku. Mary Frances płakała.

Tim wziął ją w ramiona i pocałował.

- Moja droga. Wszystko w porządku.
- Wcale nie.
- Zjedliśmy przepyszną, cudowną kolację. Tak się cieszę, że mogę tu z tobą być.

– Tim. Tak bardzo tego pragnęłam. A zostałam z pustymi rękami.

– Wszystko przemija – powiedział. – Wszystko się zmienia.

Oparła czoło o jego ramię, ale odwróciła wzrok, patrząc w dal.

– Tylko spójrz na te przepiękne kamienne dachówki – powiedział. – Księżyc, Dijon...

Właśnie za tym wszystkim płakała, z bezradności mimowolnie roniła wielkie łzy i nawet ich nie ocierała.

Ta kolacja stała się później punktem kulminacyjnym jej książki i właśnie o tym wątku rozpisywali się recenzenci. W tej i wszystkich kolejnych publikacjach Tim występował jako Chexbres. W jej opowieściach zawsze iskrzy między nimi, flirtują, rozkoszują się jedzeniem, a pod koniec *The Standing and the Waiting* płaczą za tym, czego nigdy nie będą mieli. Co jednak najistotniejsze, Chexbres to nie Al, który pojawia się we wcześniejszych i późniejszych opowiadaniach, to on jest mężem. Dijon należy do nich. To, że urządziła tę kolację, napisała o niej, a potem przeczytał o tym cały świat, traktowała jak największą zdradę ich

małżeństwa, na jaką było ją stać.

– Moim zdaniem ludzie nie doceniają wagi posiłków – mówi bibliotekarz, a ona odpowiada śmiechem.

Ostatnimi czasy to jeden z jej ulubionych tematów rozmów. Zawzięcie rozprawia o ludziach, którzy jedzą w samochodzie, nie używają talerzy, nie cieszą się jedzeniem i towarzystwem innych, a przecież powinni. On jest sumiennym bibliotekarzem, przeczytał wszystkie wywiady, jakich niedawno udzieliła. Może zgadza się z nią: dostrzegła to w sposobie, w jaki dociska mostek przepiórki kciukiem, wrywając tylko kilka piór naraz, wie, jak oprawić dzikie ptaki. Wpatruje się w niego: myśliwy czy kucharz? Chciałaby móc zrzucić winę na okulary.

– O Boże, to prawda – przytakuje Mary Frances. – Dlatego jedzenie w samotności ma swoje zalety.

On zamiera, wygląda za okno na winnicę, patrzy w nadciągający mrok.

– Pewnie tak. – Nie jest o tym całkowicie przekonany.

Zresztą ona też już nie jest tego taka pewna. Pisała jednak o przyjemnościach podróżowania i jedzenia w pojedynkę, o gotowaniu dla jednej osoby i jest mu zobowiązana, że poświęcił tyle czasu i przyjechał z tak daleka, by wysłuchać tego, co ona powtarza od zawsze. Od dawna żyje sama, a samotne posiłki, wielkie łóżko i dni, które domagają się wypełnienia, nadają szczególnej intensywności nawet nic nie znaczącym rozmowom. Oczywiście może liczyć na Norah, ale nie o takie towarzystwo jej chodzi.

Podaje bibliotekarzowi worek na pióra, chwyta oskubane przez niego przepiórki za wciąż oblepione pierzem szyje i zanosí je do kuchni. Faszkuje je cytrynami, liśćmi laurowymi i tymiankiem, które rosną w donicach na balkonie. Obwiązuje tuszki i smaruje je masłem. Tę ceremonię tak dobrze zna, setki razy wiązała drób, sprawiała gościom przyjemność, perorowała o wadze codziennych czynności.

Wtedy on staje za nią z kolejnymi dwoma ptakami, kładzie jej rękę na ramieniu, to człowiek przywykły do komunikowania się bez słów. Nagle ona zaczyna się zastanawiać, jakie prowadził życie na wschodzie, w Bostonie, nad ostatnią kobietą, której dotknął, nad ostatnim razem, kiedy nie potrafił milczeć.

– Dziękuję – mówi, a wieczór niejako zaczyna się od nowa.

Kiedy dotarli do Szwajcarii, pani Parrish się przeziębila. Poprosiła Mary Frances, by została z nią w Vevey, kiedy Tim pojedzie odwiedzić swoją posiadłość.

– Na pewno nic ci nie będzie, mamó. Spędzimy tam tylko jeden dzień.

Pani Parrish wytarła nos w chusteczkę i spojrzała na Mary Frances.

– Zostanę z panią – odparła Mary Frances. – Pójdę do apteki. To żaden problem.

– Przykro mi, że przeze mnie musicie zmienić plany. Ale czuję się tutaj

nieswojo, to nie Paryż. Nie pojmuję ani w ząb, co do mnie mówią.

– Oczywiście. To rozumiałe.

Tim odwrócił się do okna. Odsunął biały mankiet na przedramię, sprawdzając, która godzina, a Mary Frances uświadomiła sobie, że od tygodni nie nosi zegarka. Zastanawiając się, czy w ogóle go zabrała, potarła nadgarstek.

– Mamo, jest przepiękna pogoda. Za pół godziny wrócę z samochodem. Możesz jechać z nami albo zostać, zabawimy tam tylko do wieczora.

– Och, Timmy – powiedziała. – Nie mogę jechać.

– Dobrze. Nic ci nie będzie. Ale Mary Frances pojedzie ze mną.

Pani Parrish poprawiała koce okrywające jej nogi. Wpatrywała się w syna, w jego jasną, spokojną twarz. To nie był impas, Tim po prostu cierpliwie czekał, aż ona zrozumie. Wreszcie odchyliła głowę na stos poduszek i zakaszła.

– Może mogłabym chociaż dostać odrobinę herbaty – poprosiła, ale Tim był już za progiem.

Mary Frances podniosła słuchawkę, zamówiła herbatę z cytryną i miodem, a do tego talerz kanapek. Zapytała, czy może coś jeszcze zrobić, ale pani Parrish udawała, że jej nie słyszy.

– Kieliszeczek brandy?

Pani Parrish tylko pokręciła głową. Wyglądała tak krucho, miała wilgotne oczy, czerwone jak u myszy, a Mary Frances zaczęło gryźć sumienie. Co zrobiłaby Edith, gdyby zobaczyła ją w takiej sytuacji, co powiedziałby Rex i reszta Kennedych? Usiadła na krześle przy łóżku.

– Naprawdę się pani rozchorowała. – Westchnęła.

– No cóż, tak.

Wyciągnęła rękę, by dotknąć czoła pani Parrish, ale ta gwałtownie odsunęła się spłoszona.

– W głowie mi się to nie mieści – powiedziała. – Doprawdy.

Mary Frances opuściła rękę na kolana. Była zażenowana, że wszystko po niej widać, ale wstyd nie powstrzymał jej przed dalszym krokiem. Zresztą nawet gdyby dała za wygraną, jakie miałyoby to teraz znaczenie? Nagle w pokoju zrobiło się gorąco, ale Mary Frances wytrwała na krześle, choć jej twarz też była rozogniona, aż wreszcie boy hotelowy zapukał do drzwi z herbatą na tacy, a potem się wymknęła.

Jechali wzdłuż jeziora krętą Haute Corniche między Lozanną i Vevey, Alpy wciąż przykrywała czapa śniegu. Tim mówił szybciej, niż jechał, wiatr rozwiewał jego siwe włosy.

– Od kiedy znaleźliśmy to miejsce, chciałem, żebyś je zobaczyła. Uwierz mi, o tobie pierwszej pomyślałem.

– Naprawdę?

– Wydaje mi się, że ocaliło mi życie. Kupując je z Claire, myślałem o tobie,

o tej chwili, tu i teraz, kiedy właśnie dojeżdżamy do... – Zaśmiał się. – Chyba tak to było.

Rzeczywiście nigdy nie rozmawiali o poprzedniej zimie, o tym, jak źle wyglądał, wyjeżdżając z Los Angeles, ani o tym, co zaszło od tamtej pory, nie ustalili konkretów. Jaki sens miałoby powracanie do przeszłości, zastanawianie się nad tym, co zrobił on, a co ona? Zstępujące tarasowo winnice sięgały do samego jeziora, a na oddzielających je łąkach widać było małe, kamienne domki wrosnięte w zbocza wzgórz, wijące się ścieżki, owce i ich pasterza, chłopca z psem. Tim opowiadał o serze, brandy i *eau de vie*, wakacjach, łąkach pełnych kwiatów, a Mary Frances opuściła okno, by poczuć powiew na twarzy i usłyszeć dzwoneczki mijanego stada owiec. Chciała tylko jechać dalej, sam na sam z Timem. O nic trwalszego nie mogła prosić.

– Jesteśmy tutaj – powiedziała. – Tylko to się liczy.

Kamienny domek przypominał te, które minęli, ale leżał na otwartej łące, przed nim szemrało źródło, Mary Frances czuła lodowate zimno w koniuszkach palców. Tim gestem zaprosił ją do środka. W domku było ciemno, chłodno i pachniało zleżałym sianem. Przydałoby się więcej pokoi i kuchnia, ale komin był solidny, a palenisko doskonale zachowane. Czy mogliby na nim gotować? Czy wiosną znalazłaby miejsce na chłodnię?

Patrzyła na Tima.

– Mam pomysł – oznajmił i znowu się zaśmiał. – Zamieszkajmy tutaj we trójkę.

Potem wsiedli na statek, wyruszyli w podróż powrotną i nadszedł koniec. Pani Parrish, wciąż w kiepskiej formie, rzadko opuszczała kajutę. W saloniku, dokładnie takim samym jak ten, w którym spędzili tyle miłych chwil w trakcie poprzedniego rejsu, zgromadzili się piwowarzy płynący do Milwaukee i pierwszy toast wieczoru wzniesli do wiszącego nad barem portretu Adolfa Hitlera. Ich uwagę zwróciła szczupła, roześmiana kobieta w srebrzystej drapowanej sukni, z fałdą niczym skrzydło. Wśród radosnych okrzyków wmuszali w dziewczynę jeden kieliszek szampana za drugim.

Mary Frances, podpierając podbródek dłonią, rysowała mapę na zaparowanym blacie stolika. Tim z narastającym niepokojem obserwował Niemców. Czuła to co on, jakby znalazła się w jego skórze.

– Tim, co teraz zrobimy? – zapytała.

– Na litość boską, musimy pomóc tej kobiecie się stąd wydostać.

– Tim.

Dopiero kiedy na nią spojrział, zauważyła jego zmęczenie, ciemne cienie pod oczami. Nie potrafił jej powiedzieć co dalej. Nie wiedział, jak mają postąpić.

Wstał, wyciągnął do niej rękę, wsunął jej dłoń pod ramię, blisko serca, i wyszli z saloniku z różowym fortepianem, gdzie dziewczyna w srebrnej sukience

wciąż śmiała się histerycznie, kiedy jakiś typ w monoklu chwycił ją za nadgarstek. W jadalni chłopcy okrętowi przystrajali ściany sosnowymi gałązkami, przygotowując leśną biesiadę. Ich poprzedni rejs zdawał się powtarzać od końca.

W jej pokoju Tim ściągnął z łóżka czerwoną satynową narzutę i w wieczorowych ubraniach położyli się na białej pościeli. Mary Frances się rozpląkała, a on odwrócił się, spojrzał jej w twarz, wyciągnął rękę i dotknął jej podbródka.

– Nie musisz się przede mną ukrywać – powiedział. – Nie musisz się powstrzymywać.

Zakryła twarz, a on chwycił jej dłonie i przycisnął je do swoich rozpalonych policzków, karku i uszu. Zaczęła go przepraszać, ale ją uciszył. Liczyło się to co teraz.

– Potem zastanowimy się co dalej.

– Nie mogę – odparła.

– Owszem.

– Nie zostawię Ala. Jest w fatalnej kondycji. Nie możemy.

– Nie.

– A ty nie możesz wrócić do Kalifornii.

– W takim razie, kochanie, nie mamy wyjścia. Tylko pomyśl. Nie mamy wyboru.

Teraz do jego oczu napłynęły łzy, a ona poczuła, jak coś w jej głowie pęka i wściekle na nią napiera. Z jej ust wyrwał się dźwięk, który zdawał się dochodzić z głębi kajuty, a Tim przycisnął usta do jej ust, jakby próbował przejąć od niej ten odgłos i nagle jedyne, co potrafili zrobić, to zewrzeć ciała niczym dwie tarcze. Ściągnął z niej sukienkę, by odsłonić ramiona i zakosztować jej skóry.

W środku nocy oznajmił, że w liście do Ala opisze Vevey, sad, jezioro, kamienne źródło i domek, który mogliby rozbudować, a potem razem w nim zamieszkać i zacząć coś nowego, we trójkę. Al był jej mężem i jego przyjacielem, a to, co ich połączyło, było na wskroś ludzkie. Słuchała jego głosu w ciemności, przez okno wpadało do kajuty światło księżyca, statek lekko się kołysał, czuła na karku oddech Tima i wiedziała, że zrobi wszystko, o co ją poprosi, zaspokoi każde jego pragnienie.

– A to? – zapytała i wyciągnęła rękę, objęła go, a w jego ciele już zakiełkowała ta sama myśl. Odwróciła się i pchnęła go, by położył się na plecach, jej stopy znalazły się przy jego biodrach, przywarła do niego łonem. – A to?

On wyciągnął rękę, jego dotyk przeszył ją na wylot.

– To utracimy.

* *Guten Abend* (niem.) – Dobry wieczór.

** *Gehört das Ihnen?* (niem.) – Czy to należy do pana?

*** *Ihre Waffe zu haben scheint Befeuert. Ihre Gun. Diese Gun. Ja?*
(niem.) – Pańska broń chyba wystrzeliła. Pański gun. Ten Gun. Tak?

**** *Ein Unfall. Ein Spiel* (niem.) – Wypadek. Gra.

Vevey, Szwajcaria
Jesień 1936

W kawiarni z widokiem na Jezioro Genewskie Al doszedł do wniosku, że słusznie postąpił, decydując się na przyjazd. Nie leżały przed nim kartki, wokół nie paradowały prostytutki, to nie było Dijon ani Paryż, tylko szwajcarskie miasteczko, a Szwajcarzy, w przeciwieństwie do Francuzów, nie hołubili dziwek. Nie podawano tu cassis. Pił mocną czarną kawę i czuł na twarzy jesienne popołudnie, przyciągające chłodne światło odbijało się od tafli jeziora i pomyślał, że tutaj zacznie od nowa.

Na górze w pensjonacie jego żona rozpakowywała walizki, urządając ich dom tak jak zaraz po ślubie, ta myśl go ukołysała. Mieli pieniądze. Sprzedał samochód i meble, których Mary Frances nie chciała już przechowywać na Ranczu, oczyścili swoje życie do nagiego szkieletu – zostały im maszyny do pisania, wełniane płaszcze, mocne buty i niewielki zbiór płyt i książek. Prawdopodobnie mieli też siebie. A może już nie.

Nie pisał od ponad roku. Doszedł do wniosku, że zawiniła Kalifornia.

Kiedy Mary Frances wróciła wiosną, on już od jakiegoś czasu zastanawiał się nad wyprawą. Chciał uciec od Kennedych, uczelni i matki wciąż błądzącej po bezdrożach wdowieństwa. Jej listy wywoływały w nim poczucie winy, sprawiały, że natychmiast wsiadał do pociągu jadącego na północ, a po przyjeździe miał ochotę palnąć sobie w łeb. Na Ranczu czuł się coraz gorzej, dusił się wśród wczepionych w siebie Kennedych uzależnionych od siebie nawzajem. Już rozmyślał nad tym, jak by tu zacząć wszystko od nowa, kiedy nagle przyszedł od Tima list z propozycją, by we trójkę wynieśli się do Vevey. Mogli stworzyć tam sobie miejsce do pracy i uwolnić się od przeszłości. Al wiedział, że Tim ma na myśli nie tylko Hollywood, Gigi i małą białą willę w Laurel Canyon, ale także jego trudne położenie. Tim zawsze go rozumiał.

Teraz nie mógł doczekać się przyjazdu przyjaciela. Myśleli, że wyjdzie po nich na dworzec, i na próżno czekali na niego na peronie z bagażami, Mary Frances była blada z nerwów, a może tylko zmęczona podróżą. Od wyjazdu z Kalifornii zamknęła się w sobie. Al wiedział, że jego żona ma wątpliwości co do tego wyjazdu, jednak obserwując ją na dworcu, jak zawiązuje i rozsupluje węzełek na chusteczce, uświadomił sobie, jak niewiele go to obchodzi. Nie wspominała o swojej książce, a on dałby się pokroić za taki kontrakt. Nie paliła się do roli matki, a on czuł, że stracili już szansę na dziecko. Zamiast na nie zdecydowali się na wyjazd. Niekiedy patrzył na Mary Frances jak na całkowicie obcą osobę. Przyglądał jej się, jak podnosi papierosa do czerwonych ust i wtedy wydawało mu się, że brał ślub z kimś zupełnie innym.

Tim wysłał po nich Ottona, dozorcę okrągłego jak beczka. Sięgał Alowi do

ramienia, choć miał na głowie kapelusz, który natychmiast zdjął i ścisnął w wielkiej, kwadratowej dłoni. Mary Frances ucałowała go w oba policzki. On miał łzy w oczach, być może z powodu wzruszenia tym spotkaniem, a może alergii. Ludzie mówili tu z przeraźliwie twardym akcentem. Otto powiedział chyba, że Tim przyjedzie pociągiem piętnaście po szóstej, a potem zjedzą razem kolację i rozpoczną realizację swojego wielkiego planu.

Mary Frances zaśmiała się, przymykając oczy.

– Wielki plan – powtórzyła.

Al nie zrozumiał.

– Czy mamy prócz niego jakieś inne?

Zapadła między nimi lodowata cisza, a Mary Frances nie zamierzała wyjść z pokoju w pensjonacie do kawiarni. Stwierdziła, że dobrze jej zrobi drzemka, ale wydawała się poirytowana. Al podejrzewał, że chce pobyć sama, z dala od niego.

Westchnął i dopił kawę, na dnie filiżanki zostały fusy. Oczywiście rozumiał Mary Frances. W tym miesiącu wypadała siódma rocznica ich ślubu, kilka minionych tygodni spędzili stłoczeni w rozmaitych rozpędzonych, ryjących ziemię metalowych machinach, a on nie pamiętał, kiedy ostatnim razem czuł z nią prawdziwą więź, kiedy się dotykali i rozmawiali szeptem. Kilka tygodni temu wygramolili się ze skorupy dawnego życia, a nowa wciąż jeszcze ich uwierała.

Al zapłacił i włożył ręce do kieszeni. Poszedł na spacer brzegiem jeziora, Alpy piętrzyły się i otaczały go, już, a może zawsze obsypane śniegiem. Nigdy tu nie był. Obracał tę myśl w głowie. Nigdy tu nie był.

Kiedy Tim wysiadał na peron, słyszała, że jej puls dudni tak, jakby od środka powleczone była mosiądzem. Zawołała do niego po imieniu i czuła, jak jego wzrok ją odnajduje, wszystko w niej się otworzyło na jego przywitanie. Potem Al do niego krzyknął, a kiedy się odwróciła, zobaczyła w twarzy męża dokładnie to, co sama odczuwała, podenerwowanie i radość, podekscytowanie z powodu spotkania z człowiekiem, dla którego tu przyjechali. Al przeprowadził się tu z własnej woli. Może jednak sytuacja była prostsza, niż jej się wydawało.

– Staruszkę – przywitał go Tim.

Mocno uściśli sobie dłonie, a potem Tim wziął pod łokcie Mary Frances, ich policzki się zetknęły, ona zachichotała nerwowo i zaczęli mówić jednocześnie jak rozemocjonowane nastolatki.

– Niezwykły moment – powiedział Al.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

– Świetnie wyglądasz, Tim. Mary Frances mnie uprzedziła, ale cieszę się, że widzę to na własne oczy.

– Mary Frances uratowała mi życie.

Nie mogła patrzeć na niego dłużej niż przez sekundę.

– Pleciesz głupstwa.

Nagle powitanie wydało jej się ciągnąć w nieskończoność, na twarzach mieli przyklejone uśmiechy, Mary Frances wbiła wzrok w ziemię. Co za dziwna sytuacja. Czowała się jak aktorka czekająca w kulisach w pełnym kostiumie. Obawiała się, że zupełnie się rozklei, jeśli ta scena potrwa jeszcze chwilę.

– No dobrze – odezwał się wreszcie Tim. – Powiem tylko bagażowemu, gdzie ma zanieść walizki, a potem przyda nam się oczywiście...

Pojechali do Doellenbacha, gdzie zamawiali półmisek za półmiskiem żabich udek w czosnku i musztardzie, butelkę za butelką vin du Vevey, cierpkiego cienkusa, którego mogliby, jak twierdził Tim, produkować z własnych winogron. Al oparł łokieć na stoliku, Tim wyciągnął pióro z kieszeni marynarki i narysował dla niego mapę na odwrocie menu, Mary Frances śmiała się bez powodu, a potem milkła, nalewając kolejny kieliszek wina.

Nie potrafiła spojrzeć Timowi prosto w oczy. Wpatrywała się w Ala, ostatni raz był tak beztroski przed ich ślubem, kiedy dopadał ją w bibliotece, by rozplywać się w zachwytach nad Stevensonem albo Yeatsem. Chwyliła go za rękę. Chciała, by po tylu latach wreszcie zaznał szczęścia. Może przy Timie zaczęłby znowu rozmawiać, planować i pisać, tak jak na początku ich znajomości, a ona dbałaby tylko o atmosferę. Żyłaby z oboma, z każdym na swój sposób, ale przede wszystkim pozostałaby wierna sobie. Chciała, żeby ta myśl przyniosła jej ukojenie: przede wszystkim wierna sobie.

Szli obok siebie do pensjonatu, krocząc niepewnie w przedwczesnym chłódzie. Alowi chciało się śpiewać, ale nie umieli wybrać właściwej piosenki. Tim miał ochotę na kolejnego drinka, ale o tak późnej porze wszystkie lokale w mieście były już zamknięte. W pensjonacie wyłudził od starszego syna właścicielki butelkę brandy i poszli na górę do pokoju Fisherów na strzemiennego.

– Strzemienny, słowo daję. – Al, nie zdjawszy płaszcza, wyciągnął się na łóżku. – Mam już tyle w czubie, że nie trafiłbym stopą w strzemię.

– Al? – Mary Frances przysiadła na krawędzi stolika nocnego i szturchnęła męża.

– Nic mi nie jest. Timmy, powiedz jej, że nic mi nie jest.

Tim podał jej drinka.

– Nic mu nie jest. Szybki toast, a potem znikam.

– Toast.

– Al?

– Moje serce jest tak pełne jak mój kieliszek. Moje serce jest tak pełne jak...

– Twoje serce. Al, usiądź, na miłość boską.

Al jęknął. Już zamknął oczy.

– Ach, moja droga – szepnął Tim, a potem położył dłoń na jej karku, przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Biła od niego woń chłodu i brandy, spod której przebierał jego normalny zapach, a kiedy próbował się od niej odsunąć,

wczepiła się w niego, nie mogąc złapać równowagi.

– Dobranoc, staruszku – zawołał do Ala, stojąc w drzwiach, a Mary Frances jednym haustem opróżniła szklankę i niepewnie odstawiała ją na stolik nocny.

Dotarło do niej, że jeśli tak to ma wyglądać, da sobie radę najwyżej przez tydzień.

Nic nie mogło się równać z opustoszałym nocą miastem, a Tim niczego nie pragnął bardziej niż stanąć na brzegu pogrążonego w mroku jeziora przypominającego ciemne płótno. Wydawało mu się, że zostawił Mary Frances i zgasił światło na całym świecie. Wciąż czuł w opuszkach palców miękkość jej karku, uniósł dłoń do twarzy i zaczerpnął głęboko powietrza. Nagle wrócił do niego ten ranek na Hansie, kiedy ona przyszła do jego kajuty, zapach jej włosów, wszystkie jej zagłębienia i krągłości, jej sól. Pił brandy prosto z butelki, obserwował gwiazdy i cierpiał.

Od sześciu miesięcy się nie pieprzył, ostatni raz uprawiał seks z Mary Frances, tamtego ranka, ale to, co ich łączyło, przepadło, a to oznaczało koniec. Ostateczny? Jak mógł na zawsze zrezygnować z seksu?

Zaśmiał się. Myślał o tym na tysiąc sposobów: mogli żyć jak rodzina, jak mnisi, jak współlokatorzy, jak szaleńcy. Kochał ich oboje i nie widział innego rozwiązania. Ledwie powłóczył nogami po bruku. Upił się. Wiedział, że w końcu musi wytrzeźwieć, pomimo zamroczenia uparcie wierzył w szansę na powodzenie ich planu. We trójkę mogli tworzyć wielkie dzieła. Słyszał o pewnej dalekowschodniej teorii głoszącej, że zmagazynowaną energię można wykorzystać na twórczość. Chyba Claire o tym wspomniała. Wiedziała coś na ten temat, bo nieczęsto uprawiała seks.

Zostawił jezioro za plecami i ruszył w stronę miasta, szedł wzdłuż wąskich kamienic krytych dachówką, stłoczonych wzdłuż krętych uliczek.

W czasie wojny podziwiał wojowników ze Wschodu, sikhów i Hindusów, Gurkhę służącego w korpusie chorążych, który angielskiego nauczył się od idioty wspinającego się na najwyższy szczyt świata. Gurkha stracił dwa palce, wyciągając niewypał z klatki piersiowej tego nieszczęśnika. Przed wypadkiem powszechnie uważano, że jego dłonie mają uzdrowicielską moc.

Tim błąkał się po ulicach ciemnych choć oko wykol, nie paliły się latarnie, w żadnym oknie nie stała świeca. Wciąż czuł za plecami bezkresną taflę jeziora, jego niezmierną głębię, jego nieskończony ogrom. Ciemne ulice wydawały mu się bezpieczniejsze, ale i tak nie miał pojęcia, dokąd idzie.

Gurkha zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. A może raczej pewnego razu dał dowód brawury i niespotykanych umiejętności, choć zostało mu osiem palców, a kiedy go zabrakło, cała grupa się rozpadła. Był 1918 rok, trzeci, czwarty, a może piąty dzień nad Sommą. Przemieszczali się codziennie. Tim czekał na powrót do domu (nie jadł od dwóch tygodni, coś w nim gniło, została z niego skóra

i kości), ale rozkazy nie nadeszły, a może do niego nie dotarły, wypisano go ze szpitala polowego, gdzie stracił przytomność, ale po chwili wrócił do zwożenia ciał z linii frontu. Dopiero Gurkha zwrócił na niego uwagę.

Najlepiej by zrobił, gdyby wrócił do siebie, położył się i przestał myśleć. Każdy kolejny dom wyglądał identycznie jak sąsiedni, a droga powrotna do pensjonatu zdawała się zawałona kamieniami. Znowu napił się brandy i szedł dalej.

Wzniesli stos pogrzebowy zgodnie ze wskazówkami sikha. Zasady religijne nakazywały, by ciało Gurkhi spalić na brzegu rzeki, ale byli od niej na tyle daleko, że Tim z pięcioma żołnierzami wykopali rów i napełnili go wodą przydźwiganą w wiadrach z pobliskiej farmy, na której znajdował się staw ze źródłem. Na znak sikha jednocześnie włąli wodę do rowu, żeby on mógł obmyć szczątki Gurkhi w tej marnej imitacji Gangesu, a hinduski żołnierz stojący obok Tima zaczął wyc.

Pozostali rzucili się na niego, zasłaniając mu usta brudnymi rękami, ale jego zawodzenie zwróciło uwagę oficerów. Zanim jednak zdążyli zapobiec bijatyce, Tim podpalił stos.

Oczywiście zapalenie ognia tak blisko linii wroga było czystą głupotą. Wojna się kończyła i nawet Gurkha nie potrafił sam się uleczyć, w tych okolicznościach nie mogli postąpić inaczej. Była to wspaniała porażka, a przez to, co się wydarzyło, jeszcze wspanialsza. Niemal odpowiednia.

Oficerowie wrócili do papierkowej roboty. Za kilka dni miało nadejść pozwolenie na powrót Tima do domu. Przy stosie sikh podał im puchar (zapach sprawił, że ku swojemu przerażeniu Tim poczuł głód) ze złotą monetą na dnie. Pijąc wodę, uwolnili się od duszy Gurkhi, a on wyzwolił się od nich.

Dopił brandy i rzucił butelkę na bruk.

Dokąd miał pójść? Za rogiem zobaczył majaczącą poświatę, a kiedy skrzył ponownie, jego oczom ukazał się budynek otwarty mimo późnej pory, górujący nad sąsiednimi domami – choć było chłodno, na schodach stał mężczyzna na szeroko rozstawionych nogach, w białym fartuchu poplamionym krwią. Rzeźnia? Szpital. Smuzka unosząca się z jego papierosa naśladowała dym z komina.

Mężczyzna odezwał się po francusku, a Tim pokręcił głową. Nie chciał papierosa, nie miał też swoich, nawet nie próbował zrozumieć, o co prosi go nieznajomy. Minał go i wszedł po schodkach do szpitala. Nie był chory, ale chciał się położyć, było mu całkowicie obojętne, co powiedzą inni, widząc, jak się zachowuje.

Zaśmiał się. Było mu to szczerze obojętne.

Następnego ranka Tim i Otto podjechali pod pensjonat wynajętym samochodem i cała czwórka wyruszyła do Le Paquis.

Nigdy wcześniej posiadłość nie wydawała się Mary Frances równie piękna, obsypane złotem jesiony, złocista łąka ciągnąca się w nieskończoność wzdłuż miętowozielonego strumyka, tu i ówdzie usiana ostatnimi lwimi paszczami,

obudziła się w niej nowa nadzieja, kiedy patrzyła, jak Tim wyciąga ręce do chmur, rysując dla Ala jakąś myśl.

Do spódnicy nazbierała małych, zielonych, kostropatych i twardych gruszek, wysypała je do bagażnika, a one potoczyły się jak kamienie. Postanowiła zrobić przetwory na zimę: wzięła nóż, na piecu stał garnek, Przynajmniej mogła się czymś zająć, póki nie zadomowi się tu na dobre, na tej łące, która stanie się ich domem, z tymi mężczyznami, którzy gestykują pełni energii, gotowi zostać z nią tu na zawsze.

Poszła za nimi do domu, grube ściany trzymały chłód, dwa pokoje miały już wkrótce się rozmnożyć. Silny szkielet klatki schodowej z granitu prowadził na piętro, gdzie już można było sobie wyobrazić taras na tyłach domu z widokiem na ogród, winnicę i jezioro srebrzące się w oddali. Weszła do łazienki, właściwie do wychodka, z jedną deską dla dorosłych i drugą, mniejszą i niższą dla dzieci.

Przyjrzała się miniaturowej ubikacji. W domu, który miał do zaoferowania tyle prostych uroków, nieomal klasztorną prostotę, takie udogodnienie świadczyło o istnieniu priorytetów, jakich nawet nie brała pod uwagę. Poczula ostre, przenikliwe ukłucie żalu i wstydu, Tim i Al rozmawiali tuż za drzwiami, echo spletało ich głosy. Nie było tu miejsca dla kolejnych dzieci. Wykluczone. Z żadnym z nich. Już nie.

Al stał na łące, myśląc o ojcu, nieżyjącym niemal od roku. Słyszał w głowie pytania: „Co zamierzasz zrobić, Alfredzie? Za co utrzymasz siebie i rodzinę? Jaką znajdziesz tu pracę?”. Jego ojciec wierzył w powołanie, czytał wiersze Ala i zachwycał się poetyckim tłumaczeniem Biblii Króla Jakuba, był utalentowany i inteligentny, po śmierci jeszcze bardziej urósł w oczach Ala, którego wspomnienia wykrystalizowały się i nabrały ciężaru. Ojciec uznałby, że starszy syn zwariował jak młodszy Herbert, który włóczył się po Chinach, Bóg raczy wiedzieć z kim i po co.

U boku Ala stanął Tim, przez pięknie zarysowany nos głęboko wciągał ogrzewające się powietrze, jakby chciał je skosztować. Alowi wydawało się, że skoczył i spada, bezwiednie objął Tima ramieniem.

– Wyglądasz jak nowo narodzony – powiedział. – To wspaniale, Tim, tak się cieszę, że jesteś szczęśliwy.

Tim na chwilę odchylił głowę, a jesienne słońce opromieniło jego policzki.

– Właśnie na ten moment tak czekałem: Le Paquis, z wami, miejsce, gdzie znowu zacznę pracować, dzieląc je z ludźmi, których kocham.

Al poczuł jednocześnie dumę i zakłopotanie. Ani ojcu, ani Herbertowi, ani Timowi nie powiedział nigdy, że ich kocha.

– A winnicę? – zapytał. – Do kogo należą?

Tim wzruszył ramionami.

– Do nas.

Rzędy winnych krzewów ciągnęły się na tarasowych polach aż do głównej drogi, ogołoczone z owoców, ich złote liście już opadały. Al widział jednak, ile pracy dostarczą wiosną i latem.

– Powinniśmy się kogoś poradzić. Dobry *vigneron* mieszka po drugiej stronie Corniche, może czegoś się od niego dowiemy. Nie mam zielonego pojęcia o uprawie winogron.

Otto zorganizował spotkanie. *Vigneron* miał na imię Jules i ledwie mieścił się w drzwiach. Robił wino w całej dolinie i przechowywał je w zaadaptowanych na piwniczki katakumbach starego klasztoru za swoim domem. Z radością zgodził się ich oprowadzić. Miał rumianą, poważną twarz, jak wszyscy ludzie, na których można polegać, ale coś w jego imponującej posturze i zwinności ruchów pomimo ogromnej wagi, kazało Mary Frances podejrzewać, że łatwo go rozsierdzić i trudno udobruchać.

Jules stwierdził, że jeśli chcą się czegokolwiek nauczyć, muszą swoje wypić: białe cienkuszki produkowane na tutejszych wzgórzach, cięższe, idące do głowy wina z Côte de Beaune, szampan za szampanem, za dużo papierosów i jeszcze więcej szampana. Wkrótce po schodach zeszła do piwniczki młoda kobieta, niosąc na ramieniu tacę pełną kanapek z pasztetem i szynką. Była wysoka i rumiana jak Jules, ale szczupła i bardzo ładna. Anna miała szesnaście lat i była jego jedyną córką.

Biesiadujący mężczyźni dostarczyli Mary Frances wspaniałego materiału do obserwacji. Widziała, z jaką radością Jules dzieli się winami, już oblicza w głowie zyski, patrząc na kupowane przez Ala i Tima skrzynki piętrzące się przy przeciwległej ścianie, Al spijał mu słowa z ust, kiedy ten opowiadał o kantonie Vaud, od jeziora do łańcucha górskiego, między które wciska się posiadłość Le Paquis, na dobre i na złe skazana na tutejsze warunki klimatyczne. Uroczą, różowolica Anna w długiej spódnicy zebrała kieliszki. No i Tim.

On też zdawał się słuchać Jules'a, leniwie oparty o ścianę oglądał wino w kieliszku, kiedy tylko rozmowa schodziła na kolor albo bukiet. Choć skrywał go cień, Mary Frances i tak czuła na skórze ciężar jego spojrzenia. Kiedy Jules zapalił zapalkę, nie zdążyła się przygotować na gwałtowną kolizję ich spojrzeń, coś w niej zadźwięczało. Jules wydmuchnął z ust niechrzczony rum w kierunku płomienia zapalki, ogień wystrzelił w górę i zgasł, a oni pograżyli się w ciemności.

We trójkę balansowali na ostrzu pędzącej strzały – dłoń Ala na jej ramieniu, spojrzenie Tima z drugiego końca piwniczki, ona w ciemnej sypialni w pensjonacie, sama w wąskim łóżku. Pomyślała o ptakach, które potrafią przelecieć cały kontynent bez odpoczynku, o rybach, które muszą płynąć, by żyć. Parli naprzód, musieli, nie mogli wrócić do tego co kiedyś.

Tamtej nocy siedziała z Timem w saloniku na sprężystej kanapie z wachlarzowatym oparciem, Al już spał na górze wyczerpany wahaniem i zmianą,

ogromem możliwości. Zostawił ich na strzemiennego.

Mary Frances wygładziła welwetowe obicie. Czuła, że wchodzi na najwyższe tony, w każdej chwili mogła wybuchnąć płaczem albo śmiechem.

Tim odchylił głowę na oparcie i spojrzał na nią.

Wreszcie powiedział:

– Tak się cieszę, że jesteś przy mnie. Powtarzam sobie, że musi mi to wystarczyć.

– Och, Tim.

– Nie mówmy o tym. Jak zaczniemy, nasze słowa przypieczętują sprawę. Nie mówmy o tym. Wystarczy, jak będziemy myśleć.

– Myślisz o mnie?

Z jego gardła wydobył się niski pomruk, a jego kark i policzki się zaczerwieniły. Mary Frances mu się przyjrzała. Robił to dla niej, to dla niej nosił w sobie te emocje, a teraz ona poczuła dreszczyk i ciepło na skórze – tyle im zostało po ostatniej zimie spędzonej na statku i w Paryżu. Tylko ten dreszczyk, nic więcej.

– Co o mnie myślisz? – wyszeptwała.

We trójkę wynajęli mieszkanie w Vevey na czas remontu w Le Paquis. We Wszystkich Świętych Mary Frances obserwowała przez okno kobiety spieszące na cmentarz z naręczami rdzawych chryzantem, pierwszy śnieg pobielił zbocza Alp ciągnących się za jeziorem. Zamieszała mięsiste, brązowe grzyby leśne smażące się na maśle, wcześniej przyrządziła sałatkę z gorzkiej cykorii, octu winnego i prażonych orzechów przywiezionych przez Tima z Le Paquis, gdzie spotkał się z architektami, zatrudnił robotników i gdzie nowe już majaczyło na horyzoncie.

Nigdy jej nie poprosił, żeby odeszła od Ala, nigdy nie wspominał o ich małżeństwie, stwierdził tylko, że jej relacja z Alem to jej sprawa, we trójkę tworzą zupełnie inny związek. Nie krył się z uczuciami, jakimi ją darzył: ścisnął jej dłoń, stawał tuż obok niej, nawet kiedy Al był w pobliżu. Sam spacerował. Wielokrotnie, kiedy oni już się położyli, wychodził nocą z domu. Codziennie robił im miejsce i zamykał za sobą drzwi.

– Al – zawołała. Grali w karty przy kominku. – Otworzysz wino?

Muzyka, świece i kolejna butelka. Ciasto z cukierni na rogu, ze słodką konfiturą z pigwy albo figi, po nim kieliszeczek winiaku, *La Vie en Rose*. Tim, ściskając serwetkę, wyciągnął rękę, prosząc Mary Frances do tańca.

Bez namysłu pozwoliła wziąć się w ramiona, dopasowała się do niego natychmiast i bez wysiłku. Chyba wypła o jeden kieliszek za dużo, bo spojrzała Timowi prosto w oczy, wychodząc na spotkanie temu, co się z nich wyłoniło.

– Twoja żona tańczy lepiej ode mnie – powiedział.

– Ode mnie też. Więcej ćwiczyła.

– Ach. Szkoła dam.

- Nie chodziłam do szkoły dam.
- Panny Porter Jakiejśtam? – Tim uniósł brew.
- To chyba nie była panna Porter tylko panna Takatoataka.
- A ty? – Szturchnęła Tima w ramię. – A ty? – Spojrzała na Ala.

Jego roześmiana twarz niknęła w dogasającej poświacie wpadającej przez okna od strony ulicy. Oczywiście Al pilnie studiował, podczas gdy ona uczyła się u panny Harker. Kiedy Tim był w tym wieku, walczył na wojnie we Francji. Nigdy o tym nie wspominał. Teraz obaj się śmiali, a ona poczuła wdzięczność za tę bez troskę. Piosenka się skończyła. Tim odsunął rękę. Jej serce galopowało. Spotkało ją ogromne szczęście, bez względu na to, ile miało jeszcze potrwać.

Kupili samochód, by jeździć do Le Paquis. Zatrudnili posługaczkę, by Mary Frances mogła się skupić na gotowaniu i pisaniu, nie zwracając sobie głowy praniem i myciem podłóg – w tym kraju sprzątanie przebiegało w zupełnie innym rytmie niż w jej rodzinnych stronach. Tim przystawał na te nowe porządki bez sprzeciwu i wtrącania się w szczegóły, wreszcie Al wszystkie ich pieniądze przeniósł do wspólnej kasy w spiżarni i powiedział Timowi, by brał tyle, ile uważa za stosowne.

Posługaczka, drobna dziewczyna o czarnych brwiach, córka krawca, przychodziła sprzątać we wtorki i czwartki. Zmieniała pościel, szorowała podłogi, przyrządzała mikstury z chloru i śpiewała po francusku. Dorastała wśród mężczyzn, w męskim świecie pełnym flanel w prążki, zamiatając ścinki z podłogi zakładu krawieckiego ojca w kłębach dymu papierosowego i przy dźwiękach rozmów. Najwyraźniej wydawało jej się, że rozmawiając, można załatwić każdą sprawę.

– Madame, czy mam zmienić pościel? – pytała. – Tylko u pani czy u panów też?

– Tam, gdzie trzeba, Chantal.

– Musi mi pani powiedzieć, madame. Czego potrzebują panowie?

Mary Frances podniosła głowę znad zeszytu i spojrzała na Chantal schyloną nad koszem na pranie. Dziewczyna była zadziorna i przekorna, służba w Whittier nigdy nie odważyłaby się posłać Edith takiego spojrzenia.

– Zmień pościel – zakomenderowała, a Chantal dygnęła i wyszła z kuchni do sypialni. Mary Frances usłyszała, jak posługaczka rozmawia z Alem.

– W takim razie wychodzę – rzucił Tim, zdejmując płaszcz z wieszaka przy drzwiach do kuchni.

– Och, nie możesz.

– Mogę i zrobię to, ty też nie musisz tu zostawać.

– Ale, Tim...

– Płacimy jej za sprzątanie.

Al za plecami Tima sięgnął po swój płaszcz.

– Ty też?

Al był poirytowany.

– Głowa mnie boli. Muszę się napić brandy i kawy.

– Mało ci hałasu w domu?

– Przed chwilą zapytała mnie o rozmiar buta i na podstawie teorii swojego ojca wysnuła wnioski na temat długości rozporoka. Poparte wnikliwą obserwacją.

– Nawet nie wiesz, z jaką dokładnością nauka potrafi dziś określić proporcje...

– Opowiesz mi o tym więcej w kawiarni.

Mary Frances wiedziała, że po pierwszej brandy wypiją drugą, potem przejdą promenadą do innej kawiarni albo do tawerny z kominkiem, może zamówią fondue. Zastanawiała się przez chwilę, o czym rozmawiają, kiedy jej przy nich nie ma. Na samą myśl o tym poczuła, jak ogarnia ją fala paniki, która odpłynęła tak szybko, jak się pojawiła. Powinna była iść z nimi, ale nie mogła, na Boga, spędzać z nimi każdej chwili.

– Madame. – Chantal znowu stanęła w drzwiach. – Madame.

– O co chodzi?

– Czekałam, by z panią porozmawiać – powiedziała. – W cztery oczy.

– Zostałyśmy same.

– Zamierzam wziąć rozwód.

Mary Frances wpatrywała się w nią.

– On mnie zdradza. Żyje pod jednym dachem z inną kobietą, tutaj, w Vevey. Zaraził mnie tryprem...

– Chantal.

– W przyszłym tygodniu muszę trzy razy jechać do szpitala w Montreaux na przyzeganie. Podjęłam decyzję. Rozwiode się, choćby Bóg mnie potępił. Jeśli i pani mnie znienawidzi i nie będzie chciała, żebym przychodziła...

– Chantal, co ty wygadujesz.

– Proszę, madame...

– Chantal, twoje małżeństwo to niczyja sprawa, a już na pewno nie moja.

Położyła dłoń na czole. Oblał ją pot i zakręciło jej się w głowie. Wypiła za dużo kawy. Chantal wciąż stała przed nią, jakby na coś czekała.

– Proszę. Pranie czeka. Masz jeszcze mnóstwo roboty.

– Oczywiście, madame.

Już więcej nie rozmawiały, ale przez całe popołudnie Mary Frances uciskała ranę, która otworzyła się w jej duszy. Kolejny rozwód. Najwyraźniej nawet posługaczkę było na to stać, nawet ciemnowłose katoliczki ze Szwajcarii potrafiły się zdobyć na ten krok przekonane o jego słuszności. A na co ona przystała? Jeśli za rozwód szło się do piekła, to jaka pokuta czeka ją za to, co teraz robi?

Al zakochał się w zabytkowej dzielnicy Vevey. Uwielbiał zgiełk i gwar

starego miasta, kawiarnie na każdym rogu, a kiedy przechadzał się ulicami, narzucał mu się żwawy rytm, wprost nie potrafił mu się oprzeć. Wiedział, że podobnie poradziłby sobie z niemocą twórczą. Jego *Upiór* miał swoje ambicje, którym Al powinien ulec bez oporu, ze swobodą, z jaką oddawał się spacerom.

Od tak dawna nie rozmawiał z nikim w ten sposób. Czuł się wspaniale, choć opowiadał o tym, że bardzo mu trudno i wszystko go przerasta. Zamówił następną kolejkę.

– Czujesz się obnażony i dezorientowany, boisz się i, na litość boską, masz ku temu powody. – Tim zaciągnął się papierosem. – A może chodzi o coś innego?

Ałowi chodziło o to, że nie znosi obnażenia, dezorientacji, bałaganu i pomyłek. Nigdy by się do tego nie przyznał przed Timem. Pokiwał głową, wpatrując się w ich odbicie w lustrze nad barem. Tim był tak siwy, że ktoś mógłby wziąć go za ojca Ala.

– Czytałeś eseje Mary Frances? – zapytał Tim. – Co o nich sądzisz?

– No cóż – odparł Al. – Są urocze. Najwyraźniej.

– Urocze?

Tim mówił dalej, lecz Al przestał go rozumieć, jakby słuchał rozstrojonego radia. Przez cały czas, kiedy Tim z takim entuzjazmem, siłą i zaangażowaniem dodawał mu otuchy, Ałowi wydawało się, że rozmawiają o jego *Upiorze*. O nim. Tymczasem chodziło o Mary Frances.

Kiedy wrócili do mieszkania, ona jeszcze krzątała się w kuchni – osaczona, choć Chantal już sobie poszła.

– Coś nie tak? – zaniepokoił się Al. – Co się stało?

– Nic.

– Mary Frances?

– Nic. Dobrze się bawiliście, chłopcy? – zapytała, stukając garnkami, w których zamierzała ugotować kolację.

Wieczorem Tim i Al zasiedli przy kominku z resztką wina w kieliszkach. Mary Frances brała kąpiel. Ściany pokoi były stare, dywany grube, ale Tim, siedząc na krześle bliższym drzwi do łazienki, słyszał wodę szmerzącą wokół jej ciała, chlupot, kiedy podniosła ręce, cichy bulgot i odgłos przypominający ssanie i cmoknięcie, a może raczej dźwięk, jaki wydają odrywane od siebie lepkie powierzchnie albo otwierające się usta. Pragnął znaleźć się obok niej w łazience, nie musiał jej nawet dotykać, wszystko dokładnie pamiętał. Chciał zobaczyć jej twarz i usłyszeć głos. Zamknął oczy: gdzieś w jego umyśle wciąż się pieprzyli, nigdy nie przestali. Mieli niespożyte siły.

– Aż taka słaba? – zapytał Al.

Tim otworzył oczy, książka leżała na jego klatce piersiowej.

– To? Nie. – Spojrzał na drzwi do łazienki. – Słucham. Jak łabędzie na jeziorze.

– Ach – westchnął Al. W milczeniu przypatrywał się Timowi.

– Piękne odgłosy. Ile kobiet namalowano w trakcie toalety? Przypomina mi się ta słynna seria Degasa?

– Nie znam jej.

Tim wykorzystał okazję.

– Tak się cieszę, że tu przyjechaliście i będziemy razem mieszkać i pracować. Zupełnie straciłem wprawę w towarzyskich rozmowach, a tak bardzo jestem ich spragniony. Wybacz mi.

Al się uśmiechnął.

– Nie ma problemu.

Tim wstał i włożył koszulę do spodni. Nadszedł czas na jego spacer.

Kiedy Mary Frances wyszła z łazienki, Al czytał przed kominkiem, skulił smukłe ciało, a okulary, które od niedawna nosił, zsunęły mu się na koniuszek nosa. W nich wyglądał na starszego, bardziej wątłego. W oknie sypialni zaświstał wiatr.

– Co czytasz? – zapytała.

– Och. To.

– Al.

Popatrzył na nią.

– Nic ciekawego.

Położyła łokcie na oparciu fotela, spojrzała Alowi przez ramię na gazetę, nazwiska generałów i nazwy miast, nie po francusku. Nagle zapragnęła powiedzieć mu coś, co go uszczęśliwi.

– Mogłabym z tobą posiedzieć – zaproponowała. – A ty byś mi poczytał.

– Nie sądzę.

– Zlituj się, Al.

Przez chwilę wpatrywał się w nią znad okularów, a potem jednym zdecydowanym ruchem rozłożył gazetę.

– W zeszłym tygodniu zbombardowano plaza de Colón, zrzucili na jeden plac sześć albo siedem bomb. Zginęło sześćdziesiąt osób, głównie kobiety czekające w kolejce po mleko. Zacząłem myśleć o mleku. Mleko, mleko matki, moja matka, ty. Madryt leży dokładnie pośrodku Hiszpanii, a Hiszpanie z samolotów zrzucają bomby. Na swoje Bogu ducha winne matki.

Odsunęła się od niego. Jego głowa kołysała się na oparciu krzesła, miał zamknięte oczy.

– Gdzie Tim? – zapytał. – Właśnie o tym rozmawialiśmy, jak mi się wydaje. – Spojrzał na nią z rozleniwieniem. Mówił cicho i spokojnie. – Zawołaj Tima, dobrze?

Poczuła się jak ostatni tchórz, bo usłyszawszy, co powiedział Al, nie chciała, a może nie potrafiła skonfrontować go z prawdą, swoją prawdą, ich prawdą. Co się

z nią stało? Poszła do ich pokoju, zamknęła drzwi i położyła się spać.

Ostatnio często bywała senna i bez trudu zasypiała, drzemka po lunchu, a czasem druga przed kolacją, niekiedy, siedząc przed kominkiem z książką na kolanach, na pięć albo dziesięć minut odpływała myślami, oczy same jej się zamykały, na chwilę uciekała. W kuchni Al i Tim grali w karty, długie partyjki remika i bezika. Wekowała buraki, robiła musztardę i przecier z późno dojrzewających jabłek. Al i Tim ślęczeli nad planem remontu. Ona z grubej wełny robiła na drutach bardzo długie szaliki i czapki, które można było podwinąć dwa, a nawet trzy razy, by dobrze zasłonić uszy. Spacerowała promenadą wzdłuż jeziora, kiedy słońce stało wysoko, grzała się w słabym zimowym świetle, które roztrzaskiwało się o tafle wody.

To życie przeobraziła w inne, w którym czas, wydarzenia i pamięć splatały się w jedno, nabierając całkiem nowego sensu, wędrowała od jednej fantazji do następnej. Czasem wiodły ją tam słowa, a innym razem jedzenie – gotowanie go, smakowanie albo rozmowa o nim – ale zawsze na drugim końcu czekało na nią wyobrażone życie i nagle uświadomiła sobie, jak dużo czasu spędza po tamtej stronie. Sama.

Pisk zawiasów we frontowych drzwiach wyrывa ją z drzemki w fotelu z wachlarzowatym oparciem i przez chwilę próbuje sobie przypomnieć, co to za miejsce: Szwajcaria, San Francisco, Sonoma. Z kuchni dociera zapach piekącej się dziczyzny.

Bibliotekarz wraca z garażu, gdzie załadował do vana pudła z jej papierami. Na jego koszulce pot utworzył między łopatkami ciemną plamę. Mary Frances podaje gościowi butelkę wina i korkociąg, jej nie starcza już sił.

– Nie spodziewałem się aż takiego ładunku – wyjaśnia. – Albo jestem starszy, niż mi się wydaje.

Z niewyjaśnionego powodu jego słowa ją cieszą. Zmęczyła go.

– To całe moje życie – odpowiada.

– Z całym szacunkiem, jestem pewien, że to i owo zachowała pani dla siebie.

To kolejny powód do radości. Przypomina sobie listy, które spaliła, i pamiętniki pisane po śmierci Tima, które razem z Norah odłożyły na bok. One też skończą w ogniu. W nagłym przypływie zaufania jakiś głos namawia ją jednak, by mu o nich opowiedziała. Stoi o własnych siłach i po raz pierwszy od wielu tygodni porusza się z taką lekkością i gracją. Właściwie nie potrzebuje laski. Nalewa do kieliszka słomkowe wino i podaje je mężczyźnie.

– Może ma pan ochotę na kąpiel? – proponuje. – Łazienka to najwspanialsze pomieszczenie w moim domu. – Nie daje za wygraną, choć jej pytanie wyraźnie go spłoszyło. – Mamy mnóstwo czasu.

– Nie chciałbym sprawić kłopotu.

– Ależ to żaden kłopot.

On skubie palcami koszulkę na piersi. Widać, że jest rozdarty między tym, co powinien, a tym, czego by chciał. Widziała w życiu tyle twarzy. Zawsze była łośna na pochlebstwa i lubiła flirtować. Ale organ nieużywany zanika.

Pstryka kontakt i czerwona łazienka się rozświała, ukazuje się rysunek Picassa i miniatura Miró. Na portrecie namalowanym przez Tima stoi odwrócona, widać na nim długie białe pasmo jej pleców i cienkie ramię. Wyciąga z szafki dwa czyste ręczniki i kładzie je na krześle koło wanny.

– Potrzebuje pan czegoś jeszcze? – pyta.

– Nie sądzę. – On unosi kieliszek i stuka nim o brzeg jej kieliszka.

– Och. Za co wznosimy toast?

Wreszcie on ściąga kapelusz, gruby siwy lok na jego czole nieomal sięga brwi. Zapiera jej dech, choć próbuje to zatuszować.

– Tak po prostu – odpowiada bibliotekarz. – Nie wiem. Ot taki toast.

W styczniu kamieniarze zaczęli wykop pod jedną z trzech piwnic zaplanowanych w Le Paquis. Rozebrali dach i zburzyli tylną ścianę kuchni. Po raz pierwszy od stu lat wewnątrz domu otworzyło się i napełniło chłodnym powietrzem. Mary Frances, Tim i Al, pijąc wyborny szampan, obserwowali robotników w takich samych czarnych czapkach i wełnianych spodniach, którzy w mroźnym powietrzu wypuszczali z ust kłęby gęstej pary.

– Skąd wiedzą, co robić? – zapytała Mary Frances. – Tak po prostu zdemolowali pół budynku i myślą, że będzie nadal stał?

– A przynajmniej te części, które chcielibyśmy zachować.

– No właśnie.

– Doświadczenie – wyjaśnił Al. – Oczywiście jeden z nich kieruje pozostałymi.

Mary Frances przyglądała się zgranemu zespołowi jednakowo ubranych robotników.

– Wyglądają identycznie.

– Cóż, na wojnie jest podobnie – odparł Al. – Gdyby było wiadomo, kto odpowiada za grupę, można by go bez trudu zastrzelić.

Mary Frances spojrzała mu prosto w oczy.

– Tak wiele rzeczy kojarzy ci się z wojną.

– Takie czasy.

Opróżnił kieliszek i postawił go na kamiennym murku, a potem schował ręce do kieszeni. Kiedy tylko chciał, potrafił zachowywać się swobodnie, wręcz nonszalancko, nawet jeśli ona wiedziała, że jest spięty. Całą swoją postawą rzucił jej wyzwanie. Postanowiła je podjąć. Wzięła go pod rękę i poprowadziła wzdłuż murku do samego placu budowy, by powiedział jej wszystko, co wie, i wyjaśnił, jak się tego dowiedział.

Tim ich obserwował: piękny splot jej ciemnych włosów, jej policzki

zaróżowione od chłodu, Al, tyczkowaty pan profesor w każdym calu, nawet w roboczym stroju i w szlafroku, niezwykle mądry, a taki niezdarny. Budził w nim tyle uczuć: miłość, litość i braterskie przywiązanie. Nigdy nie miał brata, wyobrażał sobie, że wywoływałyby w nim podobne emocje – miłość i zazdrość, dumę i lęk.

Tim miał dobrą rękę do roślin, dużo czytał o francuskim ogrodnictwie, roślinach okrywowych, współrzędnej uprawie, przygotowywaniu nawozu z odpadków kuchennych i przechowywaniu nasion po zbiorach. Szkicował, obserwował pogodę i uważnie segregował odpadki.

Mary Frances rozbijała jajka nad zlewem.

– Zaczekaj – powiedział.

Schylił się, wyciągnął skorupkę z kosza na śmieci i trzymając ją za nierówną krawędź wsunął ją pod strumień wody. Mary Frances spojrzała na niego. Nie patrzył na to, co robi, tylko na nią. Zawsze ją obserwował. Strząsnął wodę ze skorupki, opłukał następną i ułożył je w równym rzędku na parapecie.

– Przydadzą się w ogrodzie – wyjaśnił.

Ubiła jajka z kieliszkiem porto i wypijała nad zlewem, za oknem trwał zimowy dzień.

– Cały środek jest bez ikry. – Odwróciła się od okna. Z jednakową łatwością potrafiła kontynuować rozmowę z nim sprzed kilku minut albo dni. – Muszę dopisać jeszcze jeden kawałek, a myślę tylko o tym, co teraz. Wspominałam naszą kolację w Dijon.

Podeszła do stołu i otworzyła notes. Pokazała mu jedną ze stron, sam początek, ledwie kilka kwestii dialogu, szkic do portretu małego Charlesa, przedtem i potem, czuła się tak, jakby rozłupała sobie czaszkę i pozwoliła Timowi zajrzeć do środka, odsłoniła przed nim ulotne myśli, nieprzetrawione, niezawoalowane.

Wzrok Tima przesuwiał się szybko po kartce.

– Wzniosłem toast za naszą przeszłość – przypomniał jej. – Ty się zaśmiałaś.

– Nie boję się upływu czasu – powiedziała.

– No cóż, to świetnie, moja droga. Tylko to nam zostało.

Usiadła przy maszynie do pisania i na nowo stworzyła tamten moment, dwójka ludzi, nie do końca oni, jadła kolację w Aux Trois Faisans – byli zajęci głównie przemijaniem. Kolejne warstwy prawdy nakładały się na siebie i spiętrzały.

– Och, Tim – westchnęła.

Al przyszedł z sypialni, niosąc buty w ręku. Usłyszał, jak rozmawiają, i zajrzał do kuchni, mówiąc coś o zupie albo lunchu, albo konstrukcji kominka – w żółtym świetle kuchennej żarówki, włączonej w biały dzień, zobaczył Tima stojącego nad Mary Frances, nachylnego nad jej ramieniem. Ona pokazała na

stronę i coś powiedziała. Tim spojrzał jej prosto w oczy, a Al poczuł ukłucie w klatkę piersiową. Oboje popatrzyli na maszynę do pisania.

Al mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio Mary Frances dała mu do przeczytania to, nad czym pracowała. Z pewnością było to, zanim sprzedała prawa do swojej książki, której zresztą nie przeczytał, miała ukazać się latem. Zastanawiał się, czy w ogóle ją otworzy. Nie pamiętał, kiedy żona patrzyła na niego tak jak teraz na Tima.

Musieli dzielić niewielką przestrzeń. To był główny problem, wanna w holu, mała piec i trzy filiżanki. Grzejniki pracowały pełną parą, co nigdy nie zdarzyłoby się w Dijon, w suchym powietrzu ciężko się oddychało. Przy stole Tim czasem rysował węglem, czasem szkicował, niekiedy twarz Mary Frances albo autoportrety, oboje pracowali. W porównaniu z nimi Al czuł się leniem, wołał jednak nie myśleć więcej o ich relacji. Włożył buty. Zastanawiał się, czy usłyszą zamykające się za nim drzwi.

Mary Frances dostała od wydawcy swój manuskrypt do poprawienia, gruby plik opatrzone czerwonymi uwagami, pobieżny rzut oka nie wystarczył, by rozszyfrować korektorskie symbole na marginesach. Zaczęła odważnie posługiwać się nowym językiem, nigdy wcześniej nie wyrażała się w ten sposób, zwracała się do tego z nich, który akurat znajdował się w pobliżu, lecz Al nie miał nic do powiedzenia. Nigdy nie opublikował książki. Tylko ona i Tim mogli się tym poszczycić.

Tymczasem w Le Paquis wzrastały mury. Przynajmniej to miejsce mógł ukształtować tak, jak chciał. Słońce przebiło się przez korony drzew, a on spojrzał na łąkę i kamienny mur ciągnący się do samego jeziora. Za chwilę mieli zjawić się tu robotnicy, by zacząć powolne wyburzanie.

Otworzył bagażnik samochodu i schował w nim pieczołowicie złożony płaszcz. Zamierzał cieszyć się słońcem i rozgrzać pracę. Kciukiem sprawdził, czy siekiera jest dość ostra, i zszedł ze wzgórza na brzeg strumyka, by poszukać twardego drewna, które z pewnością przydałoby im się następnej zimy, po zakończeniu remontu.

Harował przez wiele godzin. Wydajna praca go oczyściła. Spocił się, przecisnął się między ogołoconymi krzewami i napił wody ze strumyka. Tim sam powiedział, że powinni myśleć długofalowo, przygotować się nie tylko na tę, dobiegającą już końca zimę, ale i na następną. Dziś Alowi wydawało się, że przed nimi jeszcze długa droga. Ile drewna Al potrafiłby narąbać?

Stojąc na granicy posiadłości, zauważył, jak przed domem winiarza po drugiej stronie drogi łopocze różowy materiał. Uroczą córkę Jules'a wieszala pranie.

Może nadeszła właściwa pora, by dowiedział się czegoś więcej o produkcji win.

Zapukał do ciężkich, klasztornych drzwi. Wiedział, że powinien był przysłać Ottona, by uprzedził o jego wizycie, ale przecież Jules tyle razy ich zapraszał. Mieli zostać sąsiadami, a w nadchodzących miesiącach Al miał wiele własnych spraw do załatwienia. Otto nie był jego pracownikiem.

Odwrócił się od drzwi i spojrzał na огоłocone winne krzewy.

– Monsieur.

Otworzyła mu Anna. Piękne blond włosy związała do tyłu wstążką, ukradkiem schowała za drzwiami wiadro z mydlinami.

– Przepraszam za najście – powiedział Al. – Szukam twojego ojca.

– Jest we Fryburgu, monsieur. Wróci późno.

– No tak.

– Pojechał na przegląd winnic.

– No tak.

Ona też pracowała, miała zmarznięte, zaczerwienione dłonie, ciemne plamy pod pachami sukienki, chyba wełnianej. Dochodził od niej ledwie wyczuwalny, zwierzęcy zapach maskowany przez woń mydła. Była taka młoda.

– Gdzie twoja matka? – zapytał. – Jesteś sama?

Dziewczyna skinęła głową. Czekał, by stało się to, czego tak bardzo pragnął.

Odsunął się od drzwi i stanął w ostrym słońcu. Żałując, że nie ma przy sobie wizytówki, którą mógłby zostawić, ani wiadomości do przekazania, zaczął się wycofywać. Pomyślał o zdjęciu młodej Mary Frances, nie rozstawał się z nim, o Gigi, chciał ostrzec Annę, by na zawsze pozostała taka jak teraz i nagle pograżył się w nieopisanym mroku, bo uświadomił sobie, że właśnie w ten sposób zaczynają się wszystkie potworności, tak popełnia się najkoszarniejsze błędy.

Wrócił do mieszkania późnym wieczorem. Kto wie, czym przez cały dzień zajmowali się Mary Frances i Tim. Ona już leżała w łóżku, a on w kuchni przyrządzał późną kolację. zaproponował, by Al się do niego przyłączył, podał mu pełny talerz, na nim trzy jajka sadzone o zrumienionych, chrupiących krawędziach, obok grzanki zrobione w piekarniku i solniczka. Jedli, opierając łokcie na stole.

– Przestałem pisać – oznajmił Al.

Tim spojrzał na niego z pełnymi ustami.

– Co takiego?

– Zajrzyj do mojego pokoju. Wszędzie walają się kartki. Przykleiłem je do ścian i gapię się na nie godzinami, ale od zeszłej zimy nie pracowałem nad *Upiorem*. Od kiedy umarł mój ojciec, a Mary Frances z tobą wyjechała. Od tamtej pory napisałem coś innego, ale *Upiór*, obawiam się, zakończył żywot.

Tim otarł brodę wierzchem dłoni i spojrzał w kierunku sypialni, w której spała Mary Frances. Następnego ranka zamierzała pewnie spędzić w łóżku otoczona piórami, papierami, notesami i książkami.

– Al... – zaczął.

– Próbuję znaleźć sobie inne zajęcie. Regularnie chodzę na budowę. Dziś spędziłem tam cały dzień. Rąbałem drewno i ułożyłem je w ogromny stos. Dobrze mi to zrobiło.

– Daj sobie trochę czasu, Al.

– Miałem mnóstwo czasu. Wydawało mi się, że tu wszystko się zmieni. Tak dobrze pracowało mi się w Dijon, a teraz znalazłem się tutaj, w samym środku... w takim samym miejscu, Tim. Czuję się równie dobrze jak tam, ale coś utraciłem.

Mówił cicho. Żółtko rozlewało się na jego talerzu. Wbił widelec w jajko, nie patrząc na Tima.

– Jeszcze jej nie powiedziałem. Sam nie wiem czemu.

– Mary Frances jest wyrozumiała. Zaradna. Pomoże ci. Na mnie też możesz liczyć.

– Po co tu przyjechałem, jeśli nie zamierzam pracować?

Tim odchylił się na oparcie i zapalił papierosa. Al wziął widelec i zaczął jeść, jakby mu ulżyło.

Po tej rozmowie gdzieś ulotniły się wszelkie zasoby, dzięki którym Timowi udawało się jakoś przetrwać te pełne napięcia dni. Sam już nie wiedział, czego się spodziewać. Chyba cała trójka zbyt biernie weszła w ten układ, najwyraźniej każde z nich inaczej sobie wyobrażało fundamentalne zasady tej relacji i choć trzymał się z dala od Mary Frances, jego pożądanie bynajmniej nie słabło. Ona ukryła się w swoim intymnym świecie, który stworzyła we własnej głowie, tymczasem Al cierpiał, od dawna, zanim jeszcze przyjechał do Le Paquis, ta świadomość w niczym nie pomagała Timowi. Skrzywdził przyjaciela, a teraz nie potrafił zrobić nic innego, jak tylko z rozmysłem zadawać mu ból.

Zaczęły nękać go koszmary, nie sypiał, by ich uniknąć. Palił coraz więcej, jednego za drugim, Mary Frances obserwowała go z zatroskaną twarzą, ale nie zadawała pytań. Początkowo próbował częściej wychodzić z domu, by oni w dwójkę mogli spędzić trochę czasu sam na sam – nie dbał o to, co robią, pragnął ich szczęścia – ale po powrocie zastawał Mary Frances drzemającą w swoim pokoju, a Ala nie było, bo całe dni spędzał na doglądaniu remontu w Le Paquis. Ona podnosiła powieki, w jej szeroko otwartych oczach czaiła się rozpacz, a potem znowu zasypiała, czasem na kilka godzin, a niekiedy budziła się dopiero rano.

Zaczął planować wspólne rozrywki. Pojechali do kasyna w Chillon, gdzie Byron napisał kilka wierszy. Al uwielbiał Byrona. Pewnej wietrznej nocy poszli na stare miasto na fondue, na kolację, kilka drinków i do teatru. Parł naprzód, bo wydawało mu się, że jakoś przetrwają ten trudny czas, ale każde kolejne wyjście kończyło się porażką i wreszcie skapitulował.

Siedzieli w łoży Théâtre de Vevey, światła zapaliły się, oznajmiając antrakt, Tim bezskutecznie próbował wstać i coś powiedzieć, poczuł tylko ostatni spazm i zapadła ciemność.

– Tim.

Al odwrócił się, widząc Mary Frances klęczącą przy Timie, który leżał bezwładnie na podłodze ze sztywnymi rękami i nogami.

– Co mu się stało? Oddycha?

– Nie wiem. Tak. – Ułożyła jego głowę na swoich kolanach. – Tim – szepnęła łagodnie. – Tim.

Al dotknął jego chłodnego policzka.

Wpadł w panikę, słyszał łagodny głos Mary Frances, w kółko powtarzającej to jedno słowo. Chciał potrząsnąć Timem, obudzić go do życia, ale nagle przemknęło mu przez myśl, że jego przyjaciel umrze na czerwonym dywanie w Théâtre de Vevey, po gniotowatej inscenizacji sztuki Jeana Cocteau, mijany przez tuziny widzów, którzy nie zwracali najmniejszej uwagi na człowieka leżącego na podłodze i klęczącą obok niego Mary Frances. Ich wspólna historia nie mogła się tak skończyć. Jak ma potoczyć się dalej ich małżeństwo?

W jednej chwili uświadomił sobie, jak niewiele go to obchodzi. Na jego oczach Tim i Mary Frances dryfowali, oddalając się coraz bardziej, wsiąkali pod powierzchnię, powoli, ale nieuchronnie mu się wymykali. Alowi wydawało się, że robią się coraz mniejsi, Mary Frances na podłodze, wczepiona w Tima, błagalny ton jej głosu. Chciała, by Tim do niej wrócił, to oczywiste, ale zarazem poszłaby za nim tam, gdzie on by ją poprowadził.

Nagle Tim się od niej wyswobodził, usiadł, podpierając się rękami – był blady, a na jego czole perlił się pot – otworzył bezwładnie usta, nie panował nad ciałem. Al chwycił go pod ramię i posadził na krześle. Tim zgięty wpół ścisnął dłoń Ala, lepką z powodu emocji, które go ogarnęły.

W uszach Ala wciąż wyła panika, nie potrafił nad nią zapanować.

W mieszkaniu Mary Frances, w jedwabnej pomiętej sukience, z włosami w nieładzie, krzątała się w kuchni, podgrzewając bulion i opiekając czerstwy chleb. Al podał wszystkim brandy, jednym haustem opróżnił swój kieliszek i nalał sobie kolejny.

– Tak mi wstyd – powiedział Tim.

Podpierał dłonią głowę, jakby nie mógł utrzymać jej w pionie i wbił wzrok w drugi koniec stołu.

– Na pewno nic ci nie będzie – pocieszył go Al. – Pewnie zjadłeś nieświeżego ziemniaka.

– Sezon na kartofle już za nami – odparł Tim z uśmiechem.

Był im wdzięczny, a jednocześnie zdezorientowany, ale nie wyglądał, jakby zaraz miał umrzeć.

Al wyszedł z kuchni, żeby napalić w piecu, słyszał ściszone głosy Mary Frances i Tima wśród brzęku garnków i patelni, ale nie czuł już potrzeby, żeby zastanawiać się nad tym, o czym tak rozprawiają. Zrozumiał, że ich rozmowa jest

znacznie bardziej intymna, niż był sobie to w stanie wyobrazić.

Cisnął w kąt pustą szklankę, rozbiła się na tysiąc kawałeczków.

– Coś takiego – krzyknął. – Ale ze mnie niezdara.

Nikt mu nie odpowiedział, pewnie nawet go nie usłyszeli. Nie uprzątnął odłamków, tylko poszedł spać.

W kuchni Mary Frances odwróciła się od zlewu. Płakała.

– Och, kochanie – wyszeptał Tim.

Pokręciła głową.

– Muszę się położyć – mruknęła. – Chcę iść spać.

– Błagam cię...

Nie dokończył myśli. Czy mógł wymagać od niej czegoś ponad to, czego do tej pory żądał?

Nie mogła zasnąć. Pościel wydzielala nieprzyjemną woń, już dawno powinna była ją zmienić. Grzejnik tak wysuszył powietrze, że trudno było oddychać. Raz po raz stawał jej przed oczami Tim leżący na podłodze w teatrze, z pobladłą twarzą i siwymi włosami wydał jej się upiornie biały, nie potrafiła uwolnić się od tego obrazu. Tim u jej stóp. Musiałaby bez niego wyplatać się z tego przedziwnego układu, jaki wspólnie stworzyli.

Uświadomiła sobie, że ucieczka nigdy nie daje spokoju.

Al wyszedł przed świtem.

Tim przez kilka długich minut wpatrywał się w klamkę w drzwiach do ich sypialni. Chciał pospacerować po mieście, odetchnąć mroźnym powietrzem, by przestać o niej ciągle myśleć, zamiast tego zapalił kolejnego papierosa, wciąż obserwując drzwi sypialni, przypomniał sobie, jak dotknął jasnej skóry na jej biodrze w tamtą noc na statku płynącym do Nowego Jorku, kiedy po raz ostatni naprawdę jej dotykał, poczuł, jak jakaś ponura bestia podrywa się w nim do lotu, wyzwalaając się z resztek oków.

Nagle wszystko wydało mu się takie proste.

Przeszedł przez pokój i zapukał. Ona mu otworzyła, wciąż miała na sobie białą bawełnianą koszulę nocną, w ostrym zimowym świetle wpadającym przez okno za jej plecami widać było jej krągłości ukryte pod materiałem. Nic nie powiedział, nie dotknął jej, tylko podszedł do łóżka i się położył. Ona do niego dołączyła, ale nie było już tak jak dawniej, kiedy pragnął pożreć ją żywcem i nie potrafił zapanować nad pożądaniem. Teraz poczuł coś głębszego i mroczniejszego. Kochał ją, był tego pewien. Czyż nie po to zaaranżował wszystko, by być blisko niej?

Kiedy jej to wyznał, rozplakała się.

Wziął ją za rękę i rozmawiali szeptem, wpatrując się w cynowe kasetony na suficie. To było ich życie, drugie, w cieniu, w wyobraźni, karmiące się obietnicami, że kiedyś będzie inaczej. Kiedyś właśnie nadeszło.

– Jak? – zapytała, wciąż płacząc, miała opuchnięte i zaczerwienione wargi.

Nie wiedział. Właściwie nie rozumiał, o co pytała, kiedy na nią patrzył, czuł się jak naiwny pętał, któremu ulżyło, bo ktoś włączył światło, a on uwierzył, że teraz wszystko zmieni się na lepsze.

– Nie płacz. Coś wymyślimy – pocieszył ją.

– Ale co?

– Trzeba się zastanowić.

– To straszne.

– Może być już tylko lepiej, prawda, Mary?

Puścił jej dłoń i odsunął jej włosy znad oczu, raz i drugi, nie potrafił zapanować nad ręką, jego palce zsunęły się z jej policzka na szyję, potem obojczyk, gdzie pod skórą wyczuł tętno, widział pulsowanie, choć mogłoby się to wydać niemożliwe, czuł rytm, w jakim płynie jej krew. Zbliżył do niej usta, chciał jej posmakować, rozchylił wargi, nie potrafił się powstrzymać, jego dłonie wsunęły się pod jej koszulę nocną i wędrowały w górę, jej krew napierała na jego usta. Mary Frances.

– On wie.

– Jesteś pewna?

– Coś podejrzewa.

– Może to dobrze, tak będzie lepiej. To kolejny krok.

Milczeli długo.

– Nie sędzę.

Jechali w pustym wagoniku na Mont Pèlerin. Grały organy parowe, liny nad ich głowami napięły się i zadrgały, martwe zimą łąki przeszły w alpejskie łupki i sosny wymierzone jak ostrza w wiecznie błękitne niebo. Stali na przeciwległych końcach oparci plecami o balustradę, Mary Frances spoglądała na stojącego niżej Tima. Kiedy sunęli w górę, ona wyglądała tak, jakby leciała, za nią tylko niebo. Mocno ścisnęła barierkę, jej ciało poruszało się wraz z kołującym się i pojękującym wagonikiem, muzyka brzmiała jak rzępolenie na pile.

– Tu jest cudownie – zachwycił się.

– Kupmy tu ziemię. Zamieszkajmy tu.

– Mówisz tak o każdym odwiedzanym przez nas miejscu.

– Naprawdę tak uważam.

Uroczym wzruszyła ramionami, a może to wagonik nią zakołysał. Uwielbiał obserwować, jak jej ciało absorbuje ruch, a ona mości się w świetle.

– Jesteś wspaniała. Naprawdę tak uważam.

Już na szczycie minęli hotel Mirador z niezwykłymi balkonami i tarasami i wyruszyli szlakiem prowadzącym wzdłuż grzbietu górskiego, idąc w takim tempie, że ledwie starczało im oddechu. Rozrzedzone powietrze wciąż było chłodne. Szli energicznie, by pobudzić krążenie, i nie rozmawiali. Tim wsłuchiwał

się w chrzęst jej kroków i cichy świst ocierających się o siebie nogawek. W torbie niosła termos z grzańcem, tabliczkę czekolady i bochenek chleba. Z jej rozchylonych ust wydobywał się ciężki obłok białej pary. Oblizła wargi i się uśmiechnęła.

W skarbonce było więcej pieniędzy niż kwota, którą zdeponował Al. Wysypał zawartość puszkę na stół i dwukrotnie naliczył bez mała trzysta dolarów. Tim nie zabierał, tylko dokładał. W żółtym świetle kuchnia wyglądała jak obłana masłem. Nagle Alowi zrobiło się wstyd, że bez namysłu tak bardzo komuś zaufał, że w ogóle obdarzył kogokolwiek zaufaniem.

Na stole leżał zeszyt Mary Frances.

Bez trudu mógłby go otworzyć i przeczytać jej zapiski. Nie zostawiłby żadnych śladów, nie złamałby pieczęci ani niczego nie zniszczył. Nigdy nie zastanawiał się nad tym w tak brutalny sposób, ale nagle całe to dzielenie włosa na czworo, dywagacje nad tym, kto pisze, a kto nie, wydały mu się niedorzeczne. Mary Frances nie zorientowałaby się, że zajrzał do jej notatek. Przejście tej cieniutkiej granicy nie wymagało prawie żadnego wysiłku. Ile ich już przekroczył w trakcie całego małżeństwa? Czymże była jeszcze jedna?

Nalał sobie drinka, odsunął krzesło i usiadł. Otworzył zeszyt i wciąż czytał, kiedy do domu wszedł Tim.

Al odsunął od siebie zapiski i zerwał się z krzesła, jakby odskakiwał od rozpalonego pieca. Dał się przyłapać na gorącym uczynku. Uśmiechał się głupio. Refleks go zawiódł.

– Podoba ci się? – zapytał Tim z neutralnym, biernym wyrazem twarzy.

Al próbował po raz pierwszy zobaczyć w nim człowieka, który odebrał mu żonę, ale nie potrafił zapomnieć, dlaczego tak go kochał.

– Drinka? – zaproponował.

Tim spojrzał na swój nadgarstek. Al nie dostrzegł na nim zegarka.

– Nie mogę. O czwartej spotykam się z marszandem z Genewy.

– Z Genewy. – Al obracał w palcach niską szklanę. – Wybierasz się tam?

– Mam nadzieję, że pojedą tam moje obrazy.

– Ale ty nie musisz?

– Nie. Zostanę tu.

Nagle Al zerwał się z krzesła, nieomal je przewracając, i objął Tima w niezdarnym uścisku. W całym ciele czuł napięcie i lęk, przytulił Tima mocniej, nie potrafiąc poskładać słów, by nabrały sensu. Czuł gorący oddech Tima na swoim słabnącym ramieniu. Oblał go pot. Tim uniósł ręce, by się wyzwolić.

– Muszę już iść, Al. – powiedział. – Zobaczmy się na kolacji. Może wieczorem gdzieś wyskoczmy. Dawno nie wychodziliśmy razem.

Al pokręcił głową. Nie potrafił nawet sobie wyobrazić, jaki pakt musiał zawrzeć ze sobą Tim, by wyjść z taką propozycją. Co oni we trójkę wyprawiają?

– Tamtego wieczoru...

– Już w porządku, Al. – Tim zabrał zeszyt ze stołu i schował go do szafki, w której przechowywała go Mary Frances. – Czuję się dobrze.

– Dobrze? – Co za nedorzeczność. – Dobrze?

Tim skinął głową, dwukrotnie zastukał w blat stołu i wyszedł z kuchni z pustymi rękami.

Należało z tym skończyć. Al poszedł z butelką do swojego pokoju, przesunął fotel na sam środek i czekał na Mary Frances.

Gdy tylko weszła do sypialni, wiedziała, co Al powie, miał to wypisane na twarzy. Usiadła na krawędzi łóżka, wygładziła spódnice na kolanach i wbiła wzrok w podłogę jak karcona smarkula. Zbliżająca się rozmowa już majaczyła przed nią w ciemności. Gdyby tylko zaczerpnęła powietrza, wkrótce byłoby po sprawie, usłyszałaby wyrok i bez szemrania przyjęła karę. Musieli przez to przejść.

– Al...

– Wyjeżdżam.

– Co takiego?

– Do Salzburga, na całe lato. George też tam przyjedzie i razem popracujemy nad artykułem.

– Przez całe wakacje?

Zaśmiał się.

– Tak, moja droga, przez całe wakacje. Razem z Timem musicie jakoś radzić sobie beze mnie.

– Przyjadę do ciebie w odwiedziny na kilka tygodni. Moglibyśmy...

Kiedy tylko spojrzała mu w oczy, reszta zdania uwięzła jej w gardle. Na jego twarzy malowały się gniew i uraza podsycane alkoholem.

– W odwiedziny – powtórzył. – Odwiedzisz męża, mieszkając tutaj. Co za swoboda obyczajów, droga M.F.K. Fisher.

– Chodziło mi tylko o to, że...

– Oczywiście.

Nie odrywając od niej wzroku, po omacku szukał butelki, ale ją przewrócił. Nie miał szklanki. Pewnie pił od kilku godzin. Podniósł się i stanął o wiele za blisko przed Mary Frances, cały w szarej flaneli, półprzezroczysty.

– Nie masz pojęcia, co robisz – syknął.

W odpowiedzi wreszcie spojrzała mu prosto w oczy i dostrzegła w nich ogrom smutku. Od tak dawna zachowywała wobec niego dystans, nic nie czuła. Teraz przeszył ją gwałtowny ból.

– Prawda? – dodał.

– Tak.

Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem i schylił się po marynarkę, która zsunęła się z oparcia krzesła. Bezskutecznie próbował raz i drugi trafić w rękaw

wywrócony na drugą stronę. Kurczowo ścisnął klapę, cały roztrzęsiony.

– Daj, pomogę ci – zaoferowała.

– Pomożesz? Niby jak?

Wyjęła mu marynarkę z rąk i przewróciła rękaw na prawą stronę. Pomogła Alowi się ubrać. Starał się utrzymać równowagę, wpatrując się w punkt na ścianie nad głową Mary Frances.

– Jak wrócę do Stanów, będę znowu uczył – oznajmił. – Nudzi mnie to do nieprzytomności, ale mówi się trudno. Nie pisałem od miesiący, lat, a *Upiór* już nie żyje. Wielki poemat zmarnowany z powodu... tego.

Narastało w nim napięcie. Czuli, że na usta ciśnie mu się coś, co ją zrani do żywego, starała się odgadnąć co, próbując się na to przygotować. Zamierzał szydzić z jej tekstów, rodziców, wierności, dumy? Wypomni jej, że nie postarali się o dzieci? Powie, że właśnie tego się po niej spodziewał? Pokój skurczył się i zabrakło w nim powietrza. Gdyby zachowała zimną krew, udałoby jej się przewidzieć, co za moment usłyszy.

Tymczasem on powiedział tylko:

– Nie zamierzasz nawet mnie namawiać, żebym został, prawda?

W odpowiedzi patrzyła na niego ze spokojem.

– Ach, Mary Frances. Już myślałem, że opanowałaś sztukę perswazji na najwyższym poziomie. Nie bez powodu zaszłaś tak daleko.

Zdjął kapelusz z wieszaka i powoli, ostrożnie nasunął go na głowę. Wychodząc, nie trzasnął drzwiami. Z okna widziała, jak przechodzi przez ulicę i znika w knajpce na rogu.

Otworzyła szafę i przez chwilę przyglądała się walizce, równo ustawionym butom i wiszącym ubraniom. Al zabrał kluczyki do samochodu, ale Mary Frances odłożyła trochę pieniędzy. Mogłaby zabrać koce, myć się w źródelku w Le Paquis. Albo przenocować u Jules'a, po drugiej stronie ulicy. Mogła mu zapłacić. Zresztą nie tylko jemu. Nie musiała tu czekać, aż Al wróci i znowu zacznie się nad nią pastwić.

Pomyślała o rodzicach, którzy właśnie przemierzali Atlantyk, by ją odwiedzić. Nie mogła teraz wrócić do domu.

Skryła twarz w dłoniach i wtedy zjawił się on.

– Wszystko w porządku?

– Nie – odparła. – Właściwie nie.

– Coś ci się stało? Skrzywdził cię?

– Al? Fizycznie nie – odparła z płaczem.

– Przyłapałem go w kuchni na czytaniu twoich notatek. Wtedy się zorientowałem, że...

Tego zdania nie sposób było dokończyć. Działo się coś złego, przykrego i nawet gdyby wyszli z tego obronną ręką, musieli liczyć się z bliznami. Wiedział

o tym, ale zrobiłby wszystko, by wziąć na swoje barki ciężar, który ona niosła. Dlaczego Al nie potrafił się na to zdobyć? Gdyby ją naprawdę kochał, gdyby był uczciwy, przyznałby, że we trójkę odpowiadają za tę sytuację. Co mógł zyskać, zrzucając winę na Mary Frances?

Usiadł obok niej na łóżku z dłońmi na kolanach i miał ochotę kogoś zabić w odwecie za jej cierpienie.

– Dasz się zaprosić na kolację? – zaproponował.

Zaśmiała się i wytarła nos wierzchem dłoni.

– To chyba nie najlepszy pomysł.

– Nie musisz tu zostawać, Mary Frances.

Pokręciła głową, przecież jeszcze przed chwilą pakowała walizkę.

– On chce odejść – wyjaśniła.

– Słyszałem.

– Poproszę, żeby poczekał do wyjazdu rodziców.

Tim położył się na łóżku, zakrywając oczy.

– Oczywiście.

– Bez niego będzie nam tak trudno. Rexowi, Edith, tobie i mnie. Pojawi się tyle pytań i kłamstw.

– A jeśli zostanie, łatwiej będzie kłamać.

– Tim.

– Posłuchaj. Nie obchodzi mnie już, kto ile wie i co sobie myśli. – Miał ochotę objąć ją i przytulić, ale okoliczności mu na to nie pozwoliły. A może ona też by tego nie chciała. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

– Zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

Mówiła beznamiętnym, zimnym tonem, który wywołał u Tima dreszcze.

– Dlaczego wyjeżdża?

– Naprawdę nie wiesz? – Wpatrywała się w niego, a jej oczy wypełnił przejmujący smutek. – Bo jestem jego żoną. – To słowo zabrzmiało jak odgłos kamyka, który nareszcie, po długim spadaniu, uderzył o dno studni. – Pamiętam, że kiedyś wiedziałeś, co to znaczy.

W środku nocy Mary Frances poszła do kuchni i zaparzyła dzbanek kawy. Przemknęło jej przez myśl, że Al zrobił sobie krzywdę, przypadkiem lub nie, w narastającej panice oczami wyobraźni zobaczyła zbliżający się skandal, taki czy inny. Tim usiadł z nią przy stole. Zasnął w ubraniu, zmięte poły koszuli wystawały mu ze spodni, miał zmierzwiłone włosy. Nalała mu filiżankę kawy i siedzieli dalej bez słowa.

Wstał i wrócił z czystą kartką i kopertą. Z notesu przepisał długi adres. Zabrał się do układania oficjalnego listu. Mary Frances wsłuchiwała się w skrobanie pióra o papier. Mogłaby podeprzeć głowę i zamknąć oczy, może wtedy udałoby jej się zapaść w sen, na siedząco, u boku Tima, choć przecież tak

wiele miało się wydarzyć. Jak do tego doszło?

– Chciałabym zasnąć, czując twoją obecność – powiedziała.

Podsunał jej list zaadresowany do przyjaciela z Paryża, kierującego przygotowaniem do wystawy światowej.

– Już ją otwarto?

– To bliski znajomy. Pokażą tam wielkie malowidło Picassa. Przez nie został wygnany. Zabierz tam Rexa i Edith.

– A ty?

– Wystarczy mi twoja relacja. Zobaczę je twoimi oczami. – Spojrzał na nią. Z taką samą bezradnością jak ona myślał o tym, jak nadać bieg wydarzeniom. Wcisnął jej kopertę w dłoń. – Proszę. Jedź.

Al sikał na ulicy jak rasowy Francuz i dopiero w ostatniej chwili przypomniał sobie, że to nie Francja. Z jakiegoś powodu go to rozbawiło. Było ciemno, ale nie wiedział, która godzina i jaki to dzień. Wyproszono go z knajpy, gdzie przez kilka godzin grał na pianinie, ale żadna siła nie zmusiłaby go do powrotu do domu. Zauważył, że przygląda mu się jakaś dziewczyna.

– Gdzie mieszkasz, cukiereczku?

– Ach, kapitanie. Wszędzie czuję się jak u siebie w domu.

A może się przesłyszał. Tego wieczoru umiejętności językowe go zawiodły, zapewne z powodu morza ginu, w którym zanurzył się po uszy, zresztą dziewczyna mówiła bardzo niewyraźnie.

Wyciągnął z kieszeni zmięte banknoty.

– Moglibyśmy wynająć pokój.

Ścisnęła pieniądze w dłoni i uśmiechnęła się do niego, kręcąc głową. Nie powinni nikogo budzić o tak późnej porze.

Zauważył, że brakuje jej siekacza, a jej usta są napuchnięte. Delikatnie przesunął po jej górnej wardze kciukiem, została na nim smużka krwi.

– Co ci się stało, moja droga? Co się tu wydarzyło?

Zaśmiała się.

– Już w porządku.

Jeszcze raz pogładził jej pokryte czerwoną warstwą usta. Wróciły do niego niewyraźne wspomnienia, ledwie kilka rozbłysków – to się stało przed chwilą, a może wczoraj? Na kostkach dłoni zauważył siniaki. Dziewczyna powiedziała mu, że powinien wracać do domu, do swojej żony.

Objął jej twarz dłońmi. Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Była korpulentna i miała okrągłą, śniadą buzię. Zauważył na niej inne blizny, ślad po długo gojącej się ranie pod okiem, wysypkę. Było mu tak przykro. To chyba był wypadek. Pewnie go zamoczyło. Bełkotał, może nawet płakał. Niczego, doprawdy niczego nie potrafił sobie przypomnieć.

– *Désolé, désolé* – powtarzała. – *Vous êtes désolé* *.

Taka piękna i taka smutna.

– Zabierz mnie do siebie – poprosił. – Tak mi przykro. Chodźmy do domu.

Al wrócił do mieszkania dopiero we czwartek rano. Biła od niego woń taniego alkoholu i jeszcze tańszych perfum, miał zaczerwienione oczy i krwawe plamy na koszuli. Tim i Mary Frances czekali na niego w kuchni z pustymi kubkami po kawie, już w progu dostrzegł, jak się martwili, i prócz wszystkiego, co się w nim kłębiło, zaczęło go gryźć sumienie.

Odsunął krzesło i zajął miejsce między nimi.

– Obawiam się, że zasiedziałem się w barze.

Mary Frances wstała i nalala wody do dzbanka z okazałą porcją zmielonych ziaren.

Al odwrócił się do niej.

– Obawiam się też, że zrobiłem ci scenę, Mary Frances. Chyba za dużo wypilem i zachowałem się jak dupek.

Nawet na niego nie spojrzała, więc zwrócił się do Tima.

– Słyszałeś, co się stało w New Jersey? Zeppelin stanął w płomieniach, kiedy próbował zacumować, a przecież unosił się w powietrzu i jednocześnie był nim napełniony. Kto by to przewidział. Wydawało się to niemożliwe. Wszystko trwało trzydzieści dwie sekundy.

– Słyszeliśmy w radiu – odparł Tim.

– Tim, ile masz lat?

– Czterdzieści dwa.

– I nie masz dzieci – dodał Al. – Ja mam trzydzieści dwa lata i też nie mam dzieci. Czas ucieka, prawda? Nawet się nie obejrzyysz, jak nagle... Sam nie wiem. Zawisasz w próżni, daleko od domu.

– Al, powinienes się położyć – powiedział Tim. – Zaprowadzę cię do pokoju.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Mimo wszystko ci ją oferuję.

Później, wieczorem, w snopie światła dobiegającego przez otwarte drzwi z salonu, Mary Frances spakowała bagaże.

Rankiem Al zawiózł ją samochodem na dworzec. Mogli pójść pieszo, ale on nie był pewien, czy starczy mu sił. Ciemniało mu przed oczami, trzęsły mu się ręce. Ona jechała jego samochodem po raz pierwszy od wielu tygodni. Na zabłoconej podłodze walały się opakowania po jedzeniu, na tylnym siedzeniu leżał bezładnie koc, a obok niego czyste ubrania. Najwyraźniej samochód służył Alowi nie tylko do poruszania się po mieście.

– Kiedy wrócisz? – zapytał.

– Rodzice przyplływają w następnym czwartek. Będę z powrotem za tydzień.

– Co im powiesz?

Mary Frances westchnęła.

– Zatrzymają się w Trois Couronnes. Pokażemy im dom, zamek Chillon, zabierzemy ich na żabie udka. Mam nadzieję, że zostaniesz, żeby się z nimi zobaczyć.

Al zatrzymał się przed dworcem, ale wciąż mocno ścisnął kierownicę. Wokół nich tłoczyli się mieszkańcy Vevey, pchając wózki, taszcząc towary na targ, każdy coś niósł, mrowie pracowitych Szwajcarów. W samochodzie zrobiło się nieznośnie gorąco. Mary Frances położyła dłoń na klamce.

– Przepraszam. – Al wysiadł, otworzył jej drzwi i schylił się, by ją pocałować. Pusty gest.

Oczywiście zamierzał zostać aż do odjazdu Kennedych. Przecież mu się nie spieszyło.

– Dziękuję – odparła i odeszła.

Al nie wrócił do domu. Pojechał Haute Corniche wzdłuż jeziora, przez wzgórze do Le Paquis, w miejsce, które i tak nigdy by do niego nie należało, gdzie w pięknym sadzie już przebijały się pączki, winorośl nieśmiało się zieleniła, gdzie był ogródek zasadzony przez Tima, dom, trzy pokoje z solidnymi, kamiennymi ścianami przeznaczone dla nich trojga, dach wciąż otwarty na blade alpejskie niebo.

Właśnie tak się czuł – wybrakowany, obnażony. Zgasił silnik i wziął koc z tylnego siedzenia. Majster się zbliżył, a Al skinął głową, przytakując mu bez zrozumienia, zgadzając się z góry na wszystko. Przeszedł przez taras w stronę półkolistej winnicy, majster nie odstępował go na krok, Al rozłożył koc na trawie i się położył. Zamknął oczy. Jasne promienie słońca odbijały się od tafli jeziora, czuł ich ciepło. Majster stał przy jego ramieniu, już niczego się nie domagał. Al wiedział, że zaraz zostanie sam. Okrył się rogiem koca i czekał.

Kiedy się obudził, słońce stało wysoko, obok siedział Tim wpatrzony w jezioro rozciągające się za winnicą. Al podniósł się i przeczesał dłonią włosy z tyłu głowy. Tim podał mu zatłuszczoną papierową torebkę z jeszcze ciepłym kurczakiem z rozna. Al rozerwał opakowanie i zabrał się do jedzenia. Przyszło mu do głowy, że teraz już nic go nie zdziwi.

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? – zapytał.

– Od Chantal. – Tim przewrócił oczami. – Widziała Patrice’a w mieście. Chyba nie grzeszy dyskrecją. Myślała, że się przewróciłeś.

Al wziął od Tima piwo, z uśmiechem spojrzał na szyjkę butelki.

– Jestem zmęczony, Tim.

– Rozumiem.

– Gdyby nie to, zabiłbym cię.

Zjadł kurczaka i otarł usta szarym papierem. Tim dopił piwo. Zawsze był hojny. Jednak Al, bez względu na to, co miał do zaoferowania, dobrze wiedział, że wszystko należy do jego przyjaciela. Mogli nazwać swój związek komuną albo

trójkątem, ale to Tim zgarniał całą pulę.

Siedzieli, opierając się na łokciach, i rozkoszowali się wiosennym słońcem opromieniającym ich twarze, na wszelki wypadek milczeli i o niczym nie myśleli, lecz Al dobrze wiedział, że w końcu muszą opuścić tę łąkę i pozwolić wydarzeniom, by potoczyły się dalej.

– Pewnie już wiesz – odezwał się wreszcie – że latem wyjeżdżam do Salzburga. Musisz radzić sobie beze mnie.

– Chcesz tam zostać dłużej?

Al pokręcił głową.

– Potrzebuję twojej pomocy. Muszę znaleźć pracę.

W domu przygotowali listy referencyjne dla Ala i rozesłali wici do znajomych Tima z Zachodniego Wybrzeża. Z Harvardu znał Cummingsa, Aikena i Dos Passosa, w Paryżu w czasie wojny kierowali karetkami, Tim opowiedział zabawną anegdotkę o tym, jak Aiken zasnął u boku prostytutki, która, jak się zorientował po przebudzeniu, zabrała mu buty, portfel i prawie wszystkie papierosy, zostawiając mu tylko jednego i zapalniczkę. Al czytał *The Enormous Room* Cummingsa i *Nocturne of Remembered Spring* Aikena, podkreślał najważniejsze fragmenty, by do nich wrócić. Teraz, kiedy Tim opowiadał o tych poetach jak o zwykłych śmiertelnikach, pisał do nich, prosząc o przysługę, Al czuł się jak we śnie, pomimo wszystkich dramatów, które teraz rozgrywały się wokół niego.

Aiken mieszkał w Londynie z trzecią żoną, a Dos Passos w Nowym Jorku albo Baltimore, a może w Hiszpanii, w tamtym czasie wszyscy stale się przemieszczali i podróżowali, ale Tim obiecał, że ich namierzy. Mówił o nich poufale jak o bliskich znajomych. Razem przetrwali wojnę, przeżyli wspólnie dekadę, której Al nie miał prawa pamiętać, bo był za młody. Tim jednak nie traktował go po ojcowsku. Siwowłosa, pogrążony w półcieniu, w marynarce ze zbyt długimi rękawami wyglądał jak istota nadprzyrodzona, ktoś, kto znajdzie wyjście z każdej sytuacji.

– Nie wiedziałem, że uważasz ich za swoich przyjaciół – powiedział Al.

– Ty też jesteś moim przyjacielem, Al. Zrobię wszystko, o co poprosisz.

– Ach tak.

Wstał i podszedł po kawę do kuchenki. Nawet kiedy oderwał wzrok od Tima, czuł na sobie ciężar jego słów, ledwie zasugerowaną propozycję, którą mógł przyjąć. Głowa mu pękała. Na obudowie kuchenki w ceramicznym słóiczku po musztardzie stały fiołki, pierwsze uzbierane tej wiosny. Pewnie Mary Frances zachowała pojemniczek i pod ich nieobecność nazbierała kwiatów. Wydawało mu się, że postawiony na ogniu imbryk zaraz zapadnie się i zniknie.

– Przyda mi się trochę gotówki – powiedział.

– Ile?

Odwrócił się od pieca.

– A ile ona jest dla ciebie warta?

Mary Frances po raz pierwszy od niepamiętnych czasów została sama. W Paryżu musiała zarezerwować pokoje hotelowe i zamówić kwiaty. Kupiła Rexowi i Edith powieści i szampana. W całym mieście zarezerwowała stoliki, planując tyle posiłków, że musieliby spędzić w Paryżu miesiąc, a może całe życie, by przejeść to wszystko. Większość czasu poświęcała jednak na spacery po bulwarach w poczuciu narastającego osamotnienia.

Rozpoczął się już sezon turystyczny. Przyjezdni tłoczyli się w hotelach, muzeach i kawiarniach, obsiadali ławki w Tuileries. Mary Frances nie przepadała za tą porą roku, ale z ulgą powitała chwilę anonimowości w dużym mieście, gdzie nikt jej nie znał. W Vevey przez kilka miesięcy na każdym kroku musiała się komuś przedstawiać, jej rozmówcy szeroko otwierali oczy, dla nich stanowiła zawsze część trójkąta, dlaczego żyli we trójkę? Tutaj była tylko jedną z wielu kobiet odwiedzających miasto.

W Paryżu roilo się od Niemców i wszyscy o nich rozmawiali, w słońcu rozlegały się ich głosy. Na uniwersytecie w Dijon poznała mnóstwo Niemek, tęgich pań o grubych nogach i nalanych, skwaszonych twarzach. Tymczasem do Paryża zjechały młode dziewczęta, gibkie i śliczne, ze złotymi, rozpuszczonymi włosami do ramion, opalone, zgrabne. Kiedy wołały do siebie w kawiarniach z przeciwległych końców sali i witały się z otwartymi, szczupłymi ramionami, ich niemczyzna brzmiała miękko, melodyjnie, radośnie i lekko. Ich eleganckie kostiumy i uszyte na miarę trzewiki przyciągały spojrzenia, jakby w każdej chwili dziewczęta mogły utworzyć chórek i zacząć śpiewać.

Dostarczyła list od Tima do galerii na prawym brzegu. Sekretarka nie chciała jej umówić z właścicielem, zapisała tylko adres hotelu i obiecała, że monsieur się z nią skontaktuje, ale teraz jest bardzo zajęty. Tego samego popołudnia przyszły trzy bilety na specjalny, prywatny pokaz jeszcze przed wernisażem.

Kilkakrotnie zabierała się do pisania listu do Ala, nie umiała jednak ująć w słowach tego, za co tak naprawdę była mu winna przeprosiny. Nie potrafiła przyznać się, co zrobiła, nie chciała go skrzywdzić, nie należały mu się żadne wyjaśnienia. Ostatecznie wysłała mu parę słów na hotelowej papeterii, informując go, że dojechała na miejsce, czeka i spotkają się za tydzień.

Wyszła po Rexa i Edith na peron Gare du Nord szczęśliwa jak stęskniony szczeniak.

– Dote, kochanie, jak ty wyglądasz – powtarzała Edith, ale Mary Frances nie była pewna, czy to komplement czy wyraz zatroskania. Rex nie puszczał jej ręki.

Wysłali bagażowego z walizkami do hotelu, a Mary Frances zaprowadziła ich do restauracji na ostatnim piętrze budynku nieopodal dworca. Nad salą rozpościerało się monumentalne sklepienie z freskami przedstawiającymi

wszystkie miejsca na świecie, do których można dotrzeć koleją, mosiężne lampy błyszcząły, a podłoga lśniła. W innym życiu, podczas poprzedniej wyprawy do Paryża, właśnie przy jednym z tych stolików uczcili z Timem szampanem początek pierwszego spędzonego wspólnie dnia. Wciąż pamiętała złożoną wtedy sobie samej obietnicę, że nigdy nie wróci do tej restauracji i nie porówna tamtego dnia z żadnym innym, bo poranek z Timem na Gare du Nord był jedyny w swoim rodzaju.

Tak jak poprzednio zamówiła glazurowaną szynkę, chleb, masło i schłodzony szampan. Ależ była wtedy naiwna. Przecież na tym dworcu krzyżowały się szlaki kolejowe łączące całą Europę. Matka nie spuszczała z niej oczu.

Wreszcie zapytała:

– Dote, co się stało?

Mary Frances nie potrafiła nawet otworzyć ust, tylko pokręciła głową i uniosła kieliszek.

– Za nas – powiedział Rex. – Obyśmy zawsze mieli ciepły, bezpieczny kąć.

Mary Frances wybuchnęła płaczem.

Po powrocie do hotelu Edith położyła ją do łóżka. Jej córka była przepracowana i przemęczona, co więcej, tak długa samotność w Paryżu jej nie służyła. Edith przyjęła do wiadomości zmyślane wyjaśnienia, a nawet sama kilka dodała. Po drugiej stronie pokoju Rex wyciągnął się na niewielkiej kanapie, jego długie stopy zwisały za krawędzią, na dużym palcu Mary Frances zauważyła dziurkę i dałaby wszystko, by móc ją zacerować.

– Tak bardzo za wami tęskniłam – powiedziała.

Edith się zaśmiała.

– Zawsze możesz wrócić do domu, kochanie.

Mary Frances pokręciła głową. Tak strasznie nabałaganiła, a podczas wizyty Kennedych w Vevey sprawy mogły się skomplikować jeszcze bardziej. Nie mieściło jej się w głowie, że do tej pory tak się łudziła. Czuła się tak, jakby przebiegła z ciemnego pokoju do innego, w którym jarzyły się wszystkie lampy. Mogła tylko zamknąć oczy.

Obudziła się kilka godzin później, Rex i Edith siedzieli na brzegu kanapy w wieczorowych strojach. W jej wspomnieniach wyglądali znacznie młodziej, teraz wydali jej się tak wąтли i delikatni, wyrwani ze swojego wielkiego domu, z przestrzeni, którą uważali za swoją.

– No dobrze – stwierdził Rex, zacierając ręce. – Pora zacząć przedstawienie. Zjadłbym konia z kopytami.

– Tatusiu.

– Możesz się odświeżyć, Dote. Spotkamy się w barze.

Wyłożone marmurem lobby wypełniał roziskrzony tłum. W Vevey o tej

godzinie wszystkie lokale były już od dawna zamknięte, ale kiedy Mary Frances zeszła na dół, Rex i Edith właśnie kończyli koktajle i po chwili wsiedli do taksówki. Przejechali przez całą dzielnicę do Maison Prunier, bo właśnie taki Paryż, wytworny do granic możliwości, chcieli zobaczyć Rex i Edith. Wnętrze *brasserie* przypominało akwarium, ściany z czarnego marmuru z inkrustacjami w kształcie złocistych okręgów, blask świateł, puszyste dywany i cięte szkło. Przesuwając dłonią po tapicerowanej ławie Edith natrafiła na kolczyk wysadzany rubinami. Kelner schował go do kieszeni zawstydzony za nich oboje.

Zamówili potrawy, jakich nigdy wcześniej nie jedli, dary mórz: małże i ślimaki morskie, tłuczone ziemniaki z kawiozem, szampana i wino. W pewnej chwili Rex, układając dłonie w miseczkę, chyłkiem poprosił kelnera o dokładkę kawioru, najlepszego, jaki kiedykolwiek jadł. Dobry Boże, chciał się nim nasycić.

Przez następny tydzień codziennie jadał kawior w całym mieście, w znakomitych restauracjach, barach i bistrach, podawany w formie kopczyka na lodzie, nakładany łyżeczką z kości słoniowej na grzanki, bliny, jajka i ziemniaki, ale Rex zawsze wspominał tamten pierwszy wieczór, pierwszy kęs, powtarzając, że nigdy nie skosztuje już niczego równie wspaniałego. Uśmiechał się do Mary Frances, a ją ogarniała niedorzeczna duma i melancholia, potem płacili i spacerowali po parkach albo ogrodach przy Luwrze czy Palais-Royal, aż znowu zgłodnieli.

Czuła na sobie brzemię, a dźwiganie go w milczeniu uważała za swój obowiązek. Wysłuchiwała zachwyty Edith nad kwiatami, jej biadoleń nad Davidem, który niedługo miał przystąpić do egzaminu magisterskiego, i nad nowym chłopcem Norah. Jej uwagę zwracało każde głębokie westchnienie rozkoszy Rexa zachwyconego pierwszym urlopem od pracy w gazecie, na jaki pozwolił sobie od niepamiętnych czasów. Nie pytali o jej teksty, nigdy im ich nie pokazała, dlatego nie uważali jej za pisarkę. Wyobrażała sobie chwilę, w której do egzemplarza swojej książki wpisuje dedykację dla Rexa i Edith i wysyła im go do Kalifornii. Czy w ogóle potrafiłaby przygotować rodziców na spotkanie z tą częścią siebie, której dała wyraz w swoich esejach? Z tą Mary Frances, którą stanie się za rok, kiedy przeczytają to, co napisała?

W hotelu ani razu nie czekały na nią listy.

Do czasu ukończenia budowy hiszpańskiego pawilonu obraz przechowywano w pobliskiej galerii. Mary Frances zaprowadziła rodziców na Pole Marsowe, za ich plecami pięła się misternie utkana wieża Eiffla, flagi łopotały na wietrze, a nad fontannami unosiła się lekka mgiełka. Przygotowania do wystawy światowej trwały jeszcze w najlepsze, ale niemiecki pawilon, forteca z orłem na szczycie, już górowała nad usytuowanym naprzeciwko radzieckim sierpem i młotem.

Znaleźli galerię nieopodal Trocadéro, pokazali bilety, ale kurator

zachowywał się tak, jakby podejrzewał ich o fałszerstwo.

– Przykro mi, madame. Dziś nie można obejrzeć *Guerniki*. Wróci pani w lipcu na uroczyste otwarcie?

– Już nas tu nie będzie. Wyjedziemy z Paryża.

– Tak czy inaczej, madame, obraz będzie gotów dopiero w lipcu. Z radością panią wtedy zaprosimy.

Mary Frances spojrzała na drzwi galerii. Pilnowało ich dwóch Afrykańczyków w mundurach, których nie potrafiła zidentyfikować, trzymali dłonie na pistoletach, nieruchomo patrząc przed siebie.

– Grożono nam, madame. Proszę o wyrozumiałość.

Poczuła narastającą panikę, ale przypomniało jej się, jak Tim, z determinacją wypisaną na twarzy, nad kuchennym stołem podawał jej kopertę z adresem. Nie chciała się awanturować po francusku, ale nie pozostało jej nic innego, jak wydać polecenie tonem nieznoszącym sprzeciwu :

– Otrzymaliśmy specjalne pozwolenie – oświadczyła. – Ma pan telefon? Proszę zadzwonić do galerii.

Jegomość westchnął. Schował złożone bilety do kieszeni koszuli, cmoknął z pogardą, a może w ten sposób wyraził zgodę, nie potrafiła już odróżnić jednego od drugiego. Wszedł między strażników, otworzył drzwi i zamaszystym gestem zaprosił Mary Frances i jej rodziców do środka.

Ogromnych rozmiarów malowidło zajęło całą ścianę, pomieszczenie było zbyt małe, by obraz dał się objąć jednym spojrzeniem. Mary Frances przeszła wzdłuż czarno-białej, przeladowanej kompozycji, na którą składały się otwarte usta, zdeformowane postacie, bestie i ludzie, a nad wszystkim unosiła się sylweta byka zbroczonego farbą drukarską, spływającą strumieniem na płataninę kształtów w dole.

W pierwszej chwili pomyślała o Alu. Przyjrzała się ułożonej ukośnie, płaskiej twarzy jednej z postaci, odrażającej, z uniesionymi błagalnie rękami, i nagle zrozumiała, do czego zmierzał, kiedy mówił o Hiszpanii, wojnie i tym, co nadchodzi. Taki rodzaj bólu potrafimy zadać tylko sami sobie.

Odwróciła się do stojących za nią rodziców, z zadartymi głowami wpatrywali się w obraz, tacy malutcy i onieśmieleni, wtuleni w siebie, jakby patrzyli na coś, co zaraz miało na nich spaść z wysoka. Edith oglądała malowidło z narastającą odrazą i Mary Frances uświadomiła sobie, że nie będzie mogła przyznać się przed matką, co tak naprawdę się stało. Nie mogła liczyć na odpuszczenie win.

Ochłonęli w pobliskiej kawiarni. Nie rozmawiali, nawet Edith się nie odzywała. Kiedy podszedł kelner, Rex nie zwrócił na niego uwagi, a Mary Frances po francusku poprosiła o szampana i rillettes, choć przecież obsługiwano tu tysiące obcokrajowców, więc Rex bez trudu złożyłby zamówienie. To, że milcząco zdał się

na córkę, dodatkowo napawało ją smutkiem.

Obserwował wysokie młode Niemki kręcące się wokół budynku po drugiej stronie ulicy i grupkę niemieckich oficerów pijących piwo i grających w karty.

– Austria jest tak blisko – powiedział.

Z ust Mary Frances wydobył się cichy jęk, ale Rex nic więcej nie dodał, tylko zmarszczył pięknie zarysowane brwi. Odziedziczyła je po nim. Właśnie o tym chciała myśleć, a nie o Austrii, Niemczech i przyszłości groźnie majaczącej na horyzoncie.

– Jedźmy do ciebie już jutro – zaproponował Rex. – Tak bardzo chciałbym zobaczyć twój dom.

Mary Frances wbrew sobie przystała na jego propozycję. W Vevey była przecież osaczona przez wiadomości, Alpy i wszystko, co czekało na nią po drugiej stronie.

Bagażowy zjawił się późnym popołudniem. Walizka Mary Frances była ciężka, zapewne pełna książek i prezentów od rodziców, które kupić można było tylko w Paryżu i nigdzie indziej. Al dał chłopcu napiwek i postawił bagaże w sypialni, przy łóżku żony. Przyglądał im się przez chwilę, a potem zamknął drzwi.

Bagażowy przyniósł też liścik: państwo Kennedy zapowiedzieli się na piątą na drinka, a Mary Frances zarezerwowała stolik na kolację u Doellenbacha. Poprosiła Ala, by przywitał gości, i podpisała wiadomość inicjałami. Tylko tyle.

Zastanawiał się, jakie listy słała do Tima.

Szczerze go to ciekawiło. Wściekłość, uraza, poczucie upokorzenia i wstyd już się ulotniły, pozostawiając po sobie tylko lekkie zaintrygowanie niczym pustą skorupę. Układał przeszłe wypadki na linii czasu, próbując ustalić, które z nich pierwsze go okłamało. Stawiał na Mary Frances. Doszedł do wniosku, że ona zawsze mydliła mu oczy, natomiast Tim był z nim szczery – prócz tego jednego razu, kiedy rozminął się z prawdą. Sam nie wiedział, dlaczego łatwiej mu znienawidzić ją niż jego. Może po prostu dlatego, że go tu zostawiła, a on po wyjeździe musiał wziąć na siebie część ich monstrualnej przewiny.

Cały wyjazd do Le Paquis był jednym wielkim kłamstwem. Tego był pewien.

Musiał przetrwać jeszcze kilka dni. W spakowanej walizce trzymał pięćset dolarów i bilet na statek, który w sierpniu miał zabrać go z Anglii do Nowego Jorku. Został mu do dopełnienia ostatni obowiązek małżeński, a potem czekała na niego ciemność, nicość, w której nie odczuje bólu. Przed nim rozciągała się pustka.

Na klatce schodowej rozległy się kroki Kennedych i ich radosne głosy, a Mary Frances śmiała się najgłośniejszym i najdźwięczniejszym z całej trójki. Al przypomniał sobie, jak przed laty przyszedł do Parrishów na przyjęcie, tuż przed wyjazdem Tima do Delaware. Wtedy jego przyjaciel był załamany. Teraz miał się

świetnie, tak jak Mary Frances, która razem z rodzicami właśnie stanęła w drzwiach mieszkania. Al podszedł do nich, wyciągnął do Rexa rękę na powitanie, ucałował Edith w policzek. Czuł, jak mięśnie na jego twarzy zaczynają pracować, a jakaś złowroga energia kinetyczna kieruje wieczór na właściwe tory.

Zaproponował im martini. Zapytał Rexa, jak podobał mu się Paryż, i wysłuchał opowieści o spacerach w Tuileries i po Polach Elizejskich, o psach, chlebie i sztuce. Zapytał Edith, co u dzieci, i dowiedział się, że Norah na każdym kroku musi poprawiać swojego korepetytora od francuskiego, a David jest na poligonie, do twarzy mu w mundurze i – jak się okazuje – całkiem nieźle strzela.

Wtedy z ust Mary Frances wydobył się cichy, ukradkowy śmiech niczym bezwiednie rzucona klątwa i Al miał ochotę ją spoliczkować. Nie patrzył na nią. Wsłuchiwał się w opowieści Edith o dzieciach.

Boże, gdyby mieli dzieci.

Edith zamrugła, niedookreślonym gestem wskazując na pokój, z którego nie dobiegał najcichszy dźwięk. Przez chwilę Alowi wydawało się, że mimowolnie wypowiedział na głos to, o czym myślał, ale przecież ta niezręczna sytuacja mogła mieć tysiąc przyczyn: Rex i Edith spędzili w podróży cały dzień, znaleźli się w nieznanym miejscu i nie wiedzieli, czym zajmuje się tu ich córka. A Tim gdzieś przepadł.

– Tim dołączy do nas w restauracji – oznajmił, bo wydawało mu się, że właśnie na tę informację czekają.

Tak właśnie mogłoby się stać. Przecież Tim miał niezwykłą zdolność pojawiania się we właściwym miejscu i czasie, jakby zawsze wiedział, jak należy postąpić. Mary Frances się zaśmiała, a Al wstał, by nalać sobie kolejnego drinka.

Z okna zobaczył Tima siedzącego w wiosennym słońcu przy stoliku w ogródku kawiarni. Siwe, rozwiane włosy opadały mu na czoło, przed nim leżał szkicownik, a obok stał mały kieliszek wina. Al poczuł przyływ mdłości: tak wiele się wydarzyło, tak wiele miało się wydarzyć. Okno było otwarte. Wychylił się.

– Al? – zaniepokoiła się Mary Frances.

– Gotowi do wyjścia? – zapytał. Dopijając martini, poplamił koszulę. Pokazał na okno. – Tim już czeka.

Tim poprosił gestem o rachunek. Pewnie w tej chwili Mary Frances zbierała się do wyjścia, schodziła po schodach. Głęboko w pamięci utkwiał mu dzień jej wyjazdu do Paryża, codziennie wracał do niego myślami. Wiedział, kiedy jej pociąg zatrzymał się na peronie i jaką drogą ona przyjedzie do domu, a potem, kiedy siadał przy kawiarnianym stoliku, już wchodziła do mieszkania. Ogromny był zakres jego domysłów i kalkulacji: jak blisko, jak szybko. Przy odpowiedniej dozie cierpliwości – pomyślał – można osiągnąć wszystko.

Wydawało mu się, że jego kark nie utrzyma ciężaru głowy. Naszło go

wspomnienie tamtego wieczoru w teatrze, moment, kiedy podłoga usunęła mu się spod nóg. Wciąż to czuł, być może z jej powodu, bo całkowicie go zaabsorbowała. Szła już po schodach. Zamknął i otworzył oczy. Nadchodzi.

Kiedy stanęła na chodniku po drugiej stronie ulicy, poczuł się jak ktoś, kto właśnie odnalazł właściwą stację radiową, natrafił na odpowiednią częstotliwość, a z głośnika popłynął czysty dźwięk. Ona dotknęła szyi kciukiem, a jemu wydawało się, że wyczuwa jej puls, cienką skórę, paznokiec.

Szukała go wzrokiem. Wstał i dał się znaleźć.

Mary Frances.

Przeszedł przez ulicę i przywitał się z jej rodzicami i Alem. Ją też chwycił za rękę i przycisnął jej palce do swojego policzka. Miała nowe perfumy. Od wyjazdu do Paryża nie odezwała się do niego ani słowem, a teraz nie miało najmniejszego znaczenia to, co sobie powiedzą. Chciał zamknąć ją w swoich ramionach.

Nie pamiętał, jak dotarli do restauracji.

Jej rodzice wypełnili ciszę, nie przestawali zadawać pytań o przyszłość. Chcieli wiedzieć, nad czym pracuje Al, czy książka Mary Frances wkrótce się ukáže. Edith zaczęła nawet opowiadać o tym, jakim uroczym szkrabem jest Sean, tak grzecznym, że można by go zabrać dosłownie wszędzie, nawet za ocean. Mary Frances i Al, bladzi i sparaliżowani, siedzieli na przeciwległych krańcach stołu. Nawet pytanie o plany na następną dzień wprawiało ich w konsternację.

Kelner odszedł od ich stolika, a Mary Frances odwróciła się, jakby próbowała pójść za nim, pochwycić coś nieosiągalnego.

Tim poczuł się odpowiedzialny za sytuację. To on wpadł na pomysł, by przyjechali we trójkę do Le Paquis. Miejsce, w którym kiedyś chciał rozpocząć nowe życie, teraz miało umożliwić mu kolejną ucieczkę.

– Jutro moglibyśmy obejrzeć dom – zaproponował. – Napełnimy bagażnik jedzeniem i urządzimy sobie piknik.

– Och, cudownie – przyklasnęła mu Edith.

Przypomniał mu się tamten wiosenny dzień sprzed roku, kiedy po raz pierwszy pokazał Le Paquis Mary Frances, a teraz opowiadał o nim Kennedym, nie okłamywał ich, raczej częstował ich ogólnikami. Wszystko było tam soczyście zielone, łąka kwitła, a mury domu wzrastały na solidnych fundamentach. W ogrodzie właśnie dojrzewał groszek, a czy jest coś pyszniejszego niż świeży wiosenny groszek? Urządzą sobie piknik, zestawią stoły stolarskie, rozłożą obrus pod gołym niebem, pod gwiazdami. Schłodzą wino w źródelku. Obejrzą nowy dom Mary Frances.

– To mi się podoba – orzekł Rex. Spojrzał na Ala. – Zupełnie inaczej niż poprzednio.

– Co pan ma na myśli?

– Przypominam sobie, że kiedy byliście z Mary Frances w Dijon, co

weekend odwiedzaliście inną miejscowość. Zmieniście mieszkania jak rękawiczki. Przez pewien czas co tydzień wysyłałem wam pieniądze.

– Tatusiu – obruszyła się Mary Frances.

– Byliście tacy młodzi. – Rex dotknął jej dłoni, jakby się zawstydził.

Al chrząknął.

– To były inne czasy, proszę pana. Tim zadbał o wszystko, przygotowuje dla nas dom z ogrodem. – Spojrzał ze spokojem na siedzącego naprzeciwko Tima. – Obawiam się, że niewiele mamy do zaoferowania w zamian.

Tim spuścił głowę i uśmiechnął się, kładąc otwartą dłoń na udzie.

– Takie doświadczenia są bezcenne – zawyrokował Rex.

– W rzeczy samej, proszę pana.

Kelner przyniósł przybrązowanego kurczaka z rusztu i kolejne butelki schłodzonego dżaleya. Mary Frances wstała od słabo oświetlonego stolika, przeprosiła i wyszła. Po kilku minutach Tim przypomniał sobie, że zostawił papierosy w kawiarni. Zaraz wrócę – dodał.

Zobaczył ją opartą o ceglany mur przed restauracją, kręciła głową. Nic nie powiedział, nie znajdował odpowiednich słów, podszedł do niej i położył jej dłoń na karku, zbliżył usta do jej ust, policzka, płatka ucha, pod kciukiem poczuł puls na jej szyi, tak jak przed kilkoma godzinami.

Wcześniej nie pozwalała sobie na rojenia o ich przyszłym życiu, ale teraz nagle zobaczyła to, co zbliża się wielkimi krokami.

Wyjęte z piekarnika przepiórki mają złocistą, chrupiącą skórkę, aż proszą się o przystawkę w postaci świeżego wiosennego groszku, przydałby się też długi stół na kamiennym tarasie, nadchodząca ciepła wiosna i rodzinne zgromadzenie. No i Tim, jak zawsze.

Przypomina jej się popołudnie spędzone przed trejazem, Tim i Al zrywali młode strączki groszku, które wpadały do mis dźwięczących jak dzwoneczki, skąd wyjmowała je Edith, by rozciąć je czubkiem paznokcia kciuka. Rex wyciągnął się na krześle wpatrzony w spokojne jezioro srebrzące się w coraz dłuższych promieniach słońca. Potem wszyscy zasiedli do stołu przed parującymi talerzami, z daniem o barwie absolutnej nowości, idealnie zielonym, skąpanym w solonym maśle, pękającym w ustach pierwszym wiosennym groszkiem. Wokół tylko brzęk noży i łyżeczek uderzających o porcelanę, schylone głowy ludzi, których kochała najbardziej na świecie, w miejscu, które tak uwielbiała, w niezwykłym momencie. Wtedy po raz ostatni byli razem, na dobre i na złe.

Traci równowagę, stawy odmawiają jej posłuszeństwa, wtula głowę w ramiona. Za bardzo obciążyla dziś stopy. Chyba się zmęczyła. Powinna się położyć.

Ciepły ogień pomrukuje pod rusztem, rdzawy kot zwija się przed nim w kłębek. Na końcu korytarza jej osobisty bibliotekarz bierze kąpiel. Wydaje jej

się, że słyszy, jak on nuci jakąś starą melodię z serialu, ale ostatnimi czasy jej słuch stał się zmysłem niezwykle twórczym, jeśli pojawia się jakaś luka, natychmiast ją wypełnia. Może w ten sam sposób oddziałuje na nią teraz czas – wypełnia ją.

Jakaś siła przyciąga ją ku światłu wydostającemu się ze szczeliny pod drzwiami, piosenka okazuje się szemraniem wody spływającej z jego ciała, tak podpowiada jej wyobraźnia, która wciąż dobrze jej służy. On pewnie jest silny, skoro sam załadował pudła do vana, i zręczny, w przeciwnym razie nie oskubałby tak dokładnie przepiórek. Powoli oblewa ją rumieniec: wciąż ma w sobie dość siły, by pójść za tymi podszeptami.

Koniuszkiem palca sunie po półce regału ciągnącego się wzdłuż ściany korytarza, książki mają lśniące obwoluty i grzbiety. To jej ostatni dom, zna na pamięć każdy jego kąt. Ściąga buty, upuszcza je jeden po drugim na podłogę. W końcu naciska klamkę.

* *Désolé, désolé. Vous êtes désolé* (franc.) – Przykro panu, przykro. Jest panu przykro.

Idylla
1937

Byli w sobie szaleńczo zakochani. Nie wszystkie problemy rozwiązywali z jednakową łatwością, ale one były daleko od Le Paquis, ich ogrodu i książek, w innych krajach, za oceanem. Mogli w dogodnym dla siebie momencie otwierać listy z wiadomościami, włączać lub gasić radio. Całymi tygodniami nie jeździli do miasta, nie widując żywej duszy. Zajmowali się tylko zaspokajaniem głodu i uprawianymi samodzielnie roślinami.

Budowę domu ukończono zgodnie z planem, przestrzenie przechodziły płynnie jedna w drugą, tutaj odpoczywali, tu jedli, a tu gotowali, masywne, kamienne, kręte schody prowadziły na piętro do rozświetlonego letnim słońcem pokoju Tima. Mary Frances zajęła te pomieszczenia, które zachowały się ze starego domu – królikarnię pod schodami i zaciszny kącik koło pieca.

Rozbiła niebieskie jajka od kur winiarza z naprzeciwka, ubiła je i rozgrzała odrobinę masła na patelni, by usmażyć omlet. Za oknem chłopcy dopiero drugi raz tego lata kosili na łące trawę, wraz z nią ścinając rumianek i dorodny fioletowy oset, ale Mary Frances wiedziała, że kwiaty odrosną z nawiązką.

Zawołała Tima na śniadanie.

Pocałował ją. Jego usta smakowały jak tytoń i miód. Widziała, że odetchnął po kilku miesiącach życia w ciągłym napięciu. Teraz trudno było im zrozumieć, po co tyle zwlekali, jakie względy nimi kierowały, co próbowali ocalić. Obiecała sobie, że nie zmarnuje już ani chwili na zastanawianie się, czego tak naprawdę chce – nie teraz, kiedy wreszcie byli razem.

Siedzieli obok siebie przy długim stole w stylu *valaisanne*, siwe włosy Tima z pasmami o kadmowym odcieniu przypominały pierzysko strzały. Rozmawiali na temat powieści, którą zamierzali razem napisać o kobiecie osaczonej przez dramatyczne okoliczności. Wciąż wymyślali fabułę. Jedli omlety delikatne jak muślin, kruchą sałatę ze swojego ogródka z odrobiną musztardy i pili piwo schłodzone w źródelku. Mary Frances poszła po swój notatnik, a Tim przyniósł z kuchni miseczkę truskawek i dzbanuszek gęstej śmietany. Ich bohaterka byłaby wdową. Za czym by tęskniła? Wymyślili jej już nazwisko: Victoria Berne.

Jej książka *Serve It Forth* przysłała z Nowego Jorku wraz z kilkoma pierwszymi recenzjami, niektóre z nich okazały się pochwalne. W paczce znalazła też czek. Przeglądając wycięte z gazet artykuły, nie mogła sobie przypomnieć głównych wątków w esejach, do których odwoływali się krytycy, jakby napisała je w transie albo w innym życiu. Oczywiście z dumą przeczytała kilka pierwszych tekstów, ale po chwili przestały na niej robić wrażenie, właściwie zupełnie zubożniała. Napisała tę książkę tak dawno temu.

W snopie światła padającym z otwartego okna tańczyły drobiny unoszące się

z siana. Ranek dobiegał końca, a oni mieli sporo pracy wokół domu. Tim spojrzał na nią tęsknie. Wyciągnął rękę i zakończonym kwadratowo palcem przesunął po jej obojczyku, a ona odchyliła głowę, by w pełni rozkoszować się jego dotykiem.

– Do twarzy ci ze szczęściem – powiedział. – To szczęście, a nie gorączka, prawda?

Zaśmiała się.

– Jedno z dwojga.

– Tak.

Położył dłoń na jej bijącym sercu, a teraz, kiedy byli razem, czas płynął w tym samym rytmie, gdzieś obok.

Ogród był tyranem, ale dzięki niemu mieli co jeść. Nigdy nie widziała tak czerwonych pomidorów jak te, które rosły na podporach zrobionych przez Tima z ocynkowanego drutu. Groszek już się skończył, ale Tim zasiał rzodkiewkę między główkami sałaty, by zapewnić jej cień latem. Rośliny współpracowały ze sobą. Bakłazan, papryka, cukinia i fasola rosące pod folią użyźniały glebę. Bazylia, cebulka, kilka melonów i ziemniaki – zbierali je jesienią i przechowywali przez zimę. Od strony tarasu ciągnęły się szpalery jabłoni i grusz, które owocowały od dziesięcioleci, dalej bujnie pięła się winorośl, a za nią rozciągało się szerokie błękitne jezioro jak szklana tafla.

Mary Frances weszła między grządki z koszykiem i zrywała wszystko, co dojrzało, za nią Tim podwiązywał łodygi i rozsypywał na ziemi pokruszone skorupki jajek. Czuli na karku gorące słońce, mieli opalone ramiona i połamane, brudne paznokcie.

– Dziecko – powiedział Tim. – Wdowa pragnie dziecka.

Dłoń Mary Frances zawisła na moment wśród winorośli, już mu przytakiwała, a w jej wnętrzu dokonywała się alchemiczna przemiana. Dziecko.

– Mogłaby ponownie wyjść za mąż – dodała. – Za kogoś, kto ma dzieci.

– Z poprzedniego związku.

Nie widziała Tima w zielonej gęstwinie, słyszała tylko chrobot wideł drapiących o suchą ziemię. Zastanawiała się nad tym, jak najlepiej wprowadzić ten wątek do powieści, gdzie wdowa mogłaby spotkać mężczyznę, jak i dlaczego się poznają. W ciszy przez jej umysł przemknęła myśl o dziecku, którego chciał Al, i uświadomiła sobie, że nawet to dążenie obróciło się wniwecz z powodu ich trójkąta: Al pragnął dziecka, ale nie potrafił się o nie postarać, a Mary Frances pragnęła Tima. Teraz już mogła to przeanalizować. Mogła o tym z nim porozmawiać. Dzielili się ze sobą wszystkim, niekiedy mimochodem, przy okazji innych dyskusji. Teraz, kiedy zostali sam na sam, światło docierało do najdalszych kątów.

Jej koszyk był pełen pomidorów i fasoli. Część przeznaczyła na przetwory. Kiedy ostatnim razem wyprawili się w góry do sierocińca we Fryburgu, samochód

pękał w szwach od cukinii, pęczków liściastej botwinki i marchwi. Zbierali więcej, niż byli w stanie zjeść.

– A sierociniec? – zapytała. – Może adoptuje dziecko z sierocińca?

Wstała, położyła dłonie na łędźwiach i rozprostowała plecy. Szukała wzrokiem Tima, ale on już poszedł do domu.

W pokoju Tima stało szerokie białe łóżko, często, leżąc na nim, wyglądała przez okno na jezioro, a czasem, kiedy on malował po południu, w drzwiach ściągała zabłocone spodnie i kładła się na brzuchu, a jej krągłe, białe pośladki wyglądały jak zaproszenie. Po francusku liczyła, ile sekund zajmuje mu przejście przez pokój. Ściągał jej koszulę przez głowę i odrzucał na bok. Przytulał się do niej. Robił, co tylko chciał, jego płótna stały oparte o ściany: to był jego dom, ich dom, coś wspólnego.

– Po raz pierwszy w życiu żałuję, że nie mogę mieć dzieci – wyznał.

Oparła czoło o poduszkę. To rozmowa o wdowie dała mu do myślenia, powieść też tworzyli przecież razem. Poczwała, jak wibrują w niej nowe możliwości. Nie odczuwała chęci posiadania dziecka, ale raczej coraz wyraźniej dający o sobie znać odwzajemniony pociąg, bezustanny niedosyt.

– Powtórz to – zażądała.

– Chciałbym mieć z tobą dziecko.

Nie wszystko było możliwe, ale już się przekonali, że chcieć znaczy móc.

Nocą pojawiły się pierwsze oznaki zbliżającej się jesieni, chłód kazał im zamknąć okna i rozłożyć dodatkowy koc na łóżku Tima. Na łące kwitły astry, dojrzewały winogrona, jabłka i gruszki były jeszcze kwaśne, a oni pozyskiwali nasiona z ostatnich warzyw. Potem nadeszła pora na dokładne zagrabienie ziemi, by wiosną zacząć wszystko od nowa.

Mary Frances chciała rozwodu.

– Możesz złożyć pozew listownie – radził jej Tim. – Dokumentom łatwiej podróżować niż tobie.

Nasunęła kołdrę na ramiona i przyglądała się twarzy Tima w świetle ognia.

– Chcę zobaczyć dzieciaki. Zorganizuję wizytę Norah i Davida.

– A Anne?

– Och, Anne. – Mary Frances poczuła w brzuchu bolesne ukłucie. – Anne z pewnością będzie mi miała wiele do powiedzenia. Rex i Edith też. Chcę załatwić to osobiście i mieć wreszcie spokój.

Tim ułożył ją na poduszkach, jego dłoń błędziła po jej płaskim brzuchu. Westchnęła.

– A potem wrócę do ciebie.

Ustami dotknął jej skóry.

– Ach, Mary Frances, co mam zrobić, by cię przy sobie zatrzymać?

Nie ustawał w wysiłkach przez całą noc.

Mimo to po Bożym Narodzeniu pojechała pociągiem do Cherbourga, a stamtąd popłynęła dalej. Kiedy tylko ląd zniknął jej z oczu, uświadomiła sobie, że popełniła pomyłkę. W rzeczywistym świecie czas płynął zwyczajnie. Dopadły ją wyrzuty sumienia i żal, że nie wszystko skończyło się tak, jak sobie tego życzyła. Czowała się wystawiona na ciosy, jakby ochronną skorupę zostawiła w domu. Krótkie, ciemne, zimowe dni w Le Paquis miały ją ominąć, a wraz z nimi wspólne chwile odpoczynku i pracy, długie noce. Co ona sobie wyobrażała?

W Nowym Jorku tylko złożyła podpis we wskazanym przez notariusza miejscu.

– Wolno mi jeszcze posługiwać się nazwiskiem Fisher? – zapytała. – Czy muszę z niego zrezygnować?

Prawnik wzruszył ramionami. Tylko wykonywał swoją robotę.

– Zapłaciła pani za nie, więc chyba należy do pani.

Kiedy nachylił się nad biurkiem, jego jasnoniebieski krawat opadł na blat. Wskazał kolejne miejsca, a ona podpisywała się jako M.F.K. Fisher.

Podróż do Kalifornii zajęła jej trzy dni, ale i tak rodzina Kennedych wydawała się nieprzygotowana na jej przyjazd. Rex był pochłonięty pracą w redakcji z powodu kolejnych zmian personelu, a Edith od wycieczki do Paryża postarzała się, zrobiła się nerwowa i niezdecydowana. Młodsze rodzeństwo jeszcze nie przyjechało ze szkół. Mary Frances postanowiła, że o rozwodzie powie im, kiedy wszyscy się zgromadzą, wtedy załatwi sprawę raz a dobrze.

Nie potrafiła jednak wypełnić czasu tak jak kiedyś. Nie miała najmniejszej ochoty na pieczenie, wekowanie i wysłuchiwanie plotek Edith na temat całego miasteczka. Wciąż pamiętała wyjazdy z domu w Eagle Rock na Ranczo jako jeden wielki wir pracy. Może rzucała się weń, byle nie zastanawiać się zbyt długo nad swoim życiem z dala od domu. Teraz inaczej wyobrażała sobie odpoczynek.

Samochodem Rexa urządziła sobie przejażdżki do miasta i nad ocean. Słyszała, że Gigi i John Weld po ślubie osiedli w Lagunie i wydawali tam gazetę. Gigi zmieniła imię na Katy. Mary Frances zapytała na pocztce o ich adres.

Mieszkali w dużym, rozłożystym domu krytym sfatygowanym cedrowym gontem, na podwórzu bujnie rosły jałowiec i szałwia, wśród których prawdopodobnie wałały się rowerki i zabawki. Mary Frances nawet nie wzięła pod uwagę, że Gigi mogła założyć rodzinę. Teraz jej dawna przyjaciółka wyszła na ganek, osłaniając oczy przed słońcem, wciąż piękna i młoda.

– Mary Frances? – Gigi się rozpromieniła. – Witaj! Co za niespodzianka.

– Przepraszam, że się nie zapowiedziałam. – Mary Frances uśmiechnęła się, ale nie wysiadła z samochodu. Tak jakby wciąż jechała, spojrzała na wąską drogę wiodącą do nadmorskiej autostrady. – Wpadłam do miasta tylko na chwilę.

– Wejdz, napijemy się czegoś. John jeszcze nie wrócił z redakcji. Jestem sama. Wejdz.

– Och, nie mogę. Edith czeka na mnie z kolacją.

Gigi nachyliła się do okna od strony pasażera, opierając łokcie na drzwiach.

– W takim razie umówmy się w przyszłym tygodniu na lunch w Hollywood.

Wybierz jakiś dzień.

– Cudownie.

Mary Frances włączyła silnik. Musiała się stamtąd jak najszybciej wydostać.

– Pozdrów ode mnie Ala – zawołała Gigi.

Mary Frances skinęła głową.

– Oczywiście, pozdrowię.

Odjeżdżając, widziała we wstecznym lusterku, jak Gigi, tak elektryzująca jak dawniej, odprowadza ją wzrokiem. Mary Frances zastanawiała się, czy jej dawna przyjaciółka tęskni za życiem w Hollywood, gdzie zmarnowała talent, i czy wiedziałaby, co ze sobą zrobić, gdyby tam wróciła.

Nie zostały żadne nieuregulowane rachunki, nie można było niczego wygrać ani stracić. Ich losy płynnie przeszły w inne ręce, a jeśli istniał ktoś, kto rozumiał teraz uczucia Mary Frances, to właśnie Gigi. Nie potrafiła jednak wyjawić prawdy, kiedy Gigi wspomniała o Alu. Nawet nie napomknęła o Timie. Nie zamierzała jechać na lunch w Hollywood. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała po tej wizycie i czego obawiała się tak bardzo, że zataiła prawdę, choć w końcu przecież musiała ją wyjawić.

To popołudnie wytrąciło ją z równowagi. Hysterycznie szlochając, powiedziała Edith, że Al od niej odszedł, a matka głaskała ją po głowie.

– Jestem pewna, że do ciebie wróci, Dote.

– Znalazł pracę w Massachusetts.

– W takim razie wróć do domu – zaproponowała Edith, zaczynając starą śpiewkę. – Kochanie, zawsze powitamy cię z otwartymi ramionami.

Mary Frances jeszcze bardziej się rozplakała.

Później, w gabinecie Rexa, nieco inaczej przedstawiła sytuację.

– Jesteśmy z Alem w separacji. Jeśli nie nastąpi jakaś drastyczna zmiana...

– Matka już mi mówiła.

– Sprawy trochę się zagmatwały.

Rex westchnął.

– No cóż. Już to przerabialiśmy.

– Tatusiu, to nie tak, jak myślisz. I mnie, i Alowi wydawało się, że powrót do Europy dobrze nam zrobi, że on zacznie pisać, a inne nasze problemy same się rozwiążą. Tymczasem on się ode mnie oddalał, ukazała się moja książka...

Im dłużej mówiła, tym bardziej wiarygodna wydała jej się ta wersja. Próbowwała być dobrą żoną i chciała dać Alowi dziecko. On natomiast stracił dla niej wszelkie ciepłe uczucia, wręcz zaczął nią gardzić. Próbowwała. Poniosła porażkę. Takie wyznanie powinno wystarczyć, czyż nie?

– Zamierzasz zostać z nami? – zapytał Rex.

– Pracuję nad kolejną książką – odparła. – Powieścią rozgrywającą się w hotelu w górach, do którego prowadzi kolejka linowa. Wspominałam ci o niej.

– Powieść – powtórzył. – Ile czasu jeszcze potrzebujesz?

Zapytał o to tak, jakby chciał się dowiedzieć, ile potrwa korekta artykułów z działu sportowego albo jakie koszty pociągnie za sobą jej dalszy pobyt w Vevey.

– Nie wiem – odparła. – Trudno to oszacować.

Odchylił się na oparcie krzesła i założył nogę na nogę. Jako jej ojciec zasługiwał na wyjaśnienia, a ona chciała mu ich udzielić, bo zawsze łączyła ich silna więź. Tej bariery nie potrafiła jednak pokonać.

– Masz głowę na karku, Dote – powiedział wreszcie Rex. – Jakoś sobie poradzisz.

Najwyraźniej nie mogła liczyć na inne błogosławieństwo.

Następnego dnia po południu przyszedł list od Tima. Matka z ciężkim westchnieniem podała jej kopertę, jakby Tim za wiele sobie wyobrażał, przysyłając korespondencję na ten adres. Mary Frances ostentacyjnie w obecności matki wyciągnęła list napisany na prześwitującym papierze listowym. Tim za nią tęsknił i chciał jej o tym powiedzieć.

– Prosi, żebym przywiozła mu przybory do malowania – oznajmiła. – Farby. Muszę jechać do miasta. – Złożyła list i schowała do koperty, rumieniąc się. – Może któregoś dnia wybierzemy się razem?

Matka machnęła tylko ręką, a Mary Frances wyszła.

W swoim pokoju raz po raz czytała list od Tima, palcami szukała tych miejsc na swoim ciele, które pod wpływem jego słów zaczęły pęcznieć i wibrować. Z każdym dniem coraz mniej łączyło ją z rodziną, z ludźmi, których kochała, a jednocześnie z taką łatwością ich okłamywała, a nawet zaczęła się ich bać. W weekend spodziewała się przyjazdu Anne zawsze tak chętnie manifestującej swoją moralną wyższość.

Sean, z równo przystrzyżonymi włoskami, w szortach, podkolanówkach i biało-granatowych trzewiczkach, uśmiechał się, odsłaniając rzędy równiutkich ząbków. Nie pamiętał Mary Frances, a kiedy się zbliżała, uderzał w płacz. Nie powinna się dziwić jego reakcjom, przecież nie widział jej od półtora roku. Pogodzenie się z nimi przyszło jej jednak z trudem.

Razem z Anne siedziały w cieniu drzewka cytrynowego, z którego Sean zrywał owoce, jeszcze niedojrzałe i twarde jak piłeczki baseballowe. Kładł po jednym na kolanach Anne.

– Mama pewnie już ci powiedziała – zaczęła Mary Frances.

– Mama? Och, Dote, daj spokój. Listy od ciebie były takie pokrętne. Właściwie przestałaś wspominać o Alu. Sama się zorientowałam.

Mary Frances westchnęła.

- Potrafię rozpoznać oznaki – powiedziała Anna.
- No cóż. Nie pomyliłaś się.
- Tak.
- Nie czuję się przez to lepiej.
- Przez jakiś czas nie poczujesz się lepiej, Dote.

Mary Frances w całej rozciągłości zgadzała się z Anne, ale i tak nie poprosiła jej o radę. Straciłaby uprzywilejowaną pozycję starszej siostry. Sean wciąż się wokół nich kręcił. David wyszedł na werandę i stanął na baczność, tak jak go nauczono w szkole. Nie pamiętała już, jak wyglądał w wieku Seana, kiedy absorbowały go bezcelowe czynności. Wydawało jej się, że wszyscy od dawna grają swoje role.

Do jej odjazdu pozostało tylko kilka dni.

Wtedy jednak przyjechała Norah, która uwielbiała chłopców, romanse, intrygi i sekrety! Wyciągnęły się na łóżku, Norah w samej halce i pończochach, choć w każdej chwili mogła spodziewać się nadejścia swojego kawalera, ale on należał do tych chłopców, którym należało kazać na siebie czekać. Przegadały z Mary Frances całe popołudnie.

– Kiedy byłaś pewna, że to już? – zapytała Norah.

– Och, o wiele za młodo wyszłam za męża. Postąpiłaś znacznie roztropniej, kochanie. Studiujesz, skupiłaś się na pisaniu i swoim życiu.

– Nie do końca. Nie dość. A już na pewno nie tak jak ty.

Mary Frances przeczesowała dłonią jej lśniące włosy.

– Już niedługo. Wtedy zobaczysz, jak bardzo się zmieniłaś, i sama się przekonasz, któremu z tych chłopców będziesz nadal się podobała.

– A co z tobą i Timem?

Mary Frances podparła podbródek dłonią.

– Pokochałam go od pierwszego wejrzenia. Na nic nie liczyłam. On ubóstwiał swoją piękną żonę, a ja miałam męża i wydawało mi się, że nigdy się z nim nie rozstanę. Jednak pewnego wieczoru, kiedy małżeństwo Tima i Gigi chwiała się w posadach, znaleźliśmy się razem na przyjęciu, usiadłam obok niego na taborecie przy fortepianie, gdzie ona wcześniej ćwiczyła piosenkę do filmu, przez chwilę uderzałam w klawisze i nagle mu powiedziałam. Spojrzałam na niego i wyznałam mu miłość.

Właściwie sama uwierzyła w prawdziwość tej historyjki z rumieńcem, pełnej podskórnych prądów, które są siłą napędową dobrej opowieści. Nieomal usłyszała, jak tamtego wieczoru przy fortepianie Tim pyta M.F.K. Fisher, czego tak naprawdę pragnie. Ta wersja była równie wiarygodna jak wszystkie inne, jakie rodziły się w jej głowie przez ostatnie tygodnie. Obsadzała się w roli upartej siostry, przykładnej żony i kobiety porzuconej. A gdyby wtedy, przed laty, siedząc na taborecie obok Tima, wyznała mu miłość? Czy oszczędziliby sobie mnóstwa

kłopotów i po prostu uciekli?

Czy teraz uciekają?

Norah się zaśmiała.

– O, Boże, jesteś nieustraszona.

– Byłam przerażona! Ale nie owijałam w bawełnę.

– To było dawno temu.

– W innym życiu.

Norah wstała, włożyła sukienkę przez głowę, a Mary Frances ogarnął żałobny smutek, jakby coś na zawsze utraciła. Dotarło do niej, że już nigdy nie będzie tak młoda i piękna jak Norah, już nigdy nie będzie tak szykować się na randkę. Nagle wyobraziła sobie, jaki dystans wkradnie się do ich rozmów, kiedy Norah pójdzie swoją ścieżką, a ona wróci do Francji.

Prawda o tym, co się wydarzyło i dlaczego, należała tylko do niej i Tima.

Siedział na tarasie w Le Paquis. Przytuliła się do niego i pocałowała go w miejsce na szyi, w którym znalazły się jej usta. Ciepły wiatr zakolysał łąką, której brzegi już zaczęły się zielenić.

– Jak Santa Ana – powiedziała.

– To fen. Przywiozłaś go z podróży.

Zamknęła oczy, gdy nadszedł kolejny podmuch.

– W moich rodzinnych stronach mawia się, że Santa Ana doprowadza ludzi do obłędu. Pamiętam, jak pewnej zimy nasza kucharka podcięła gardło swojej matce, a potem się zabiła. – Spojrzała na Tima. – Miała przepiękny nóż kuchenny z długim trzonkiem.

Tim się roześmiał. Objął ją, a jego palce muskały jej szyję, ona jeszcze raz poddała się uściskowi jego mocnych ramion, czuła wzbierającą potrzebę, by przeniknąć do jego wnętrza. On przyciągnął ją do siebie na leżak, jej dłonie już wdzierały się pod jego ubranie. Gazeta, którą czytał, rozsypała się na pojedyncze kartki.

– Umieram z głodu – oznajmiła. – Od śniadania nic nie jadłam.

Na dźwięk słowa głód coś w nim drgnęło. Dlaczego zapomniała o jedzeniu? Położył jej dłoń na kolanie i pokierował ją z powrotem ku sobie, jakby stał za sterami zwinnej łodzi.

Wiosna zbliżała się wielkimi krokami. W idealnie równych skorupkach po jajkach, ustawionych rzędem na nasłonecznionych parapetach, kielkowały pierwsze nasiona. Wybrali się do kasyna w Chillon na kolację z tańcami, zagrali w jednorękiego bandytę, przejechali się kolejką linową i wędrowali po górach. Zajrzeli na targ w Vevey, próbując jak najdłużej cieszyć się ostatnimi wolnymi chwilami przed nadchodzącą porą wytężonej pracy.

Słuchali wiadomości o wizycie Hitlera w Wiedniu, biciu dzwonów kościelnych, wiwatach i śpiewach, jego pobycie w apartamencie królewskim

w hotelu Imperial, tłumach na placu witających go z uniesionymi rękami. Niektórzy wdrapywali się na drzewa, by zobaczyć go na balkonie, inni trzymali dzieci wysoko w górze. Mary Frances wyłączyła radio. To się działo tak niedaleko. Tim wyglądał przez okno, papieros oparzył mu palce.

Wieczorem otulił ją ramionami.

– A jeśli będziemy musieli wyjechać? – zapytał.

– Dokąd?

– Właśnie o to pytam. Jeśli nie będziemy mogli tu dłużej zostać?

Uniosła się i spojrzała mu w oczy. Uwielbiał śledzić kontur jej opalonej twarzy. Obrysował go opuszką palca.

– Polska, Austria. Francja stoi przed nim otworem. Tylko tu jesteśmy bezpieczni.

– Po co miałby tu wkraczać?

– Po pieniądze w bankach.

– Nie mówisz poważnie.

Tim opuścił rękę. Przez chwilę przyglądał się Mary Frances.

– Nie zamierzam spędzić tu kolejnej wojny, kochanie. Tym bardziej z tobą. Nie dałbym rady.

Postanowili jeszcze poczekać. Mieli czas, za oknem ogród znowu budził się do życia. Lada chwila mogły się pojawić rzodkiewki i groszek, po nich pomidory, papryka, kukurydza, jagody, jabłka i śliwki. Potem winogrona, których miąższ wyjadały pszczoły. Podeszła bliżej do winorośli, by usłyszeć bzyczenie owadów drążących owoce. Niedługo mieli przyjechać Norah i David, znowu mogłaby pokazać dom swoim najbliższym, po raz pierwszy podzielić się z nimi swoim szczęściem. Była sobą. Nie chciała zostawiać wszystkiego, co tu zgromadziła.

Oczywiście nie mieli wyboru. Wyjazd był kwestią czasu.

Zanim się jednak wyprowadzili, młodsze rodzeństwo przybyło z Kalifornii w odwiedziny na ostatnie wielkie zgromadzenie Kennedych. Objechali razem kawał Szwajcarii i spędzili wspólnie wieczór w Bernie.

Kiedy go potem wspominała, była pewna, że dostrzegła moment, w którym ich życie nieodwołalnie się zmieniło. Przy stoliku toczyły się głośne rozmowy. Byli na rauszu, mieli pełne kieliszki lekkiego wina, już dawno temu zjedli kolację, a teraz wzbierał w nich inny rodzaj głodu. Zespół grał swing na klarnetach i trąbkach. Norah tańczyła na krześle, stawiając drobne kroki i ściągając na siebie pełne podziwu spojrzenia chłopców z sąsiedniego stolika. Mary Frances myślała o ich zachwycie i o siedzącym naprzeciwko niej Davidzie, który śmiał się po raz pierwszy, od kiedy ta jego okropna dziewczyna uciekła do Austrii i Bóg raczy wiedzieć, jaki los ją tam spotkał, spojrzała na Tima siedzącego tak blisko, że ich biodra się stykały, i już miała mu powiedzieć, ile by dała, żeby zobaczyć takie uniesienie na jego twarzy, ale coś innego ją ubiegło.

Zobaczyła, jak w jednej chwili przeszywa go paraliżujący dreszcz.

Z jego ust wydobył się przeraźliwy jęk. Zespół ucichł. Przez jego ciało popłynął ból, od którego przygasły światła w całej sali. Nie pozwolił jej dotknąć swojej nogi. Ktoś wezwał pogotowie. Usłyszała dobiegające z ciemności wycie syreny.

W szpitalu Wiktorii chirurg otworzył żyłę w udzie Tima i usunął skrzep wielkości kciuka, a następnego dnia musiał powtórzyć zabieg. Krew Tima, wywoływała kolejne zatory, czyniąc spustoszenie.

Chirurg, korpulentny Szwajcar, nazywał się doktor Nigst. Wyjaśnił jej, na czym polega schorzenie i jak przebiegła operacja, a potem powtórzył to innymi słowami. Mary Frances w milczeniu wpatrywała się w udo Tima. Skrzep. Zator. Białe bandaże nasiąkały krwią z rany.

– Dlaczego? – dopytywała. – Co jest przyczyną?

– Tego nie potrafię powiedzieć, madame. Mogę jedynie objaśnić naturę zabiegu.

– Ale czemu trzeba było operować dwukrotnie? Dlaczego akurat nogę?

– Nie wiem.

Mimo wszystko doceniała jego powściągliwą szczerłość.

– Czy to już się nie powtórzy?

Doktor Nigst wzruszył masywnymi ramionami i jeszcze raz streścił przebieg operacji. Nie wiedział, co dolega Timowi i z jakiej przyczyny doszło do zatoru, dodał tylko, że jeśli zakrzep zablokuje dopływ krwi do kończyny, trzeba będzie ją amputować. Jeśli pojawi się w sercu, dojdzie do zawału. W mózgu grozi wylewem. Mary Frances nigdy nie słyszała potworniejszej opowieści. W głowie układała już zupełnie inną.

Rankiem stopa Tima zsiniała, a potem zbielała. Wił się i jęczał, ale morfina skutecznie go obezwładniła. Prześcieradło było mokre od jego potu. Dzieciaki wpadły do nich kilka razy. David przyniósł gazety, a Norah notatnik, czekoladki i czyste ubranie. Elegancka jedwabna sukienka Mary Frances wyglądała jak przywiedły bukiet. Gdyby ją zdjęła, w pewnym sensie ogłosiłaby kapitulację. Nawet nie wyciągnęła ubrań z torby.

David zapytał Nigsta, czy jego zdaniem wybuchnie kolejna wojna.

Doktor znowu tylko wzruszył ramionami.

– Niektórzy twierdzą, że w Monachium podpisano układ. Myślę jednak, że należy spodziewać się najgorszego.

David mu przytaknął, jakby podzielał jego niepokój.

– Ale kto wie? – dodał doktor Nigst. – Kto wie?

Rex i Edith się nie łudzili. Przysłali telegram z Kalifornii z informacją, że zorganizowali już dzieciom powrotną podróż. Norah musiała porzucić lekcje niemieckiego i gry na akordeonie, a David ostatnie bolesne wspomnienia

o okropnej byłej dziewczynie.

– Dote, nie możemy cię tu zostawić w takiej sytuacji – protestowała Norah. – Nie ma mowy.

Mary Frances spojrzała na Tima, wciąż przeraźliwie bladego i naszpikowanego lekami.

– Klamka zapadła – skwitowała.

Norah płakała. David stał dzielnie między kobietami, z dłońmi założonymi z tyłu, a Mary Frances wyobrażała go sobie w szkolnym mundurku, choć gdyby sprawy dalej toczyły się tym torem, to mogła zobaczyć go w prawdziwym mundurze. W innych okolicznościach płakałaby jak Norah i błagała Davida, by nie postępował pochopnie. Zebrałaby ich myśli i pieczołowicie poukładała w zgrabny pakunek, który mogliby zachować na później. Teraz jednak mogła jedynie wsadzić ich w pociąg.

Dzięki morfinie Tim leżał nieruchomo. Wzdychał, pojękiwał i spał, zaciskał szczęki tak mocno, że słychać było chrzęst stawów, ale ani drgnął. Kiedy działanie leku słabło, modlił się. Płakał. Wił się, jakby leżał na płonącym prześcieradle. Wystarczyło, że pogłaskała jego dłoń, a on krzyczał, jakby go uderzyła, musiała się powstrzymać przed dotykaniem go. Nigdy wcześniej nie prowadzili tak wstrząsającej rozmowy, ale nie potrafili przestać.

Nie odstępowała łóżka. Czekala. Nikt nie wiedział, czemu ból tak długo mu dokucza. Czasem, kiedy zasypiał, trzymała w pogotowiu jego szklankę z wodą, czekając na kolejne powtórzenie całego cyklu.

Kiedy stopa Tima pozółkła, doktor Nigst oświadczył, że muszą amputować nogę.

– Jak wysoko? – zapytała Mary Frances.

Nawet gdyby ucięli tylko kawałeczek, uznałaby, że to za dużo, ale zarazem oddałaby wszystko i zgodziła się na każdą cenę, byle tylko odzyskać Tima.

– Madame, proszę dać mi chwilę, bym mógł poinformować pana Parrisha o operacji. Czy może pani wyjść?

– Wyjść?

– On bardzo cierpi. Z pewnością nie chce pani oglądać...

Nawet nie musiała się nad tym zastanawiać. Determinacja zatliła się w niej na nowo i popchnęła ją do działania. Mary Frances nachyliła się nad Timem i zbliżyła usta do jego ucha. Jego dłonie ścisnęły prześcieradło.

– Kochanie – szepnęła. – Z powodu chorej nogi możesz umrzeć. Trzeba ją odciąć.

– Jezu, błagam – jęknął. – Odetnijcie ją, odetnijcie ją.

Spojrzała na doktora Nigsta tak, jakby wygrała małą batalię. Teraz mogło być już tylko lepiej. Tim wyzdrowieje, a kiedy zacznie chodzić, wróca do Le Paquis. To tylko noga. Mary Frances nigdy nie brała pod uwagę najczarniejszego

scenariusza.

– Odetnijcie ją – powtórzyła.

Jednak ból nie przeminął.

Tim z otwartą książką siedział na szpitalnym łóżku, na którym spędził już kilka tygodni. Przerzucał kolejne strony, zaledwie omiatając je wzrokiem. Wbijał wzrok w książkę, ale nie czytał, wyglądał za okno, patrzył na nią. Pomyślała, jak trudno nie znienawidzić tego czegoś, co nie pozwala jej ukochanemu wypłynąć ku niej na powierzchnię. Zapisała to sobie.

Teraz zapisywała wszystko – to, o czym informował ją doktor Nigst i pielęgniarki, to, co Tim mówił w chwilach przytomności i co wykrzykiwał w zamroczeniu. Pisząc, zszywała ze sobą myśli, byle tylko na coś jej się przydały, bo teraz działo się coś ważnego, co kiedyś będzie chciała wspominać. Pewnego dnia spróbuje przypomnieć sobie wszystko, nawet ten moment.

Słowa zapełniające kolejne strony, jedno za drugim, świadczyły o upływie czasu. Światło wpadało do sali, w południe i o czwartej zjawiała się pielęgniarka, przynoszono posiłki, choć teraz Tim nawet ich nie tykał, pisała, by jakoś przejść od jednej chwili do następnej. Tylko o ciemności nie umiała nic powiedzieć. W mroku, kiedy Tim potrafił wydobyć z siebie jedynie cichy szept, błagał ją, by podsunęła łóżko pod okno, rozbiła lustro, uniosła poduszkę, błagał o pomoc. Oczywiście zapewniała go, że mu pomoże. W ciemności była gotowa na wszystko.

Rankiem dostawał jednak zastrzyk, poprawiało mu się i znów zaczynał się od nowa.

– Wiesz, zupełnie już nie pamiętam, jak wyglądał ten kawałek, który mi odcięli.

Podniosła wzrok znad notatnika. Tim wpatrywał się w pofałdowaną kołdrę, pod którą w miejscu odciętej nogi coś jeszcze go mrowiło, piekło i swędziało.

– Ja też nie – wyznała.

– Być może miałem wrastający paznokieć, ale nie jestem tego pewien. Nie pamiętam. Wyglądał tak samo jak pozostałe.

Nagle przyszło jej do głowy, że zetnie włosy, będzie chwytać kolejne pasma i obcinać tuż przy skórze. Chciała je zgolić. Pozbyć się tego, co nie ma znaczenia.

– Coś znajdziemy – zapewniła go. – Coś, co zda egzamin. A kiedy lepiej się poczujesz, wrócimy do naszego domu i ogrodu w Vevey.

– Naszego ogrodu? Teraz to będzie twój ogród.

– Nie pleć głupstw, kochanie. Będziemy głodować.

Tim zbladł i dostał drgawek. Pielęgniarka już nadbiegała.

– Powiedz mi, Mary Frances, powiedz mi, jak wrócimy.

Zaczęła opowiadać.

Vevey, Szwajcaria
Wiosna 1939

To była ich ostatnia podróż koleją do Mediolanu. Nie było powodu, by tam jechać, nie mieli tam żadnych spraw do załatwienia, ale uwielbiali jazdę pociągiem, a teraz nie zostało im już nic prócz pożegnań. Sprzedali Le Paquis, wybrali kilka drobiazgów i spakowali je do pudeł. Pod koniec tygodnia wypływali z Normandii do Nowego Jorku, stamtąd mieli wrócić do Kalifornii i kupić dom na pustyni, podczas gdy cała Europa gotowała się do wojny.

Szastali pieniędzmi na prawo i lewo: kupowali książki i zostawiali je w kawiarniach, pili gimlet i dobre wina, jedli, na co mieli ochotę: na kolację frytki i piwo, półmisek smażonych płatek iskrzących się od soli. Kupili prezenty dla wszystkich znajomych, papeterię z welinu, pióra o szerokich stałówkach, włoskie pędzle, kapelusze i perfumy. Zaopatrzyli się w czternastomiesięczny zapas analgetyków, każda ampułka w osobnej przegródce tekturowego pudełka o strukturze plastra miodu, ich kufer, który wsunęła pod wąskie łóżko w Hôtel Trois Couronnes, wyglądał jak ul. Gdyby skończyły im się leki, Tim straciłby drugą nogę. Gdyby przeżył tak długo.

Kupili je od doktora Nigsta, bo tylko analgetyki uśmierzały ból Tima, nie działały uządlenia pszczoł, jad kobry, ścisła dieta ani górskie powietrze, nie pomagała morfina, whisky ani tłuczenie głową w szpitalną ścianę do pierwszej krwi. Analgetyki sprzedawano tylko w Szwajcarii, gdzie zbliżał się koniec świata.

Pełny kufer pod łóżkiem traktowali jak płynny kalendarz. Zostało im czternaście miesięcy. Wiedzieli, co ich czeka. Nie rozmyślali o tym. Nie pozostało im już nic prócz ostatniej podróży do Mediolanu. Prócz siebie nawzajem.

Kiedy północna dawka przestała działać, Tima obudził przeszywający trzewia impuls, ból coraz głośniejszy w nim szemrał. Spojrzał na zegar z tarczą z kości słoniowej. Słyszał, jak Mary Frances oddycha w rytm tykania, powoli i miarowo, wskazówka minutowa, sekunda za sekundą, tarcza wirowała coraz szybciej, aż wreszcie sprężyny w jego ciele przeraźliwie zajęczały. Dotknął Mary Frances, a ona sięgnęła po lek i strzykawkę. Trzymając szklaną ampułkę w zębach, przełamała szyjkę, napełniła strzykawkę, by czym prędzej wbić igłę w mięsień, którykolwiek – ramię, biodro, udo. Wpatrywał się w jej twarz, wyglądała jak wciąż pogrążona we śnie, a może w półśnie, dosłyszał senne westchnienia w jej oddechach, ciężki cichy syk trzymanej przez nią strzykawki wciągającej resztkę leku. Potarła jego skórę, zrobiła zastrzyk, szepcząc coś, na czym nie potrafił się już skupić. Jeszcze kilka sekund. Czekali.

Wszystko zajmowało im coraz więcej czasu. Kiedy lek zaczynał działać, przytulała się do Tima, kładąc stopę tuż przy jego biodrze i czując, jak on przywiera do niej coraz mocniej. Uśmiechała się do niego – och, rankiem powoli przewracała się na bok, ciemne, luźno splecione włosy spływały jej na plecy, ani na moment nie zamykała oczu, kładła dłoń na ostrych krawędziach jego żeber

uwypuklających się pod skórą. Był czerwiec. Od trzech tygodni i czterech dni byli małżeństwem i codziennie rano ich ciała splatały się w ten lub inny sposób, uderzali o siebie jak krzesiwo o krzemień i jakimś cudem zawsze udawało im się rozniecić ogień.

Zastrzyk podziałał i dał mu czas.

Wykąpała się i ubrała. Rankiem miała pustkę w głowie. Kolejny dzień chciał wyssać z niej wszystkie siły. Pracowała nad książką, właściwie nad kilkoma naraz, zdania łączyły się w harmonijną całość jak sprzęgane wagony kolejowe. „Jakże osobliwe życie miłosne prowadzi ostryga. Prycha i płodzi, płodzi i prycha”. Teraz zdawała się przede wszystkim na rytm, niebieska wstążka we włosach pasowała do błękitu jej sweterka i cienia na powiekach, tuż nad linią rzęs. „Prycha i płodzi, płodzi i prycha”.

Przeczytała tę linijkę tak głośno, by usłyszał ją z drugiego pokoju.

– Tim? Co o tym myślisz?

Chyba spał. Obawiała się, że któregoś dnia źle wykona zastrzyk, pomyli dawkę albo zostawi zbyt wiele ampulek w zasięgu jego ręki. Wiedziała, że teraz Tim najprawdopodobniej śpi, ale jej dłoń i tak zacisnęła się na krawędzi marmurowego blatu toaletki – Mary Frances przez całe pięć sekund nie potrafiła zmusić się, by pójść do jego pokoju.

– Kochanie – rozległ się wreszcie jego głos. – Nie słyszę. Zajrzyj do mnie i powtórz.

Pociąg odjechał ze stacji o dziesiątej, Tim, choć poruszał się o kulach, sprawnie lawirował w wąskich korytarzach. Ani razu się nie potknął, jakby wcześniej zupełnie nie potrzebował obu nóg. Uwielbiał bujanie wagonu mknącego po szynach, lubił przyglądać się Mary Frances kołyszącej się w tym samym rytmie, nie odstępował jej na krok. Razem siedzieli w przedziale, potem poszli do wagonu restauracyjnego, gdzie zza ciemnych, odrapanych stolików podziwiali wspaniałe widok, wyblakłe plakaty reklamowe nad oknami chyba od samego początku były krzywo przyklejone.

Pasażerów obsługiwał ten sam personel co zawsze. W wagonie restauracyjnym oparci o bar tyłem do kuchni stali starszy i młodszy kelner w czarnych marynarkach i długich, białych fartuchach, paląc papierosy i popijając wermut z małych kieliszków. Starszy podszedł do nich po zamówienie, z oczu płynęły mu łzy, których nie ocierał. Może opłakiwał ich, tę podróż, swoją ojczyznę, na dobrą sprawę nie miało to znaczenia. Mary Frances powiedziała mu, że brakowało jej ich wspólnych podróży. Tim zapytał o pogodę. Udawali, że nie dostrzegają jego łez i nie wiedzą, czemu płacze.

– Asti dla pani, jak zawsze? – upewniał się kelner. – Coś jeszcze?

Tim skinął na Mary Frances. Nawet nie spojrzała na menu, a kelner niczego sobie nie zapisał. W trakcie poprzednich wypraw do Mediolanu za każdym razem

coś jadła w pociągu, stary kelner zawsze udawał, że odbiera od niej zamówienie, a potem przynosił z kuchni to, co uznał za stosowne, świeżo przygotowaną potrawę, która, jak sądził, przypadnie jej do gustu. Schlebiała jej to, że traktuje ją z taką atencją. Zamieniła z nim jednak kilka słów, on skinął głową i się oddalił, a ona spojrzała na Tima.

Nachylili się do siebie i splekli dłonie. Kiedy tylko byli dostatecznie blisko, łączył ich dotyk, Tim położył stopę na przeciwległej ławie, a kule oparł o ścianę. Pociąg, sapiąc, przemierzał Alpy, których zbocza wciąż były przyprószone śniegiem. Przyniesiono im asti, korek wystrzelił, kelner chyba spodziewał się toastu za przeszłość albo przyszłość, ale oni po prostu wypili wino do dna.

Wkrótce w oddali pojawił się tunel, w którym ginęły tory, wcześniej zawsze budził w nich niepokój: echo ich przeszłych i przyszłych podróży ginęło w mroku. Czeluść napawała też lękiem kelnerów i szefa kuchni w wysokiej białej czapce. Tego dnia jednak, kiedy siedzieli naprzeciw siebie, strach nie nadszedł. Ich dalsze losy były przypieczętowane, rozgrywały się tu i teraz. Kiedy wjechali w ciemność, Tim szepnął coś do Mary Frances, a z jej ust wydobył się niski, gardłowy śmiech – dziś nie słyszy się już takiego w miejscach publicznych. Przyglądający im się młodszy kelner westchnął.

Pociąg zatrzymał się w Domodossoli, a oni wrócili do przedziału, by tam zaczekać na straż graniczną. W korytarzu minęli dwóch funkcjonariuszy czarnych koszul, obaj byli przykuci do prowadzonego przez siebie zatrzymanego. Ostatnio na porządku dziennym napotykali takie widoki, wszyscy trzej mieli ten sam pusty wyraz twarzy, Tim spojrzał im prosto w oczy i zatrzymał się, by ich przepuścić.

W ich przedziale tłoczyli się niemieccy turyści o rumianych twarzach i słusznej posturze, każdy z plecakiem, przestrzeń między siedzeniami wypełniała płatanina ich nóg. Uprzejmie wstali, by zrobić miejsce współpasażerom.

Leciutkie drżenie jego dłoni na udach uzmysłowiło jej, że ból powrócił. Spojrzała na zegarek. Jeszcze nie nadszedł czas na kolejną dawkę. Sięgnęła do torebki po pigułki, którymi mogłaby go poratować, ale gdyby tylko poprosił, zrobiłaby mu zastrzyk, było jej już wszystko jedno. Znienawidziła tę chorobę tak bardzo jak on. W drzwiach przedziału stanął celnik, ale ona nie spuszczała oczu z Tima – jego piękna, orla twarz tak się napięła, oczy przygasły. Mogłaby przysiąc, że usłyszała, jak coś pęka, i znowu zajrzała do torebki. Gdzieś tam miała pigułki.

Wreszcie położyła mu na dłoni tabletkę. Drzwi przedziału zasunęły się z trzaskiem, przez korytarz przebiegli strażnicy. Od Niemców biła woń siana i potu, słowa z chrobotem wydobywały się z głębi ich gardeł, Mary Frances uparcie wpatrywała się w Tima. Powoli jego twarz się rozluźniła. Chyba zasnął.

Pociąg stał już o wiele za długo, kiedy młodszy kelner przyszedł po nich, bo lunch był gotowy. Podenerwowanie sprawiło, że nie zamykały mu się usta, powtarzał po francusku, jak bardzo się cieszy z ponownego spotkania. Wydawało

mu się... Nie dokończył zdania. Miał nadzieję... Znowu urwał. Poprosił ich tylko, by zachowali ostrożność, szczególnie pan, monsieur. W przejściu jest ślisko.

Celnicy stali przed rozlewającą się kałużą, a sprzątaczką zamiatała odłamki stłuczonego okna w kopczyk u ich stóp. Wnętrze pociągu umyto wodą ze szlauchu. Woda wciąż kapiała z odłamka, który jeszcze tkwił we framudze.

– Co się stało? – zapytał Tim kelnera.

– Nic takiego. Wypadek.

Głos uwiązał kelnerowi w gardle, czym prędzej oddalił się, zostawiając im talerzyki z marynatami, salami, słodkawym masłem i koszyczkiem ciepłego pieczywa. Postawił przed nimi półmisek bobu obranego ze skórki, jakby ulubione danie Mary Frances musiało im wystarczyć za odpowiedź.

Starszy kelner krzyczał na zapleczu. Miał rozdarty rękaw czarnej marynarki. Gorączkowo gestykulował. Szef kuchni beznamiętnie palił papierosa.

Kiedy starszy kelner ich mijał, Tim chwycił go za rękę.

– Co się stało? – powtórzył.

Starszy kelner wyrwał dłoń z jego uścisku.

– Bydlaki – syknął. – To nie moja sprawa. Nie było mnie tu. Nic nie zrobiłem, a niech pan spojrzy, jak te bydlaki obeszły się z moją marynarką.

Odwrócił głowę, jakby zamierzał splunąć. Jego twarz, zazwyczaj tak chłodna, teraz wyrażała czystą nienawiść. Mary Frances wyjrzała przez okno na stacyjkę, zobaczyła czarny czubek buta strażnika. Tim odchylił się na oparcie ławy. Lek powoli tracił moc. Nadchodził czas na kolejną dawkę, ale wszystkie przybory zostały w przedziale.

Wreszcie pociąg z wolna ruszył.

Młodszy kelner przyniósł butelkę chianti. Przeprził za kolegę, starszy kelner stracił panowanie nad sobą, wpadł w szal.

– Co tu się stało? – zapytał jeszcze raz Tim.

Młodszy kelner nachylił się do nich.

– Czarne koszule wiozły aresztanta z Paryża do Włoch. W Domodossoli ten nieszczęśnik rozbił okno, wystawił głowę i docisnął szyję...

Starszy kelner to widział. To z powodu tego incydentu pociąg tak długo stał na granicy. Mary Frances zauważyła, że Tim przymyka oczy. Dopiero teraz zorientowała się, że w wagonie restauracyjnym towarzyszą im inni pasażerowie, którzy powściągliwie nasłuchują, nie rozlegał się brzęk talerzy, widelce zawisły w powietrzu. Za oknem wiosenny krajobraz rozmył się w niebieską smugę, kiedy pociąg nabrał rozpędu. Młodszy kelner dotknął ich ramion i się oddalił.

Tim był u kresu sił.

– Zjedz coś – poprosiła go.

– Nie jestem głodny.

– Tim?

– Ty powinnaś jeść – odparł. – O wiele za dużo wypijaś.

Odwróciła od niego wzrok. Przecież przestali zastanawiać się nad tym, ile to za dużo, a ile za mało, po prostu jedli i pili. Bilanse odłożyli na później.

Przyniesiono im talerze z gniazdkami makaronu, pierwszy kęs miał smak popiołu, nie mogła go przełknąć. Dawno temu byli zupełnie innymi ludźmi, choć i wtedy, i teraz mieli poczucie pełni i stabilności. Mary Frances położyła rękę na piersi, tam, gdzie czuła zaciskający się węzeł. Nie myślała już o domu, Ranczu, Kennedych, Alu i jego nowej żonie, z którą doczekał się wreszcie dziecka, ani o Le Paquis, gdzie piętrzyły się pudła, a w piwnicy został zapas wina, którego nigdy nie wypiją, ani nawet o Timie, o tym, jak stoi dumnie między grządkami w ich ogródku, z odchyłoną głową, łapiąc ostatnie promienie słońca. Należało do niej wyłącznie to, co w tej chwili miała na wyciągnięcie ręki, myślała tylko o tym, zawsze.

Teraz, kiedy jedli, zdemolowany pociąg wiozący ich na południe wpuszczał do środka ich przeszłe życie. Co innego im pozostało, jak tylko dać się ponieść?

Pasadena, Kalifornia
1943

Skończyła. Wstała od biurka, jej dłonie spoczęły na wydatnym, ciężowym brzuchu, niosła go niczym pełen kosz. Brzemie bezustannie, natarczywie o sobie przypominało, należało do niej i tylko do niej.

Przez cały dzień pisała w pokoiku w pensjonacie, przypominającym jej o tylu innych miejscach, w których pracowała. Jej emocje dochodziły do głosu, ostatnie podrygi lipcowego upału napawały ją melancholią, ale udało jej się skończyć książkę, całkiem niezłą, wiedziała to. Pisanie zajęło jej dziesięć tygodni – ni mniej, ni więcej.

Listownie powiadomiła Edith, Rexa i resztę rodziny, że znika na jakiś czas, bo zgodziła się na udział w tajnej rządowej akcji społecznej w związku z toczącą się wojną i przez jakiś czas nie będzie z nią kontaktu. Wplotła w wiadomość wszystkie urzędowe słowa, jakie tylko знаła. Dodała też, że zastanawia się nad adopcją.

Tak naprawdę pojechała do Pasadeny i wynajęła to mieszkanie do końca sierpnia. Rozmawiała tylko z doktorem Bielerem i pokojówką, a ponieważ wierzyła w powagę swojej profesji i nie miała nic lepszego do roboty, dzień i noc pisała na maszynie. Zaczęła od samego początku, mierzyła siły na zamiary, przypominała sobie, jak po raz pierwszy kosztowała potrawy, na jakie potem wielokrotnie miała ochotę: od tego rozpoczęła książkę, która zawsze była jej pisana, bo opowiadała o przebytej przez nią drodze, *The Gastronomical Me* M.F.K. Fisher. Opisała kremowy sos gotowany przez babcię o wiecznie skwaszonej minie, ciocię Gwen i wzgórze nad Laguną, jajka w sosie curry, które jako dziecko przyrządziła dla Anne, tak ostrych, że przez kilka dni obie miały czerwone buzie. Zrelacjonowała podróż za ocean – z Alem do Dijon i obie z Timem. Tim towarzyszył jej na każdym kroku, to dzięki niemu napisała tę książkę, a także wszystkie kolejne, była mu wdzięczna za wszystko, co ją spotka do końca jej dni.

Postanowiła nadać dziecku jego nazwisko.

W Kalifornii wystarczyło jej słowo, cokolwiek oświadczyła, było uznane za prawdę. Nauczyła się czegoś niezwykłego: jeśli ma się dar opowiadania pięknych historii z pełnym przekonaniem i wdziękiem, to nabierają one takiej realności jak prawdziwe wydarzenia, fikcja i fakt to równoważne siły, równie potężne jak dokumenty, a może nawet potężniejsze. Pamięć, miłość, ból: w to wierzą ludzie. To one dawały jej wiarę w siebie. A teraz, jeśli pragnęła mieć dziecko z Timem, to właśnie w ten sposób zamierzała powołać je do życia, od zawsze wiedziała, że właśnie tak się stanie, bo tak powiedziała.

Tim nie żył od niemal dwóch lat, kufer z ampułkami schowany pod jej łóżkiem opróżnili dawno temu, choć każdą dawkę dzieliła na pół i kombinowała,

jak się dało. Koniec końców musieli spojrzeć prawdzie w oczy. Tim patrzył, jak napełnia ostatnią strzykawkę.

– To wszystko? – zapytał, a ona skinęła głową.

Odsunęła się od niego, zdjęła sukienkę przez głowę, tak jak tysiące razy wcześniej, ta czynność zawsze wypełniała ją oczekiwaniem na jego pierwszy dotyk, zawsze tak zaczynali, rozplomieniona kładła się obok niego i czekała.

Spojrzeli na pustynię i krwistoczerwone zachodzące słońce. Tim miał pistolet. Wprawdzie poprosił ją, by schowała broń, ale czy potrafiliby ukrywać coś przed sobą nawzajem? Nadszedł wieczór, Mary Frances wsłuchiwała się w dźwięki rozlegające się w ciemności, nie myślała o tym, co nadchodzi, teraz nie istniało nic prócz Tima, który otulił ją ramionami, ich ciała stały się jednym tamtej nocy na pustyni.

O świcie obudził ją wystrzał niosący się echem w całym kanionie.

Balansowali na linie, bo zapanowanie nad jego bólem wymagało od nich zaangażowania wszystkich sił i środków. Odcieśli się od bliskich, ona pisała tylko po to, by móc mu czytać, gotowała, by go nakarmić, zamieszkała z nim na pustynnym odludziu, by całkowicie mu się poświęcić, a on ją teraz zostawił. Minęło wiele czasu, nim znalazła powód, by żyć dalej.

Jej dłoń z brązowej linii na brzuchu zsunęła się na uda i zniknęła. Zostało jej sześć tygodni. Czasem wydawało jej się, że już nigdy nie zobaczy tych części ciała, które teraz pozostawały niewidoczne, że będzie musiała nauczyć się żyć bez stóp i kępki włosów w kroczu. Od dawna nie myślała o seksie, choć kiedyś tak często go uprawiała. Nie myślała o nim, od kiedy odszedł Tim.

Zgłodniała. W tamtym czasie jadła niewielkie posiłki, łaknęła kwaśnych i ostrych potraw i piwa, które, jak twierdził doktor Bieler, korzystnie wpływa na produkcję mleka. Nie zamierzała karmić piersią bez względu na zalecenia lekarskie. Postanowiła powiedzieć wszystkim, że adoptowała dziecko, i trzymać się tego do końca swoich dni.

Powoli wstała z krzesła, nabrzmiąły brzuch przeważył ją w przód. Powinna się przejść. Wyrównała stosik kartek, przykryła zagłówek narzutą i włożyła letnią sukienkę. Ostatnimi czasy najchętniej w ogóle zrezygnowałaby z ubrań, nosiła je tylko po to, by móc wyjść z pokoju, związywała włosy, malowała usta jaskrawą szminką i wkładała okulary przeciwsłoneczne. Wychodziła tylko na dwadzieścia minut, ale i tak wydawało jej się, że wygramoliła się z kokonu.

Gorące powietrze falowało nad asfaltem. Strużki potu płynęły jej po czole, nogach i innych miejscach, które, jak jej się wydawało, w ogóle nie wytwarzają potu, szła powoli, jakby bała się, że się rozpuści. Po powrocie do pokoju miała zamiar napełnić miednicę letnią wodą, zetrzeć brud gąbką, umyć włosy i rozsypać je na poduszce, by wyschły podczas jej drzemki, jak w półśnie weszła do sklepu spożywczego na rogu, na suficie niestrudzenie obracał się wentylator, owiewając ją

z góry chłodnym powietrzem. Wzięła torebkę żółtych pomidorków, pudełeczko jagód, bochenek chleba z semoliny i biały ser. Z lodówki wyjęła dwie butelki oranżady i dołożyła do nich czekoladowy batonik. Miała ogromną ochotę na słodczyce i nie widziała powodu, by ich sobie odmawiać.

Kasjer spakował jej zakupy do papierowej torby, zsunęła z czoła okulary przeciwsłoneczne i przeszła pod wentylatorem ku wyjściu na rozgrzaną ulicę.

Czekała na rogu, aż zmieni się światło, z wszystkich prostych i niewinnych czynności właśnie ta wydała jej się najbardziej przyziemna, kiedy nagle ktoś dotknął jej ramienia.

Zanim się obróciła, już wydawało jej się, że spada, a jej kamuflaż diabli biorą. Stało się. To koniec. Zdemaskowano ją.

– Mary Frances.

Stała przed nią Anne, jej siostra.

Jednocześnie obie dotknęły wydatnego, twardego i rzeczywistego brzucha, jakby próbowały złapać równowagę. Anne zbladła i otworzyła szeroko usta, a Mary Frances mimowolnie się zaśmiała.

– Dote – powiedziała Anna. – Jezu Chryste, nic ci nie jest?

Nie mogła złapać tchu, dziecko wspięło się wysoko i rozpierało od środka jej klatkę piersiową, śmiała się szczerze i nerwowo zarazem. Przypomniała sobie małą Anne sprzed lat, w fartuszkach, z ogniem w buzi. Siostra, która jako jedyna osoba pod słońcem mogła jednocześnie zrozumieć i potępić jej decyzję, była pierwszą i najbardziej wymagającą publicznością. Jak Mary Frances miała jej wyjaśnić, co się stało?

Anne wzięła ją pod łokieć i ruszyła w stronę ławki w parku.

– Ciii – uspokoiła ją. – Usiądźmy, Dote. Co się, na Boga, wydarzyło? Co się dzieje?

– Och, Anne – odparła Mary Frances ze śmiechem. – Od czego mam zacząć?

Podziękowania

Niniejszą książkę pisałam przez bez mała dziesięć lat, korzystając ze wsparcia wielu przychylnych mi osób, którym jestem dozgonnie wdzięczna.

Rozpoczęłam pracę od lektury dwóch tuzinów stron znakomitej biografii *Poet of the Appetites. The Lives and Loves of M.F.K. Fisher*, pióra Joan Reardon. Czytałam tę książkę kilkakrotnie i za każdym razem odsyłała mnie ona do innych tekstów Mary Frances Fisher, jej listów i wydanych drukiem pamiętników, a później także do napisanej przez Anne Zimmerman pracy *An Extravagant Hunger. The Passionate Years of M.F.K. Fisher*. To właśnie z niej czerpałam wiedzę, inspirację i odpowiedzi na pytania dotyczące życia tej tajemniczej, czarującej i błyskotliwej postaci, jakie wcześniej nawet nie przyszły mi do głowy.

Moje podziękowania kieruję pod adresem National Endowment of the Arts,

Uniwersytetu w Charlotte, Governor's School for the Arts and Humanities w Karolinie Południowej, czasopisma „Edible Upcountry”, księgarni M. Judson Booksellers & Storytellers, a także kierownictwa i personelu Ballcrank Industries, w tym szczególnie Carli Damron, Stephen J. Eaonnou, Dartinii Hull, Beth Johnson i Holly Pettman. Bez was zgubiłabym drogę.

Wielu podziwianych przeze mnie pisarzy czytało moją książkę na etapie maszynopisu, dzieląc się ze mną bezcennymi uwagami. Dziękuję Lauren Groff, Jo Hackl, Fredowi Leebronowi, Mamie Morgan i Jimowi Walke'owi.

Wiele zawdzięczam profesjonalizmowi i wrażliwości Kathryn Court i Lindsey Schwoeri z wydawnictwa Viking, a także niezrównanej Mary Rusoff, która oddała mnie pod ich skrzydła.

Dziękuję Ronowi Friisowi, który zawsze powtarzał, że to będzie niezła książka.

Dziękuję swojej rodzinie, szczególnie zaś dzieciom, które są dla mnie całym światem.

Tytuł oryginału

The Arrangement

© Ashley Warlick, 2015

All rights reserved

Published in agreement with the author c/o Marly Rusoff Literary Agency,
Bronxville, New York, USA and AJA Anna Jarota Agency, Warsaw, Poland

Projekt okładki

Lynn Buckley

Opieka redakcyjna

Dorota Gruszka

Adiustacja

Urszula Horecka

Korekta

Jadwiga Grelłowa

Barbara Wójcik

© Copyright for the translation by Mateusz Borowski

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2018

ISBN 978-83-240-5388-9

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters are black, but the 'o' and 'i' are replaced by small, colorful circles in blue, purple, and orange.

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

